

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

POWIDOKI

Nr 3-4 (68-69) Zielona Góra 2019 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 3-4 (68-69)/2019

Prace plastyczne wykorzystane w numerze – Małgorzata Chomont

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2019

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Layout
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Agnieszka Ginko-Humphries, Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak,
Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida, Małgorzata Chomont, Alina Kruk, Karol Stępkowski

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Danuta Morawska

Druk i oprawa
Dual Studio Bartosz Zając

Nakład – 250 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Pro Libris

Od redakcji

Przewrotnie – zaraz na wstępie – zwracamy Państwa uwagę na ostatnie stronicie „Pro Libris”. Zawierają one kolorowe afisze informujące o ważnych wydarzeniach, gościach, spotkaniach, rozmowach, składających się na 9. Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej. Od kilku lat jeden z numerów „Pro Libris” ukazuje się w listopadzie, podczas trwania tego ważnego święta kultury. Tak jest i w tym roku. Wśród zapowiedzi licznych wydarzeń festiwalowych bez trudu odnajdą Państwo Wieczór Flamandzki. Jest on efektem wielomiesięcznych rozmów, uzgodnień prowadzonych między redakcją naszego Pisma a przedstawicielami belgijskiego czasopisma „G.” (dawniej „Gierik NVT”). Dzięki tej współpracy niebawem w WiMBP im. Cypriana Norwida będziemy gościć wybitnych poetów z Belgii, którzy przybliżą nam flamandzką kulturę literacką, a w bieżącym numerze już prezentujemy poważną dawkę ich wierszy (Els Moorse, Michäel Vandebril, Richard Foqu, René Hooyberghs, Guy Commerman), poprzedzoną eseistycznym *Przeglądem współczesnej poezji flamandzkiej* Carla De Stryckera. Przekładu materiału flamandzkiego dokonała Anna Kwapisiewicz-Sevens – rzeczniczka współpracy polsko-belgijskiej, również poetka, której wiersze zostały pomieszczone na łamach pisma.

Tradycyjnie publikujemy także sporo polskiej poezji (Czesław Sobkowiak, Agnieszka Ginko, Natalia Dudziak, Władysław Łazuka, Justyna Stachura czy

debiutujący w piśmie jako poeta Marcin Radwański). Zachęcamy do przeczytania twórczości poetów uhonorowanych w Konkursie Jednego Wiersza, który w tym roku przebiegał pod hasłem AMERYKA, a wśród laureatów znaleźli się: Krzysztof Bąkowski, Elżbieta Kościucha-Wieczorek, Bogumiła Różewicz i Elżbieta Dybalska.

Ponadto przygotowaliśmy w numerze ciekawy zestaw prozy (znakomity szkic Mirosława Kuleby, opowiadania Władysława Edelmana, Igora Myszkiewicza czy Grzegorza Pełczyńskiego, Aliny Kruk i in.).

Polecamy ważne teksty z Działu ZBLIŻENIA, z którego dowiemy się o istotnych przedsięwzięciach kulturalnych, twórczym zamęcie, ciekawych ludziach i wydawnictwach, które poruszały w ostatnich miesiącach nasze środowisko.

Powodem ogromnego poruszenia i dumy – czego absolutnie nie mogliśmy pominąć, szykując niniejszy numer – jest przyznanie literackiego Nobla dla Olgi Tokarczuk. Wielkie święto dla polskiej literatury postanowiliśmy uczcić przypomnieniem ostatniego spotkania Olgi Tokarczuk w Zielonej Górze. Zachęcamy do zapoznania się z obszerną relacją z tego wydarzenia autorstwa Anny Polus.

Na jesienne wieczory polecamy także Państwa uwadze nastrojowy materiał ilustrujący numer w postaci fotografii Małgorzaty Chomont.

Spis treści

Czesław Sobkowiak , Wiersz [Widzenia we wnętrzu]	6
Miroslaw Kuleba , Pierwsze wino, Abendmahlwein	8
Agnieszka Ginko , Wiersze [Telefon, Pierścionki]	15
Maria Kocot , Cudowne lata Feli Hirschman	17
Natalia Dudziak , Wiersze [Ostatni raz, Zakochałam się]	22
Marcin Radwański , Popękane serce	24
Władysław Łazuka , Wiersze [Czekanie, Inny, Zimą, Koniec lata]	27
Grzegorz Pełczyński , Werdykt, Krótka modlitwa, Egzamin	31
Anna Celmer , Wiersze [Oto ona, Tyle moich pytań]	34
Cezariusz Szpryngiel , Andrut	36
Marcin Radwański , Wiersze [Czysty, Spokój]	43
Władysław Edelman , Ja, Ziemię; Ciemna materia	45
Ryszard Białogrecki , Wiersze [Ścieżki, Oczekiwania]	51
Krystyna Jarocka , Dobrobyt (fragment cyklu Kocie szlaki)	53
Krzysztof Ziemiński , Wiersze [Moje szczęście, Piła]	57
Halina Jerulank , Niebieskie oczy	59
Alina Kruk , Pojazdy są złośliwe	63
Józef Zdunek , Wiersze [Zmienne usposobienie, Zawór bezpieczeństwa]	64
Czesław Sobkowiak , Zapiski prozatorskie	66
Justyna Stachura , Wiersz [*** Kochany..., *** Tak wiele...]	70
Igor Myszkiewicz , Pamiętaj nas	72
Piotr Kominek , Wiersze [Modlitwa, Spojrzenie]	77

ZBLIŻENIA

Anna Polus , Olga Tokarczuk w Bibliotece Norwida – relacja ze spotkania 30 marca 2017 roku	79
Eugeniusz Kurzawa , Halo, tu przedmiot badań. Over?	89
Joanna Kapica-Curzytek , Bob Dylan i Jerzy Jarniewicz	91
Jerzy Jarniewicz , Wiersze [Puste noce, Prosty wiersz o miłości, Drzwi zamyka kto ostatni, Tweet]	93
Igor Myszkiewicz , Waldemar Gruszczyński , Maciej Dobrowolski , „Fantazje Zielonogórskie” po raz dziewiąty	97
Alina Kruk , Opowieść o Halinie Maszkiewicz, artystce, przyjaciółce	100
Alina Kruk , Wiersz [Artystka]	102
Agnieszka Ginko-Humphries , Turniej Jednego Wiersza AMERYKA	103
Krzysztof Bąkowski , Wiersz [Pocztówka do Emily Dickinson]	105
Elżbieta Kościucha-Wieczorek , Wiersz [Odkryj mnie Ameryko]	106
Bogumiła Różewicz , Wiersz [Nowy Jork]	107
Elżbieta Dybalska , Wiersz [Wolność]	108

POEZJA NIDERLANDZKA w PRO LIBRIS

Carl De Strycker , Przegląd współczesnej poezji flamandzkiej	109
Els Moors, Michaël Vandebril, Richard Foqué, René Hooyberghs, Guy Commerman	114
Anna Kwapisiewicz-Sevens	136

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	138
--	-----

PREZENTACJE

Małgorzata Chomont , Życiorys liryczny	141
Barbara Wilczyńska-Michałowska , W drodze – Małgorzata Chomont	142

VARIA

Jakub Domoradzki , Rola milczenia w kinie	143
Iwona Stankiewicz , Literacki supermarket	148
Marta Motyl – pełna paleta emocji [z Martą Motyl rozmawia Patrycja Żejmo]	150

RECENZJE I OMÓWIENIA

Mój eden Chwalim	
Zofia Mąkosa , Wendyjska winnica. Cierpkie grona (Joanna Kapica-Curzytek)	153
Pocztówka z oddziału onkologii psychicznej	
Robert Rudiak , Gehenna (Urszula Benka)	155
Summa – haiku	
Jacek Łukasiewicz , Wiązania (Czesław Sobkowiak)	157
Biała tkliwość	
Elżbieta Dybalska , Białe (Czesław Sobkowiak)	159
Kolekcjonerka Marty Motyl – literatura sensualna	
Marta Motyl , Kolekcjonerka (Patrycja Żejmo)	159
Chwytająca chwilę	
Małgorzata Chomont , Chwile (Tadeusz „Coobus” Knyziak)	160

KSIĄŻKI NADESŁANE	162
--------------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	163
-----------------------------	-----

Program 9 Fstivalu Literackiego im. Anny Tokarskiej

Widzenia we wnętrzu

Jest nienazwany czas i ciemność
Moje ciało mówi snem milczeniem
Światłem ogniem rwącą krwią
Chcę płynąć w nieznane i dalej

Za powiekami odnajduję swoje życie
Na dotyk który jest dotykiem bez reszty
Czekam wśród istnienia na istnienie
Na pierwsze zdanie potu i soli oceanu

My jak dwie rzeki w jednej rzece
I w uniesieniu anioła – nie-anioła
Co na swoich skrzydłach niesie
Codziennność i niecodziennność

Stopy są bez ciężaru i umiaru
Usta oddają ustom swoje drżenie
Idę bez granic i rzeczy jawią się nagie
Nic nie musi być znane w tej kąpieli

Jakieś ręce oczy usta i pachwiny
Jakiś szept jeszcze uda rozchyła
I znaczy dopowiedzenie godzin
Na twarzy światło i więcej niż światło

Ciało przemienia się więc jest ciało
Znika i na nowo z nieistnienia się rodzi
Niebo ziemia gwiazda rzeka i sen i poezja
Jest z dotyku z szeptu i odwagi

Nadmiar odnajduję w dłoniach i szyi
Co wypełnia płuca palce (także włosy)
Przez chwilę mieszkam gdzie nie śpię
Nie jem nie myślę wiersza nie czekam

Ktoś patrzy tak na nas i na siebie
W ciałach napisany nie w słowach
Więc oddechem językiem wilgocią
I w liniach ramion które się przenikają

Jestem w tym oddechu do końca
Otworzyło się w ramionach wszystko
Ręce potrzebne ręce odmienione
Teraz mogę być z twoim ciałem tylko

Zapomniane życie wraca i widzi co chce
Tajemnym słońcem czyta nasze imiona
Dotyk zna to co w dotyku jest pierwsze
W ostatniej linijce już nie musi być dodane

Pierwsze wino, Abendmahlwein

Wsluchuję się w słowa niespisane, agra. Łowię ich cienie w mroku izby i ogrodu. Tyle najważniejszych słów wypowiedzianych każdego wieczoru przy łamaniu chleba i zapomnianych przez ewangelistów. Utraconych, gdyż sen mroczył głowy wybranych. Po latach łowili w pamięci chwile oślepiającej jasności. Łagodne słowa i okrutne czyny. Uczyli się rozumieć szept liści drzew oliwnych w Getsemani, gdzie kiedyś pośnęli. Milczenie świętej jawnogrzeznicy z Magdali. Wołanie kamieni na Golgocie, przesiąkniętych krwią.

Agra. przetrwały jednak w pamięci wina, widzę, jak każde słowo wpisuje się drzeniem w połyskliwy menisk niczym w wieczny nośnik prawdy. Wszystko, czego dotknął, przyoblekało się w nieśmiertelność. Woda w Kanie, córka Jaira, drewno krzyża. Wino wieczornej agape z zapisem jego słów w mistycznej tkance. Agra. substancjalna treść Świętego Graala.

To jest ciągle, od dwóch tysięcy lat, to samo wino, na Śląsku od czasów biskupa Jordana. W naszym mieście od kiedy stanęły mury pierwszego gotyckiego kościoła, dzisiaj konkatedry. Są przypuszczenia, że w ogóle było to pierwsze wino, jakie poznała ta okolica. Później miejscowi winiarze diecezjalni, związani specjalną przysięgą, dostarczali parafii wino mszalne, Abendmahlwein, trudzili się każdego roku, aby wyłóczyć najlepszy moszcz, który da wino zdadne do konsekracji. Każdy winiarz, który tego próbował, wie, że utrzymanie takiego wina bez zakazanych przez prawo kanoniczne zabiegów możliwe jest tylko w piwnicy strzeżonej przez anioły.

Nie jest to bowiem zwykłe wino, tak samo jak pszenna hostia nie jest chlebem powszednim. Istota tych świętych pokarmów ziszcza się w misterium transsubstancjacji. Abendmahlwein to wino z Winnicy Pańskiej. Rodzi się na winnym krzewie, lecz otrzymuje swą postać w mistycznej tłoczni, zaś ostateczną dojrzalność na białym obrusie ołtarza.

Kiedy to następuje, wsluchuję się w ciszę jego obecności. Łowię zagubione słowa. Słyszę je, bezdźwięczne, kiedy dłoń kapłana wznosi złoty kielich w górę, a membrana białego wina drży tak samo jak wtedy, w tamtych dłoniach. Wiem, to jest ten sam zapis, teraz odtwarzany, agra. dla mnie. Napełniam się pewnością niewidzialnej, cielesnej obecności, bezgłośnymi słowami prawdy.

Augustberger

Sierpniowa dominanta, zawarta w nazwie wzgórze Augustberg oraz pochodzącego stąd wina, nie została zaczerpnięta z przestworu upalnego lata. Pochodziła od imienia młodego człowieka, który nawet nie osiągnął sierpniowej cezury swojego życia, rozpułnął się bowiem w wieczności, mając ledwo 28 lat. Był to August Förster, potomek najznamienitszego rodu zielonogórskich winiarzy, radny miejski i filantrop. Na wzgórzu znajdującym się w paśmie południowych wzniesień wybudował najpiękniejszy pawilon ogrodowy w mieście.

Sierpniowy akord pobrzmiewał jednak w nazwie tego wina, przywiązany bardziej do pory roku niż miejsca. Ziszczał się raczej w barwie niż w smaku, w aromacie schnącego w upale potrawu zaplątanego w rodzajkową słodycz, w słonecznym lśnieniu na szkle kieliszka. W jasne rozgwieżdżone noce lato wsączało się w areal winnicy Augusta, która je pochłaniała i zamieniała w ingrediencję soku dojrzewającego w martwej ciszy najgorętszych popołudni, nasyconego kondensującą o świcie rosą, czerpiącego mineralny składnik z piasków i glin zrzuconych w tej krainie przez skandynawski lodowiec, wzbogaconego przez subtelny feromon pozostawiany na skórze jagód każdego grona przez kobiece dłonie.

Ta obfitość kobiecego komponentu ujawniała się w subtelności struktury wina, w miękkości jego ciała, jakże odmiennego od surowych i męskich win z północnych rewirów miasta. Tu była tęsknota łagodnych spojrzeń, cień starych jabłoni trwających od stuleci pośród winnych szpalerów, powściągliwość palców, ostrożność gestów i kroków, taneczna płynność wypełnianych prac. Pomyślny przebieg wegetacji, leniwego dojrzewania i zbiorów w pejzażu malarskiej Arkadii pozwalał uzyskać wino o charakterze szlachetnych dziewczyc, którym należy okazać najwyższy szacunek i łagodność, by oddały chciwym ustom swój skarb. To właśnie takie dziewczęta, którym przewodziła zwykle córka burmistrza, każdego roku szły na czele winobraniowego korowodu.

Znawcy wiedzą, jak owładnąć tymi wyjątkowymi istotami, by uzyskać wszystko, czego od nich chcemy, jak odnaleźć ich niedoznane jeszcze zmysłem smaku walory, wydobyć to, co zazdrośnie strzeżone i jak rozkoszować się tym, co jeszcze przed chwilą było tylko obietnicą. Było moją wielką przyjemnością poszukiwanie i zdobywanie tych win, kosztowanie ich pierwszej, niewinnej hipostazy i powracanie do nich, kiedy dziewczęta świeżość pierwszych doznań zamieni już kobieca dojrzałość. Ponieważ są wina, które są mężczyznami wśród win, są wina-kobiety i takie, które kobietami dopiero zostaną – i te są najbardziej ekscytujące, jeśli potrafimy rozpoznać ich ukrytą istotę, odgadnąć tajemnicę i uzyskać pewność wspianego rozkwitu.

Kiedy wspominam smak tego wina, tak wyjątkowego wśród piwnicznych skarbów naszego miasta, mam przed oczami obraz pewnej wrocławskiej malarki, w którym ów trunek przybrał postać pięknej, młodej dziewczyny. Dziewczyna, której ciało mieni się odcieniami morelowej skórki, trzyma w dłoni pęk dmuchawców, zamienionych w obłok wirującego puchu od jej namiętnego tchnienia. Patrząc na nią codziennie i każdego dnia rozgrywa się przede mną ten jej wieczny spektakl, który w istocie jest śmiertelną tragedią. Oto życie w swej najpiękniejszej postaci, nad którą nie istnieje nic bardziej powabnego i cennego, zamknięte w ciele tej wakacyjnej miłości, ulatuje w nicłość od jednego tchnienia. Dziewczyna bawi się, siedząc beztrząsco na żerdzi ogrodzenia, opalone uda ledwo okrywa rąbek zielonej sukienki, igra ze swoim życiem, z bezmiarem czasu rozciągniętego leniwie w krystalicznej przestrzeni letniego dnia. Może z wakacyjną miłością.

Wibruje świeżość poranka. Dziewczyna zrywa się do lotu, zaraz poszybuje w białej chmurze, którą wzbudziła swym kaprysem. Twarz podała słońcu, oczy zmrużyła od nadmiaru światła, które wplątało się w jej włosy i wlewa się pod cienki materiał sukienki, napełniając jej ciało oczekiwaniem na dotyk męskiej dłoni. Można się domyślać, że ktoś patrzy na nią w tej chwili, że to przed nim odgrywa tę scenę z repertuaru szalejącego lata; że to zapewne mężczyzna, urzeczony jej dziecinny gestem skojarzonym z kuszącą słodyczą dojrzałego owocu, z lordozą spinającą jej plecy jak pod dotknięciem drapieżnej dłoni lub przeczuwanej rozkoszy, rozcięciem sukienki na biodrze ujawniającym nagi pośladek. Niewątpliwie, kobieta przed chwilą pośpiesznie okryła swą nagość, nie dbając o szczegóły. Niewątpliwie, ma na sobie tylko tę sukienkę, której jakby nie było. Tak, niewątpliwie, dostrzegam to okiem znawcy, jest już po wszystkim.

Był w tym zachwyt nad chwilą ulotną jak puch dmuchawca, żal nad urodą przemijającą najszybciej ze wszystkiego, co pragniemy ocalić, gorzkawy posmak śmierci kryjącej się w zielonym gąszczu za plecami dziewczyny. Obietnica rozkoszy w gładkiej fakturze jej rozchylnych ud, ledwo odkrytych piersi, w ustach złożonych do pocałunku, a przecież wzbudzających wicher zagłady.

Wzniesła biały obłok, a to nie są przecież żadne kwiaty lata. Kwiaty już umarły, a to są posłańcy śmierci na ciepłej fali jej oddechu. Bo musisz obumrzeć. Zaś w pewnym oświeceniu barwy na jej twarzy nagle bledną, a impast ujawnia wstrząsającą prawdę, ukrytą przez malarzkę przed nieuważnym widzem – ślady pędzla układają się bowiem w zarys ludzkiej czaszki.

Oto obraz tego wina, jego personifikacja, jak ze starych map, na których przedstawiano rzeki w postaciach kobiet, a w przewróconych dzbanach u ich stóp wyobrażano tryskające źródła.

Piliśmy to wino w pracowni malarki, we wrocławskiej kamienicy o poczerńiałej fasadzie wyrastającej z granitowego nurtu ulicy tego niezwykłego miasta. Pracownię zaludniały kobiety zagubione wśród kwiatów, szczęśliwe dzieci, cwałujące konie, baletnice nanizane na księżycową strunę, ludzie i zwierzęta, wśród których chciałoby się znaleźć swoje miejsce. Autorka tych obrazów, wszystkich tych szczęśliwych chwil pochwyconych barwami czystymi i dźwięcznymi z pogranicza fowistycznej nonszalancji, była jedną z postaci tamtego świata. Łagodna aura, jaką roztaczała wokół siebie, niespodziewanie zderzyła się z okrutnymi słowami jej wierszy, które pisała, porzucając czasem sztalugi, a w jej ironii i powściągliwości także rozpoznałem wyrafinowaną, wytrawną głębię tego wina, które namalowała na moim obrazie z dziewczyną i dmuchawcami.

I są dwie natury tego wina połączone jednym ciałem jasnym i wytrawnym: pełnia życia i ukryta sugestia nieuchronnej śmierci, wkradająca się w nieobjęte spektrum dojrzałości.

Boonacco

Scenerią właściwą dla gorzkiego likieru Boonacco produkowanego przez zielonogórską wytwórnię winiaków Heinricha Raetscha były powrotnikowe pejzaże z obrazów Gauguina. Niezbędna wydawała się obecność półnagiej Tahitanki żywiącej się kolokazją, owocami drzewa chlebowego i kokosowym mlekiem, dzięki czemu jej złotobursztynowa skóra wydzielala delikatny aromat owocowych estrów. Niemców fascynowały archipelagi Oceanii, ale przede wszystkim czarna Afryka, wysyłali tam inżynierów, pancerniki i korpusy ekspedycyjne. Feldmarszałek Rommel miał równie wojowniczych poprzedników, w poczuciu misji cywilizacyjnej masakrujących Murzynów – Paula von Lettow-Vorbecka czy Lothara von Trotha. Kiedy kolonialne imperia odchodziły w przeszłość, Niemcy snuli marzenia o koloniach, odkrywali barwy tropików i uroki seksualnej rozwiązłości ich pierwotnych społeczności. Pomijając pewną anachroniczność, równie dobrym dopełnieniem smaku Boonacco mogłaby być czekoladowa Nubijka z fotografii Leni Riefenstahl, smukła jak tańcząca trzcina. Niemcy potrzebowali takich czarnych służących w schludnych fartuszkach, lokajów i stangretów oraz robotników rolnych; dzisiaj już wiedzą, że Afrykanie nie zastąpią Turków, Jugosłowian i Polaków.

Receptura likieru zachowała się w papierach wytwórni Raetscha i po wojnie rozważano, czy nie podjąć jego produkcji jako jednej z zielonogórskich wódek gatunkowych. Przeważał jednak pogląd, że likier o tak wyrafinowanym zestawie nie spełni żadnej z potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa robotników i chłopów, a także wywodzącej się z nich inteligencji pracującej. Zamiast złotolicyj Tahitanki z kwiatami w kruczoczarnych włosach społeczeństwo potrzebowało złotowłosej Słowianki – czystej wódki. Gigantyczna produkcja czystych wódek zbożowych, a także wyrabianych ze spirytusów ziemniaczanych i buraczanych, nie nadążała za narodowym spożyciem. Nie było tu miejsca na niemieckie wynalazki dla gastryków.

Kompletny zestaw Boonacco składał się z ponad 30 komponentów, wśród których najważniejsze były maceraty i dygeraty ziołowe oraz nalewy na przyprawy korzenne i egzotyczne owoce. Wśród gorzkich ziół dominowały piołun, centuria i goryczka.

Przelany do kryształowej karafki, przestrzelony słoneczną strzałą likier płonął niespodziewanie ognistymi i zielonymi rozbłyskami, niczym brązowy opal z etiopskiego Welo. Bursztynowa toń napełniała się tymi samymi rozbłyskami, jakie igrały w oczach smagłych dziewcząt z wysp Mórz Południowych – czerwonymi, gdy pożądanie dojrzało w kręgu ognia płonącego na piasku plaży i gasnącymi zieloną poświatą, zwiastującą zaspokojenie. Porwani opowieściami swoich francuskich żon, sióstr Duvinage wywodzą-

cych się z frankofońskiej Brabancji, dwaj bracia Raetschowie poszukiwali rumów najwłaściwszych dla ich likierowej kompozycji we francuskojęzycznych koloniach Polinezji i na Martynice. W końcu trafili na Jamajkę. Kilkunastoletnie kupaże z interioru starzone metodą solera, których aromat koncentrował zieloną bazę trzcinowego soku, bakaliowe i karmelowe nuty pojawiające się w wystawionych na równikowy upał beczkach, cynomonowe i muszkatołowe tony ekstrahowane z dębowego drewna, wreszcie czekoladowa gładź, jaką pokrywały tę kompozycję mijające lata, okazały się zbyt drogie dla trunku produkowanego masowo. Z takich rumów zestawiano tylko wyjątkowe partie likieru przeznaczone dla wybranych, do użytku własnego i na potrzeby Kancelarii Rzeszy, gdzie dawny handlarz i fałszerz win Joachim von Ribbentrop potrafił docenić jakość produktu. Nigdy nie trafiły do otwartej sprzedaży. Okazały się zbyt wykwintne dla niemieckich gardeł heblowanych sznapsem z buraczanej melasy, sprzedawanych przez wytwórnię jako grünberger Weinbrand.

Pospolity jamajski rum z trzcinowej melasy z dodatkiem świeżego soku i tropikalnego ziołowego miodu, odpędzany w miedzianych alembikach jak winiakowe spirytusy wytwarzane przez Raetschów w Zielonej Górze, okazał się zycznym składnikiem kompozycji. Wystawiony w beczkach po burgundzie na równikowe słońce szybko nabierał bursztynowej barwy i nasycił się aromatem wanilii, kakao i marcepanu, skojarzonego z cierpkością zielonych orzechów włoskich. Podstawą receptury likieru był winiak, ten jednak nigdy nie grał taką pełnią aromatów jak tajny komponent Boonacco – rum. To za jego sprawą znawcy głowili się i nie potrafili orzec, z których apelacji okręgu Cognac pochodzą spirytusy koniakowe sprowadzane przez Raetschów. Konkurencyjna zielonogórska wytwórnia winiaków Alberta Buchholza nabyła winnice w Szampanii i produkowała własne destylaty w Angeac, aby stworzyć pozór francuskiej proveniencji swych koniaków wytwarzanych generalnie ze śląskich buraków cukrowych, Raetschowie wybrali inną drogę. Destylowane przez siebie spirytusy wzbogacali oryginalną rumową ingrediencją, wzmacnianą jednak, dla utrzymania jednolitości marki, syntetycznym aromatem rumowym produkowanym w wytwórni takich specyfików w Lipsku. Nad jakością kompozycji czuwała żona młodszego z braci, Curta – Felicitas, chemiczka, autorka patentu na środek przeciwko ukąszeniom komarów i moskitów.

Cesarski opał z rozbłyskami kocich oczu pulsował ognistozielonymi rozbłyskami na nagich piersiach tahitańskiej *vahine*, prując błyskawicami złotą skórę dziewczyny, do połowy lutego 1945 roku, kiedy do Zielonej Góry wjechały sowieckie czołgi i studebakery z krasnoarmiejcami. Stepowi zdobywcy rzucili się do szturmowania piwnic z winami, a kilku zmarłych z przepicia w tej epopei zostało pochowanych na centralnym placu miasta, przemianowanym zaraz na plac Bohaterów. Lutowa aura nie była odpowiednia dla dziewcząt z Mórza Południowych – w śniegowym błocie leży pokotem miejscowe Niemki. Zanim to jednak nastąpiło, Raetschowie otworzyli podwoje swoich składów z winiakami, piwnice z potężnymi kufami, w których można było pływać, a nawet najtajniejszy przybytek – ukrytą w labiryncie podziemnych korytarzy skalną grootę, gdzie serwowano najlepsze winiaki dla największych zbrodniarzy w mundurach i najdroższych prostytutek w futrach wydartych żonom i córkom tutejszych żydowskich kupców, po których zostało już tylko tyle, nie licząc kamienic, ruin synagogi i popiołów na polach wokół obozu Auschwitz-Birkenau.

Teraz każdy człowiek z ulicy mógł wejść do leżakowni dostępnych od sześciu lat tylko dla kwatermistrzów Wehrmachtu i SS, wziąć sobie z tych zapasów i wypić, ile tylko dusza zapagnie. Zaraz też skorzystali z tej okazji nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale nawet robotnicy przymusowi, Polacy, Rosjanie czy Francuzi. Braci Raetschów, zdeklarowanych nazistów, dopadli pewnej nocy rosyjscy żołnierze. Rankiem ich trupy pływały w szambie. Ślad po ich francuskich żonach zaginął. Można się tylko domyślać, że posłużyły okupantom w zastępstwie Tahitanek, a zamiast ognistych opali otrzymały jako zapłatę po kilka rozpalonych ognisk kuli z pepeszy. Możliwe również, że były to kule z pistoletu Tokariewa używanego przez oficerów, do którego pasowała ta sama amunicja; byłoby to szczęśliwsze rozwiązanie, biorąc pod uwagę, że obie były rozkosznymi francuskimi damami, godnymi w obejściu należnego szacunku.

Fliederwein

Fliederwein powstaje z owoców rośliny wzbudzającej zabobny lęk u Niemców, ale i Słowian. Krzew czarnego bzu wyrasta niespodzianie z nasion roznoszonych przez ptaki. Nikt nie ośmiela się zniszczyć intruza. Pilnują go czarne kosy. W gęstwinie liści i zielonych pędów kryje się ktoś tajemniczy i groźny. Germanowie twierdzą, że to Holda, opiekunka zmarłych. Jej drugie imię to Hölla, a to już blisko piekła. Słowianie też przezuwają tam złe duchy. A nawet śmierć.

Sam krzew jest posłańcem śmierci. Kiedy zamiera, unosi ze sobą jeszcze czyjeś życie. To dlatego gospodarz Niemiec zdejmując przed nim kapelusz z głowy. Nikt nie palił jego drewnem, ani też nie ścinał na próżno jego pędów. Te bowiem służyły tylko jednej pracy, tylko w jednych dłoniach. Białym prętem z czarnego bzu zdejmowano bowiem z nieboszczyka miarę na trumnę.

Grabarz, który zmarłego wioził wozem na cmentarz, trzymał bat z bżowego pręta. Nie wolno było jednak dotknąć nim konia, gdyż to by go uśmierciło. Z takich samych prętów, okorowanych na białą, sporządzano też szkielet wieńca na grób. Najpierw jednak czarny bez, rosnący w obejściu zmarłego, otrzymywał swoją zapłatę. Wylewano pod nim wodę po umyciu zmarłego.

Któż zatem ważył się sięgać po kwiaty i jagody czarnego bzu, tej rośliny z krainy zmarłych? Któż chciałby poznać smak tak odstręczający i budzący trwogę? Owoc drzewa, na którym powiesił się Judasz Iskariota?

Czarne, z fioletowym rozbłyskiem na samym dnie, *fliederwein* było jak wyrzeźbione z manganowego szkła używanego w sepulkralnej architekturze niemieckich cmentarzy. Czarno-fioletowe tablice z tego materiału, z grawerowanymi szwabachą napisami, tysiącami usuwano z grobów na Cmentarzu Zielono-krzyżowym, kiedy zacierał się ślad niemieczyny w naszym mieście. Zamieniliśmy najpiękniejszą nekropolię północnego Śląska na park dla pijaków, z dyskoteką w budynku krematorium. Musieliśmy tak robić, bo dla pierwszych powojennych pokoleń Niemiec tożsamy był z esesmanem i nadzorcą z Auschwitzu. Musieliśmy dać wyraz naszej nienawiści i pogardzie, i naszemu przerażeniu tymi istotami. Po wielu latach nastał dopiero czas, kiedy Niemiec zrzucił krzyżacki mundur, został znów budowniczym gotyckich kościołów, kompozytorem oratoriów czy producentem grünbergera, wina o dwuznacznej sławie. Kiedy pojawiła się ciekawość niemieckiej przeszłości tej ziemi. I jakże złudna nadzieja, że Niemcy stali się już zwykłymi ludźmi, jak my wszyscy. Oto jednak piją szampana na Kremlu w rocznicę paktu Ribbentrop-Mołotow, a z mroku parkowych alejek na dawnym cmentarzu, z kwatery bohaterów w stalowych hełmach wypelza ta sama tysiącletnia zmore. Temperowany ruskim butem *furor teutonicus* znów tęskni za świeżą krwią. Nie wiedzą, że tym razem zapłacą za nią ziemią Słowian Połabskich i nadreńskim kalifatem.

Wino z czarnego bzu ma wielką moc. Jest najsilniejszym z leków, które przybierają postać wina. Trucinę, zawartą w jagodach, fermentacja przemienia w dobroczynne panaceum, którego próżno szukać w aptekach. Pić je należy w blasku świec, których płomienie dobędą z kieliszka fioletową poświatę.

W mrocznej głębi kieliszka, gdzie zamierają fioletowe refleksy, tai się jednak coś trwożnego. Jakaś groźba czy przestroga niewypowiedziana, wszechwładna, bezapelacyjna. Gęsty trunek dzierga kunsztowną koronkę na szkle, niczym żałobny welon, przybiera czaszę falującą krepą, przystroja kirem stołową zastawę rzeźbioną w słoniowej kości płomieniami świec. To wino pocieszenia w smutku głębokim i uroczystym, wino konsolacji.

Jego moc ozdrowieńcza przynależy jednak do świata żywych i jeśli nawet nie daje pociechy dotkniętym bolesną stratą, to uzdrawia dręczonych chorobą. Wszystko, co oferuje krzew zamieszany przez Holdę, należy do najsilniejszych leków z Bożej apteki. Jeszcze silniej niż wino działa napar z białych kwiatów, zebranych w pyszne baldachy pyłące złotym pudrem. Napar leczy skuteczniej niż antybiotyki.

Kwitnących baldachów czarnego bzu nikt nie wnosi do izby i nie stawia w wazonie. Odstręcza ich krępująca, fizjologiczna woń. Czarnymi jagodami nikt nie ozdobi florystycznej kompozycji. Nazbyt przypominają pochylone głowy żałobników, wdów okrytych żałobnym trenem.

Mdły smak surowego wina należy przełamać kupażem dającym kwaśną ingrediencję, do czego nadawał się niemal każdy grünberger, zarówno biały, jak i czerwony. Czarny bez nadawał tym kompozycjom aksamitną gładkość, fioletową politurę, posmak jakiejś nieokreślonej spalenizny i najbardziej niepokojący składnik – zapach jakby zaczerpnięty z nad ukwieconego katafalku, nieodmiennie sprowadzający wrażenie uczestnictwa w tajemnym obrzędzie nekromancji.

Goldgelb

Na witrażach zielonogórskiego kościoła Najświętszego Zbawiciela, niegdyś Erlöserkirche, można znaleźć wszystkie odcienie złota właściwe dla barwy miejscowych białych win. Można by uznać, że autor tych szklanych kompozycji studiował kolorystykę lokalnej produkcji winiarskiej i zawarł w swym dziele pełną paletę rozpoznanych walorów. Na witrażach zostały przedstawione półpostacie aniołów zajętych muzykowaniem, czytaniem Pisma i liturgiczną posługą.

W oknach południowej elewacji wzbudzone słońcem złote refleksy budują architekturę anielskich sukien, pobrmiewają na blachach instrumentów muzycznych, rozpraszają się na obliczach i zagęszczają w aureolach aniołów. Wolor poszczególnych złotych komponentów można precyzyjnie przypisać jednemu z tonów w doryckiej skali barw białego grünbergera; mamy tu nieśmiałe zagęszczenia słonecznych promieni tężejące białym złotem, mocniejsze z ledwo zaznaczonym nalotem żółtego pudru, gdzieś tam poblądłe srebrzyście elektrum żytniej słomy mdlejącej od lipcowego żaru, ówdzie nasycony, ciężki żółcień dukatowy, nabiegający u brzegów ołowianych ram witrażowych mosiężnym matem.

Południowa fasada daje przegląd ledwo części drogocennej palety. Dla odczytania całości należy zwrócić się ku północy, gdzie kruszec witraży staje się wyraźnie cięższy, dopełniając tony komponentem cienia. Złoto ukazuje tu spochmurniałe oblicze, modelowane laserunkami i czarnym szrafowaniem. To już jest domena win ciężkich i słodkich, rieslingów zebranych po pierwszych mrozach, win lodowych i zarażonych szlachetną pleśnią, która zagęszcza sok do konsystencji ciemnobursztynowego syropu.

Najcenniejszy odcień złotej barwy można znaleźć w pasach bordiury otaczających sylwetki aniołów. Przeznaczono go dla winnych gron, jakby wykutych z kruszczu właściwego tylko dla najcenniejszych gotyckich paramentów, zachowującego w swym blasku czarny ton ziemi, z której został wydarty. Ten odcień starego złota w barwie wina tutejsi winiarze określali jako *goldgelb*, łącząc w jedno połyskliwość złota i żywość intensywnych żółcień płatków słonecznika albo renklodowej skórki w fazie jej miodowej dojrzałości. Właściwy też dla żółtownojej matki zbóż Cerery, u Germanów raczej zbożorodnej Nerthus, kiedy już nasyci się krwią słowiańskich niewolników. Kolor żółtego złota, złocisty, złotogorący, czyli „wysoko żółty, niby się palący, *hoch goldfarbig*”.

W hierarchii win białych te stały najwyżej. Dzisiaj mógłby ktoś pomyśleć, że ów złoty kolor spowodował nadmiar powietrza w beczce i często pewnie tak bywało. Ponieważ jednak nigdy już nie poznamy smaku tamtego utlenionego grünbergera, którego barwa przetrwała jedynie w szklach kościelnych witraży, chcemy raczej wierzyć, że złota dominanta była szlachetnym przejawem gęstości i słodyczy moszczu tłoczonego po pierwszym mrozie, z gron zżartych botrytusową pleśnią. Że to kunszt winiarza wydobył z bursztynowej miazgi cenną patokę, z której zrobiono najlepsze roczniki wina i laserunki kościelnych witraży.

Ulubionym motywem wytwórców tych witraży były pierzaste istoty, głównie anioły, ale też ściervoja dy Trzeciej Rzeszy przycupnięte na swastykach. Była to berlińska firma Puhla i Wagnera, specjalizujących się w szklanych mozaikach, oraz Heinersdorfa, mistrza malarstwa na szkle. Swoim aniołom, wzorowanym na sztuce prerafaelitów, nadawali rysy germańskich trubadurów z krzyżackich komturii czy raczej greckich kurosów, hermafrodytów z jakąś niepokojącą ofertą w ciężkim spojrzeniu.

W tej samej manierze, typowej dla germańskiej angelologii, przedstawiono postacie czterech aniołów na sklepieniu kurchty. Siostra fundatora tej ewangelickiej świątyni i wykonawczyni jego ostatniej woli, pani

Liddy Beuchelt, również do tej pracy zaangażowała wykonawcę najwyższej klasy, tę samą berlińską spółkę artystów. Przez długi czas myślałem, że anioły w tym pomieszczeniu, które miało pełnić rolę kaplicy ślubnej, to najpewniej istoty kobiece. Świadczyłyby o tym siła, z jaką każdej niedzieli przyciągają mój wzrok. Ich zgrabne stopy i smukłe dłonie, twarze o pięknie wykrojonych ustach i jasnych oczach budziły przekonanie, że zwiewne szaty okrywają ciała równie powabne, chociaż eterycznie niezszyte. Dopiero moja córka, chociaż u nastolatki, świeżo upieczonej maturzystki trudno było spodziewać się takiej przenikliwości, otworzyła mi oczy: dwie z owych istot to niewątpliwie kobiety, lecz dwie pozostałe mają cechy męskie. Przynałem jej rację – dwa anioły mają delikatniejsze rysy twarzy, włosy splecione w warkocze, rozmarzone oczy, czym różnią się od swoich męskich towarzyszy, jakby gotowych przywdziać hełmy szturmowców.

Cztery anioły płyną spokojnie w szyku niebiańskiej eskadry Luftwaffe, przez otchłań kosmosu zbudowanego z miriad szklanych kostek we wszystkich odcieniach nieba. Kiedy się wpatrzyć, można rozpoznać siedem sfer niebieskich wydzielonych zagęszczeniami purpury tyryjskiej i ultramaryny na indygowym tle, a siódme niebo dźwiga złoty krąg ornamentalny, którego elementy, rozdzielone parami splecionych obrączek ślubnych, imitują litery nieznanego alfabetu, tajemny zapis okalający gardziel otchłani, która otwiera się w zwieńczeniu kopuły.



Telefon

– Czy masz numer do nieba? – pyta mnie córeczka,
która chce dzwonić do babci.
– To za daleko – tłumaczę.
Ja też chcę dzwonić do Ciebie, mamó
i mam Ci tyle do powiedzenia,
codziennie więcej i więcej.
Jesteś tak blisko, a coraz dalej i dalej,
bo rośnie liczba dni i miesięcy, a niedługo lat,
odkąd Cię widziałam.
Tylko w snach i na zdjęciach
pochylasz się nade mną
i coś szepczesz.
I lepsze zdjęcie niż nic.
Niż głuchy telefon
i poczta głosowa, która już dawno nie działa.

Pierścionki

Twoje buty są dla mnie za duże, mamó,
rozejdą się po świecie,
znikną jak płaszcze i spodnie.
Ale pierścionki pasują jak ulał.
Zielony i perłowy,
i srebrny z małym oczkiem.
A złoty, połyskujący,
który miałaś na palcu,
kiedy zapadałaś w otchłań snu,
dali nam w kopercie
z Twoim imieniem i nazwiskiem,
żeby się nie pogubił po Twoim odejściu jak my,
żeby trafił w ciepłe ręce.
Lubiłaś mi kupować pierścionki, mamó:
księżycowy, niebieski
i ten udający kwiat.
I teraz jesteś cała w pierścionkach
na moich rękach.

Cudowne lata Feli Hirschman

12 maja 1939, Kraków

Nazywam się Fela Hirschman... a właściwie powinnam przedstawiać się jako panna Felicja Hirschman, bo to brzmi poważniej. A ja mam już dziesięć lat, więc jestem dostojną panną. Mieszkam w pięknym domu na przedmieściach Krakowa. Mój Tatuś – profesor Hirschman, jak nazywają go pacjenci, jest najlepszym lekarzem kardiochirurgiem na świecie! Tak, to prawda, w salonie w moim domu znajdują się jego medale z prawdziwego złota! Moja kochana Mama nie pracuje, jest po prostu Mamą, w pełnym słowa tego znaczeniu. Zawsze mogę przytulić się do jej piersi i wdychać jej lawendowe, delikatne perfumy, które kojarzą mi się z moim szczęśliwym dzieciństwem. Mieszka też z nami panna Magda, moja guwernantka. Powiem Wam w sekrecie, że nie bardzo ją lubię. Codziennie każe mi jeść owsiankę na śniadanie i zawsze, ale to zawsze informuje Mamusię, kiedy się krzywię przy jej jedzeniu. Fe... Marzę o dniu, kiedy nie będę musiała jej jeść. Czuję się bardzo szczęśliwą dziewczynką. Mama mówi, że mamy żydowskie korzenie, ale mnie to mało obchodzi. Ot, tyle co nic! Może trochę czuję się wyjątkowo, patrząc na moje głębokie czarne oczy i hebanowe, lśniąco włosy. Są takie inne od złotych warkoczy Lusi Kucówny, mojej najlepszej przyjaciółki. Oczywiście trapią mnie też zmartwienia: wczoraj dostałam dwóję z rachunków! Ja, najlepsza uczennica w klasie! To był cios prosto w moje wrażliwe serce. Sprawę pogorszył fakt, że panna Olszówka, nasza nauczycielka, okazała się pacjentką Tatusia i wszystko mu wyśpiewała! Życie jest okropne!

16 lipca 1939, Międzyzdroje

Czy życie nie jest piękne? Lato w słońcu skąpane... słońce rozżarzone niczym węgiel, przyjemnie rozgrzewające każdy rozleniwiony skrawek ciała, turkusowe, słone fale niczym jedwabna pościel nakrywająca złocisty i mięciutki, gorący piasek, delikatna bryza wiatru nieśmiało muskająca policzki i dojrzałe, pachnące latem krwistoczerwone truskawki, będące smakiem wolności i beztroski... Nie, nie, kochani, to nie wiersz znanego poety. To moje odczucia wakacyjne. Znalazłam się w raj, czyli w modnym pensjonacie w Międzyzdrojach. Do tego nieba trafił ze mną moi Rodzice i co bardzo mnie cieszy, moja kochana Lusja Kucówna ze swoją Mamą, panią Wandą. Na szczęście owsiankowy koszmar, czyli panna Magda, został w domu ze swoją nadętą miną. Czy mogę być jeszcze bardziej szczęśliwa? Ja, dorosła (no prawie) dziewczynka, PRYMUSKA KLASY! Tak, moi drodzy, tę nieszczęsną dwóję poprawiłam. Wiele mnie to kosztowało, bo Tatuś polecił mi chodzenie na komplety do pana Drozda! Ale cóż, cel uświęca środki!

31 sierpnia 1939, Międzyzdroje

Dziwne, naprawdę dziwne... Dzisiaj, kiedy się obudziłam, zobaczyłam, jak Mamusia płacze, a Tatuś trzyma swą zatroskaną głowę w dłoniach. Usłyszałam tylko, jak mówi:

– Wojna, będzie wojna. Trzeba było wyjechać, Helenko (imię mojej Mamy) w trzydziestym siódmym do Szwajcarii, kiedy proponowano mi stanowisko ordynatora w Zurychu. Ale nie, ty musiałaś zostać w swoim domu, ze swoimi kwiatami, ze swoimi przyjaciółkami....

I nie dokończył, bo Mama zaszlochała:

– Ach, Józiu, myślę, że wszystko skończy się szybciej, niż myślimy. Anglia i Francja nas nie zostawiają... Mamy sojusze... te sojusze... poprzez te sojusze... musi być jakieś wyjście. – Moja rodzicielka plątała się w swych wypowiedziach...

Wojna! Ta myśl spowodowała, że przyjemny dreszcz przebiegł moje ciało. Może nie będę musiała wracać do szkoły po wakacjach? I przeżyję tyle przygód! Tak, tak, spiszę je wszystkie... Bo ja chcę zostać w przyszłości znaną pisarką, nie matematyczką, o nie! Pisarką, najbardziej znaną na świecie! Myśląc o tych przyjemnych rzeczach, jakie mnie czekają, usłyszałam jeszcze mamine „tragedia!” i znowu drwiąco się uśmiechnęłam.

Też mi tragedia! Ile ja już tragedii przeżyłam w moim dziesięcioletnim życiu? A to ta nieszczęsna dwójka z rachunków, a to kłótnia z Lusią, a to wielka, tłusta plama na mojej haftowanej, jedwabnej sukience... Ja się tam cieszę z wojny. Idę porozmawiać o tym z Lusią, ciekawe, czy ona się boi...

1 grudnia 1939, Kraków

Żyje nam się teraz zupełnie inaczej. Chyba jednak ta wojna nie jest taka wspaniała, jak myślałam wcześniej. Lusia też się ze mną zgadza. Trochę smutno się zrobiło. Najgorsze to, że musieliśmy opuścić nasz dom. To było straszne. Panowie, ubrani w wysokie buty, eleganckie mundury wymachiwali najprawdziwszymi pistoletami i krzycząc „Jude”, kazali się nam wynosić! Zabraliśmy tylko dwie walizki, torbę lekarską Tatusia i lekarstwa. Mieszkamy teraz na starym poddaszu przy ulicy Brackiej, w małym pokoiku. Stoją w nim dwa łóżka, a właściwie żelazne prycze, surowy stół i dwa poobijane krzesła. Żeby było weselej, Mamusia pozwoliła wymalować mi na ścianie czerwone maki i złote słońce. Od razu zrobiło się nam radośniej. No i co dziwniejsze, od dzisiaj mamy nosić jakieś śmieszne opaski na prawym rękawie ubrania i płaszczy, zaopatrzone w gwiazdę Syjonu. Nie wiem po co. Lusia wcale nie musi ich nosić. A moi Rodzice i ja – tak. Właściwie to teraz trochę się cieszę, bo mają je nosić osoby, które skończyły dziesiąty rok życia. Zatem mogę uznać się za dorosłą!

12 maja 1940, Kraków

Straszne! Znowu musimy się wyprowadzać. Tym razem nie wiem nawet gdzie. Mamusia znowu stale jest zapłakana. Ciągłe rozmawia z Tatusiem o jakimś depozycie w banku szwajcarskim. Nic z tego nie rozumiem. Rodzice sprawiają wrażenie tak nerwowych, że nie potrafię już z nimi normalnie rozmawiać. Wiem tylko, że Lusia przeprowadzać się nie musi. Czemu Niemcy nas tak nie lubią? Może nie podoba im się mój nieco haczykowaty nos? A może smutne, ciemne oczy? Naprawdę nie wiem. W gazecie napisano o nas „podludzie”. A ja nie jestem żadnym podczłowiekiem, jestem człowiekiem normalnym, zupełnie normalnym. Na pewno nie gorszym od Niemca. Wiem to na pewno, bo Lena Boer, dziewczynka niemieckiego pochodzenia, która była uczennicą naszej klasy, miała najgorsze oceny na półroczu. A ja najlepsze! Więc czemu ja mam być tym gorszym człowiekiem niż ona? Chyba moje krzyki rozpacz w końcu zdenerwowały Mamusię, bo na moje setne pytanie, dokąd się przenosimy, padły słowa „do getta”!

15 października 1941, Kraków

Żyjemy w piekle. Trafiliśmy do najsmutniejszego miejsca na ziemi. Tatuś obiecuje mi, że już niedługo wojna się skończy i skończy się nasza męka. A ja mu wierzę, bo przecież Tatuś nigdy mnie nie okłamał... Mieszkamy w obskurnym, małym mieszkanku. Ciągłe mi zimno, kaszlę przez cały czas. Mamy tylko dwa koce, którymi przykrywamy się w nocy i dwa płaszcze, które nosimy na zmianę z Mamusią. Nie mamy pieniędzy i jedzenia. Moją ulubioną rozrywką stało się myślenie o jedzeniu. Właściwie myślę o nim cały czas. Wyobrażam sobie, że noga od stołu jest pyszną kiełbaską, żółta, odrapana miska – smakowitym ciastem, wystające nitki z mojej sukienki – niedzielnym makaronem, woda w kafuży – wykwinnym rosółem... Ach!

16 października 1941, Kraków

Wszystko się jednak ułoży. Tatuś miał rację. Dzisiaj zdarzył się cud. Siedzieliśmy sobie w naszej ruderze, aż tu nagle słyszymy łomot do drzwi. Powiem prawdę, że tak się przestraszyłam, że schowałam się pod stół i zacisnęłam mocno oczy. A kiedy je otworzyłam... zobaczyłam pannę Magdę, moją guwernantkę, we własnej osobie!

– Owsianka! – krzyknęłam z nadzieją w głosie. A moje słowa okazały się prorocze, bo zaraz na stole znalazła się gorąca owsianka, ale nie tylko: duży kawałek soczystej szynki, bielusięńkie mleko, pachnący bochen chleba... Panna Magda tłumaczyła swoim piskliwym głosikiem, że poruszyła niebo i ziemię, żeby dostać przepustkę i do nas wejść. Obiecuję, że nigdy już nie będą pluć owsianką, nawet po wojnie, i nigdy nie pomyślę źle o panie Magdzie!

12 grudnia 1941, Kraków

Znowu zmiany. Mamusia została szwaczką i pracuje w fabryce pana Szulca. Tatuś całe dni spędza, leżąc innych. To takie dziwne. Jest u nas ciągle pełno ludzi. Jedni kaszlą, drudzy wyją z bólu, inni mdleją. Ale wszyscy, ale to wszyscy błagają Tatusia o pomoc. A Tatuś nigdy, ale to nigdy nie odmawia. Ja słyszę tylko strzępki rozmów Rodziców. Na przykład takie:

– Musisz Józiu, brać pieniądze za leczenie!

Albo:

– Znowu leczysz za darmo! Józiu, my nie mamy za co żyć!

I najgorsze, co udało mi się usłyszeć:

– My umrzemy tutaj, zginiemy do reszty, bo leczysz innych, a my nie mamy za co kupić lekarstw!

Nigdy przed wojną nie słyszałam, żeby Rodzice się kłócili, a teraz zdarza się to niemal codziennie. Najgorzej było, kiedy pewnego dnia Tatuś przyprowadził z ulicy chore, ledwo trzymające się na nogach, zawzione dziecko.

– Mała z nami zostanie przez jakiś czas, póki nie wydobrzeje – orzekł spokojnie Tata, niemal sam do siebie, kładąc chore dziecko na naszym łóżku.

Wtedy Mama krzyknęła tak głośno, że niemal sufit się zatrzęsął:

– Po moim trupie! Albo ona, albo ja, twoja żona i Fela! Wybieraj, mam dość! Ona i tak umrze, a ty marnujesz ostatnie lekarstwa dla niej, zamiast dla nas!

Wtedy Tatuś spokojnie poprawił okulary na swoim nosie i rzekł słowa, które na trwale zapadły mi w pamięć:

– Jestem lekarzem, składałem przysięgę. Helenko, może i jest wojna, ale i ja toczę tutaj swoją. Ile już osób zdołałem uratować w tym piekle? No ile? Ja z nimi wygram, wygram! Każde życie stanowi sto procent. Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat... tak, tak, tak...

Mama nie odeszła jednak, została i pielęgnowała zarażoną tyfusem dziewczynkę, którą udało się Tacie uratować i po którą zgłosili się niebawem dalecy krewni z ulicy obok.

– Cud – szeptał Tatuś, kiedy patrzył na wracające do zdrowia dziecko.

– Cud – powtarzała Mama.

Ja też czekam na cud, żeby wreszcie się stąd wydostać! Wrócić do mojego wielkiego domu, szkoły i Lusi! Jak ja za tym tęsknię!

10 marca 1942, Kraków

Boję się... boję... tak strasznie się boję! Boję się każdą cząstką mego ciała, boję się każdą kostką i każdym oddechem. Dzisiaj zostałam w domu sama, jak zawsze. Mamusia poszła do szwalni, a Tatusia wezwano do rodzącej kobiety z ulicy naprzeciwko. Pisałam sobie swoje wiersze, kiedy nagle usłyszałam kroki nadcho-

dzące do naszego mieszkania. Z początku moje ciało przeszły dreszcz emocji i serce napętniło się radością, bo przeszło mi przez głowę: a może to znowu panna Magda i jej wspaniała szynka?

Ale to nie była szynka, to byli... Niemcy! Usłyszałam ujadanie wilczurków na klatce schodowej i zanim brutalnym kopniakiem oficer otworzył drzwi, zdążyłam schować się pod łóżko. Tak kazali mi zrobić Rodzice, w sytuacji, kiedy Niemcy weszliby do naszego domu. Spod łóżka widziałam lśniące, wyczyszczone na błysk buty. Czułam, że właściciel tych butów zbliżył się do mojej kryjówki. Zaciśnęłam mocno pięści, trzymając w nich żółty koralik, prezent od Lusi, który zawsze przynosił mi szczęście. Kroki oddaliły się... Jednak po chwili spod mojej kryjówki zobaczyłam psie łapy... Zwierzę było coraz bliżej i bliżej, i bliżej... Aż tu nagle pełną napięcia scenę przerwał głośny strzał i ludzki jęk.

Czy niemiecki oficer kogoś...? – to słowo nie chciało mi przejść przez gardło.

Jak można zrobić coś tak podłego drugiemu człowiekowi? A przecież Tatuś staje niemal „na rękach”, żeby człowieka wyleczyć, ulżyć w cierpieniu, a oni tylko „trach”... i... i... – myśląc o tym, zdałam sobie sprawę, że niemieccy oficerowie opuścili mieszkanie. Byłam uratowana, szczęśliwa jak nigdy dotąd. Wyszłam niezgrabnie spod łóżka, otrzepując sukienkę i dotykając mokrusieńkich od potu włosów. Nagle zobaczyłam płaczących Rodziców, którzy jak mnie zobaczyli, płakali dalej, tyle że już ze szczęścia. Przytulali i całowali mnie tak gwałtownie, że o mało nie udusiłam się od ich czułości!

5 grudnia 1942, Kraków

Dzisiaj znowu panuje spore zamieszanie. Rodzice krzątają się nerwowo po pokoju i wykrzykują różne zdania, których urywki udało mi się usłyszeć:

– Przecież nie jest możliwe odzyskać lokaty pieniężnej ze Szwajcarii! Józiu, ty żyjesz w obłokach! Nie, przeciwnie, ty w ogóle zapominasz, gdzie jesteś! – lamentowała Mama.

– Helenko, uspokój się – usłyszałam jak zwykle opanowany głos Taty. – Oni nie mogą nas wszystkich się tak po prostu pozbyć. No, nie mogą! Przecież Niemcy to kraj Goethego, Schillera...

Na te słowa Mamusia nie wytrzymała i wrzasnęła na cały głos tonem, jakiego wcześniej nie słyszałam:

– No dalej, uciekaj w świat nauki i w twoje książki, tak jest ci wygodniej!

A potem usłyszałam ledwo słyszalny, rozpaczliwy szept:

– Józiu, ja cię błagam, zrób coś. Wywieźli już Goldmanów i Leibnizów. Zaraz przyjdą po nas... Józiu, zrób coś...

To ostatnie zdanie wstrząsnęło mną. Dokąd wywieźli naszych sąsiadów? Do więzienia? Nie, to niemożliwe. To przecież porządni ludzie. Nic nie zrobili, nie można więc ich ukarać. A może wrócili do swoich domów? Na stronę aryjską? Na samą myśl o tym poczułam ukłucie zazdrości...

14 stycznia 1943, Kraków

Mam sekret, najprawdziwszy z prawdziwych, sekret! Mamusia i Tatuś uznali, że jestem już wystarczająco dorosła, żeby wyjawić mi ich największą tajemnicę. Budujemy krajówkę. Rodzice chyba nie chcą, żebyśmy udali się do tego miejsca, gdzie pojechali nasi sąsiedzi. Więc nie może być tam tak miło, jak na początku sądziłam. Ale właściwie to bardzo ekscytujące mieć „tajemniczą komnatę” (tak mówię o tej kryjówce). Tatuś wydrążył w ścianie „dodatkowe pomieszczenie”, które zostanie przykryte szafą. Niemcy na pewno nas tutaj nie znajdą. Mamusia żarliwie od samego rana robi swetry na drutach i następnie chomikuje je w „tajemniczej komnacie”. Ja pakuję do worka ostatnie suchary, jakie nam zostały, żebyśmy mieli co jeść. Tatuś wciąż drąży ścianę. Zastanawiam się, czy Lusia uwierzy mi we wszystko, co tutaj przeżyłam? Jak ja za nią tęsknię. I za szkołą... i za moją nauczycielką, panną Olszówką... za całym moim niewojennym życiem...

3 marca 1943, Kraków

Tak wiele się wydarzyło. Katastrofa! Niemcy odkryli naszą kryjówkę! I to przeze mnie! I pomyśleć, że potrafiłam pozostać bardzo dzielną, chowając się pod łóżkiem, a nie wytrzymać ze strachu w „tajemniczej komnacie”. A było to tak: kiedy usłyszeliśmy tupot żołnierskich butów na klatce schodowej, natychmiast schowaliśmy się w naszej kryjówce. Wszystko szło sprawnie. Przecież ten scenariusz omawiałam z Tatusiem setki razy. Mam wejść z Rodzicami do skrytki, pozostać cicho i zamknąć oczy. I tak też zrobiłam. Ale... z ukrycia usłyszałam nagle wystrzał pistoletu, ludzki jęk, taki sam, jak wtedy, kiedy leżałam ukryta pod łóżkiem.

– Aaaaaaa!!! – krzyknęłam na cały głos, kątem oka widząc przerażoną twarz Mamy. – Aaaaaaa!!! – krzyczałam już bez opamiętania.

Jak przez mgłę pamiętam, jak niemiecki oficer rozgromił szafę, przykrywającą naszą kryjówkę i bez litości, popychając nas, wyprowadził na Umschlagplatz. Ja płakałam cały czas, ale już nie ze strachu, tylko dlatego, że zawiodłam Rodziców. Nie udało mi się dochować tajemnicy. Więc nie mogę mówić o sobie, że jestem dorosła.

– Byłaś bardzo dzielna. – Nieoczekiwanie przytuliła mnie Mama.

– Mamy najbardziej bohaterską córeczkę na świecie – dodał Tata.

Poczułam się wspaniale, jakby ktoś położył mi ciepłą dłoń na sercu. Już się nie bałam. Siadłam w kucy na betonie i przypatrywałam się ludziom, stłoczonym na peronie. O, ile tu osób, które leczył mój Tata. I... nie, to niemożliwe... Jest i ta mała dziewczynka, którą kiedyś mój Tataś przyniósł do domu, o którą tak spierał się z Mamusią i którą cudownie wyleczył.

Ależ wyrosła! – pomyślałam rzewnie. Ile wysiłku włożyli w to moi Rodzice, żeby ta mała teraz tak radośnie podskakiwała!

A tak w ogóle, to wiem już, gdzie się udajemy. Do Treblinki. Nie wiem, co to dokładnie za miejsce, ale cieszę się. Nigdzie nie może być gorzej niż tutaj, to wiem na pewno. Aha, i wciąż wierzę, że ludzie tak naprawdę są raczej dobrzy aniżeli źli! O, nadjechał pociąg, zaraz wsiadam. Ale napiszę Wam o tym nowym miejscu, zaraz po przyjeździe. Przrzekam!



Ostatni raz

Obiecujesz sobie
że to już ostatni raz
a jutro
o poranku
na nowo
i tak
zapomnisz
kluczy
żelazko wyłączyć
lub rozum
zostanie
gdzieś
pod poduszką
na tydzień
lub dwa

Zakochałam się

Zakochałam się
to już piąty raz w tym roku

Moja nadzieja
rozszczepiona
na pięć
wzlotów
i upadków

Zakochałam się
to już piąty raz w tym roku

Moja próżność
wyszła z kwaciarni
z bukietem
lub pięcioma

Zakochałam się
to już piąty raz w tym roku

Moja wyobraźnia
zbudowała
królestw pięć
z nikim u boku
na tronie

Zakochałam się
to już szósty raz w tym roku

Nie każ mi powtarzać
wszystkich
tych rzeczy
tylko
bądź
początkiem
mego
końca

Popekane serce

W tej kawiarni zawsze, gdy zamawiałem kawę z mlekiem, przynoszono mi latte. Dlatego też nie bywałem tu zbyt często. Może kilka razy w miesiącu. Tylko wtedy, gdy nie miałem pomysłu, gdzie akurat usiąść i spokojnie pomyśleć.

Kelnerkami były młode kobiety, zapewne studentki. Nie uśmiechały się jednak nigdy i nie były zbyt miłe. Widocznie pracę traktowały jako kolejny przymus w swoim życiu.

Siedziałem w ratanowym fotelu przy kawie, która wyglądała jak kubek mleka. Dziwnie się z tym czułem i udawałem, że wcale do mnie nie należy. Przeczytałem poranny dziennik i miałem wrażenie, że coś mnie właśnie omija. Teraz, w tym momencie. Gdzieś obok dzieje się coś ważnego, a ja o tym nie wiem i w tym nie uczestniczę. Tylko co to było?

Zastanawiało mnie to, ponieważ często kierowałem się swoimi odczuciami. Zazwyczaj jednak były mylne i doprowadzały mnie do niepotrzebnych perturbacji.

Dlatego też postanowiłem zająć myśli zupełnie czymś innym. Gdzie dzisiaj pójść na drinka? W tym mieście było tak mało alternatyw. A może po prostu byłem zbyt wybredny i znudzony?

W tym momencie do mojego stolika podszedł wysoki mężczyzna. Objąłem go spojrzeniem, próbując wyteńczyć swoją pamięć.

– Mogę się przysiąść? Dosłownie na minutkę – zapytał grzecznie, wskazując wolne miejsce.

Stwierdziłem z pewnością, że nie był mi znany. Ubrany nienagannie w beżową marynarkę i białą koszulę, budził zaufanie. Machnąłem zachęcająco ręką.

Usiadł naprzeciw i położył ręce na stoliku. Zauważyłem, iż ma duże dłonie, zakończone ogromnymi, ale zadbanymi palcami.

– Znam pana z widzenia, bywa pan tutaj od czasu do czasu – stwierdził, uśmiechając się przy tym i odślaniając żółte od papierosów zęby.

Przytaknąłem, sięgając po kawę i zastanawiając się, co ten facet będzie zaraz mi chciał sprzedać. Koszule, odkurzaczy czy może coś zupełnie innego?

– Od niedawna prowadzę pewne przedsięwzięcie i szukam stałych klientów. Pan wygląda mi na kogoś zaufanego i rozsądnego – mówił dalej, patrząc mi prosto w oczy.

Odwrociłem wzrok w stronę kelnerki, która przechodziła obok. Czy ja wyglądam za rozsądnego i zaufanego? Ten gość chce mi sprzedać prochy? – przemknęło mi przez myśl.

– Co chce mi pan zaoferować? Bo nie bardzo rozumiem – powiedziałem z grymasem, który jednoznacznie oznaczał irytację z tej rozmowy.

Gość wyprostował się i skrzyżował dłonie, które nadal trzymał na stole.

– Chodzi o panienci. Mam duże, małe, cycate i płaskie. Jedna ma nawet skośne oczy i żółtą skórę. Co pan na to? Ceny oczywiście konkurencyjne, ale za jakość trzeba odpowiednio zapłacić – odparł szeptem, czekając w napięciu na moją reakcję.

Miałem ochotę głośno się roześmiać, ale nie chciałem robić mu nieprzyjemności. Otworzyłem szeroko usta, udając zdziwienie.

– Bierze mnie pan za zupełnie kogoś innego – zacząłem mówić spokojnie i powoli. – Jestem szczęśliwie żonaty od dziesięciu lat i mam dwójkę dzieci. Przychodzę czasami do tego lokalu, aby chwilę odetchnąć od codzienności – kłamałem jak z nut, chcąc się go jak najszybciej pozbyć.

Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem. Wstał energicznie i poszedł w stronę drzwi od toalety.

Sięgnąłem za szklankę i dopiłem tę pseudokawę, chcąc opuścić to niefortowne dla mnie miejsce. Przy wyjściu uregulowałem rachunek, nie dając napiwku i wyszedłem na zewnątrz.

Przywitał mnie lekki wiatr i słońce ledwo przedzierające się przez chmury. Było na tyle ciepło, że postanowiłem urządzić sobie spacer. Skierowałem się deptakiem wzdłuż alei Niepodległości, zastanawiając się, co poczynić z resztą dnia.

Gdy minąłem Biuro Wystaw Artystycznych i stanąłem przy pomniku Bohaterów Westerplatte, w końcu się zdecydowałem. Wsiadłem do stojącej nieopodal taksówki i kazałem zawieźć się do hotelu Qubus.

Wszedłem do prawie pustego hotelowego baru. Było późne popołudnie i nie spodziewałem się zastać tutaj wielu klientów. Usiadłem przy barze, rozglądając się wokół. W jednym z rogów siedział otyły, starszy, krótko ścięty mężczyzna, który popijał piwo i wyglądał na niemieckiego turystę. Oprócz niego w lokalu przebywało też małżeństwo sędziwych starszusków, mówiących do siebie po niderlandzku.

Zamówiłem kwaśnego drinka, który tutaj zawsze mi smakował. Nigdy nie pamiętałem jego nazwy, ale za każdym razem dostawałem to, czego oczekiwałem. Utkwiłem wzrok w szklance i popłynąłem myślami.

Zastanawiałem się, ile to już lat jestem samotny i dlaczego tak właśnie jest. Co jest tego przyczyną i gdzie tkwi problem? Czy tak naprawdę chciałem z kimś być na stałe?

– Ech – wyrwało mi się głośne westchnienie.

W tym momencie do pomieszczenia weszła zgrabna brunetka. Usiadła na krześle obok mnie i obrzuciła ciekawskim spojrzeniem. Miała długie kręcone włosy i urodziwą twarz. Ubrana w czarną sukienkę do kolan prezentowała się bardzo podniecająco. Poczułem ekscytację.

Zamieniła kilka zdań z barmanem i zamówiła whisky z lodem. Później spuściła głowę i zamyśliła się. Postanowiłem nie czekać i działać.

– Ładne popołudnie, nie sądzi pani? – odezwałem się.

Odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła ironicznie. Zauważyłem krwistą szminkę na jej ustach.

– Ma pan na myśli pogodę czy może coś innego? – odparła z flirtującym spojrzeniem. – Jeżeli stan ducha, to nie bardzo pan trafił – dodała po chwili poważnie.

Sięgnąłem po szklankę i upiłem łyk alkoholu. Ale mi się trafiło, pomyślałem zadowolony.

– Tak piękna kobieta musi być szczęśliwa. Nie ma innego wyjścia – powiedziałem, posyłając jej spojrzenie, które mówiło tylko jedno.

Odgarnęła włosy i przemknęła wzrokiem po półce z alkoholami. Widać było, że zastanawia się, co powiedzieć.

– Nie wtedy, gdy nie może zaspokoić wymagań tego, kogo kocha – stwierdziła tajemniczo po dłuższej chwili.

Zastanawiałem się, co to może oznaczać i o jakie wymagania chodzi. Doszedłem jednak do wniosku, że po prostu bawi się ze mną.

– To raczej ten ktoś powinien spełniać wymagania tak pięknej kobiety. Dla takiej osoby jak pani byłbym skłonny zrobić naprawdę wiele – oznajmiłem odważnie.

Zaśmiała się głośno, a później sięgnęła po swoją szklankę. Po chwili niby nieuważnie przeciągnęła dłoń po moim udzie.

Po tym geście zrobiło mi się naprawdę gorąco. Odpiąłem kolejny guzik od koszuli i też sięgnąłem po drinka. Przez dłuższy czas nie odzywaliśmy się do siebie.

Nagle wstała z miejsca i sięgnęła do torebki po portfel. Rzuciła niedbale banknot na bar i podeszła do mnie blisko. Poczulem zapach jej agresywnych perfum.

– Ma pan ochotę dokończyć naszą rozmowę w moim pokoju hotelowym? – zapytała zdecydowanie i bez wahania.

Co miałem odpowiedzieć? I czy była możliwa inna odpowiedź?

Sięgnąłem po pieniądze i uregulowałem rachunek. Ona stała obok i czekała.

Skierowaliśmy się korytarzem ku schodom. Weszliśmy na pierwsze piętro i zatrzymaliśmy przed pokojem 102. Wyciągnęła kartę magnetyczną i otworzyła drzwi. Wskazała ręką, abym wszedł pierwszy, co też uczyniłem.

Pomieszczenie nie było zbyt duże. Mieściło podwójne łóżko, stół, dwa krzesła i telewizor, który wisiał na ścianie. Zwykły hotelowy pokój o niezłym standardzie.

Stałem na środku i odwróciłem się do niej. Zauważyłem, jak przekręca wewnętrzny zamek drzwi, a kartę chowa z powrotem do torebki.

– Kochanie, przyprowadziłam kogoś, kto chętnie spełni wszystkie nasze oczekiwania! – krzyknęła w stronę drzwi od łazienki.

Struchlałem ze strachu i zdziwienia, bo zupełnie nie rozumiałem sytuacji, w jakiej się znalazłem. Poczulem, jak powoli uginają mi się kolana.

W drzwiach pojawił się mężczyzna. Niski, łysy jak kolano, ze złotym łańcuszkiem na szyi, a do tego wszystkiego w samych slipach. Uśmiechnął się na mój widok, a ja zauważyłem jego wzwód.

– Bardzo mi będzie miło pana poznać. Dzisiaj są moje urodziny, a zawsze marzyłem o seksie w trójkącie. Nie spodziewałem się, że żona spełni moje wymagania. Jest pan naprawdę przystojny – powiedział, podchodząc do mnie i łąpiąc za biceps.

Otwarłem szeroko oczy, jakbym zobaczył zjawę z najgorszego koszmaru. Zrobiło mi się duszno i nie mogłem nabrać powietrza do płuc. Ogarnęła mnie ciemność i straciłem przytomność.



Czekanie

Wiersz zdarza się
cierpliwie czekam
i słucham
co ma do powiedzenia
świat
za oknem

Inny

Kiedy idziesz
w przestrzeń ulicy
z iskąwką wiersza
i rozpoznajesz na nowo
zaułek
w którym mieszka echo
dawnych dni i zdarzeń
Inny

Zimą

Dzień staje się czysty i piękny
gdy śnieżycą zasypuje ogród
podwórze drogę i łąkę
nad stawem
i piaszczysty pagórek
na którym rosło gęsie ziele
i piołun którego smak
poznałem w wędrówce lat

Koniec lata

Pachniał żywicą sosen las
drogą w kolorze piaskowym
szli opaleni przytuleni młodzi
nad nimi szumiały
zielone korony
jastrzęb unosił błękit
w dolinie mrugało jezioro
wsiedli do łodzi
odbili od brzegu
kołysała ich fala
powoli odpływali
do rajów zakochanych

Werdykt

– ...skazuję na pięć miesięcy więzienia. – Sędzina ogłosiła wreszcie werdykt i natychmiast zdjęła z głowy biret, w którym się sobie zupełnie nie podobała.

– Wysoki sędzie, chciałbym o coś zapytać – odezwał się pokornie skazany.

– Proszę, niech Wróblewski pyta. – Znów założyła swą czapkę.

– Nie mam pretensji. Ukradłem, to zamkną mnie w kiciu. Ale co będzie z Bimbusiem?

– Właśnie, co z nim będzie? – zawołała jakaś kobieta siedząca na końcu sali. – Ja mam żylaki i męża pijaka. Nie mogę się nim opiekować.

– Ludzie, co wy mówicie? – zdenerwowała się sędzina. – Kto to jest Bimbuś?

– Bimbuś to jest mój trznadelek. Taki ptaszek.

– A ja mam żylaki i...

– Męża pijaka – przerwała jej. – A poza tym kim pani jest?

– Wróblewski wynajmuje u mnie pokój.

– Rozumiem – powiedziała sędzina. – A skąd Wróblewski ma tego ptaka?

– Znalazłem w parku. Miał przetrącone skrzydełko. Zabrałem go i odtąd mieszka ze mną. Ale latać nie może, tylko wlatywać jak kura.

– To prawda – przemówiła znowu kobieta z żylakami. – Patrz, pani! – Śmiało podeszła do sędziny. W ręce trzymała klatkę. Otworzyła drzwiczki i trznadelek wyskoczył na zewnątrz. Chwilę rozglądał się wokół, a potem wleciał na stół sędziowski.

– Wróblewski miał kumpla, Bernarda. – Znów ściągnęła biret. – Może jak on będzie siedzieć, Bernard zajmie się ptakiem.

– Bernard by się zajął. Ale szanowna pani raczyła go w zeszłym roku skazać na dwa lata.

– Ma rację – pokiwała głową. – A Nożownik?

– Nożownik miesiąc temu stanął przed Sądem Najwyższym.

– Nie wiedziałam – westchnęła zasmucona.

– A co będzie z Bimbusiem? – powtórzył pytanie Wróblewski.

– Ptak gatunku trznadel, imieniem Bimbuś, zostanie przez pięć miesięcy pod opieką wysokiego sądu – powiedziała poważnie i sięgnęła po młotek sędziowski, by uderzeniem potwierdzić werdykt.

– Nie! – zawołał nagle skazany. – Bimbuś się wystraszy.

Krótką modlitwa

Tramwaj numer 14 zatrzymał się na przystanku. Otworzyły się drzwi: ludzie zaczęli wysiadać, a potem wsiadać.

W tym samym czasie do tegoż tramwaju biegł jakiś chłopak. Biegł bardzo szybko, lecz wciąż był za daleko.

Kobieta stojąca na przystanku zmówiła krótką modlitwę: Boże spraw, aby zdążył.

Chłopak z głośnym tupotem w ostatniej chwili wbiegł do wagonu.

Minęło bardzo wiele lat, zanim oboje się spotkali.

– Wreszcie mam okazję podziękować za tamtą modlitwę.

– Nie mnie należy się podziękowanie. Ale wtedy czułam, że wyjątkowo zależy ci, by zdążyć.

– Całą noc uczyłem się matematyki. Nazajutrz miałem zdawać kolokwium. Ucząc się, w końcu zasnąłem ze zmęczenia. Obudziłem się, gdy już trzeba było wychodzić z domu.

– Gdybyś nie zaliczył wtedy kolokwium, wyrzuciliby cię ze szkoły.

– Na szczęście zaliczyłem. Skończyłem szkołę, znalazłem dobrą pracę. Ożeniłem się, urodziły się nam dwie córki. Po latach z kolei czworo wnuków. I jeszcze nawet zobaczyłem jednego prawnuka.



Egzamin

Ażeby zostać czeladnikiem, trzeba zdać egzamin praktyczny przed mistrzami danego rzemiosła. Jest on bardzo trudny i zarazem uroczysty, dlatego odbywa się w ratuszu.

Zbigniew właśnie zdał taki egzamin i już jako czeladnik ślusarski schodził rozradowany po schodach. Na jednym ze stopni siedziała jakaś dziewczyna i głośno płakała.

– Co się stało? – Zbigniew przykucnął przy niej.

– Nie ma Klaudii... za chwilę wchodzę... – wydukała wśród łkań.

Zadał jej jeszcze kilka pytań i dowiedział się, że miała ona zdawać egzamin na czeladniczkę fryzjerską. Do tego potrzebna była owa Klaudia, a właściwie jej włosy, by je ufrizować według żądań egzaminatorów. Lecz ta nie przyszła.

– A może moje włosy by się nadały? – zapytał Zbigniew.

Dziewczyna spojrzała na niego. Miał długie włosy, zaczesane w kitę, opadającą na plecy. Od razu przestała płakać. Takich włosów potrzebowała.

– Mam na imię Zbyszek – przedstawił się, nim weszli do sali, gdzie odbywał się egzamin.

– A ja Teresa.

W sali stał długi stół, za którym siedziała komisja egzaminacyjna. Przed nim zaś fotel fryzjerski i stół z przyborami.

– Może na początek kandydatka ostrzyże temu panu włosy do ramion. Zrobi przedziałek z lewej strony i grzywkę idącą w prawo – polecił przewodniczący komisji.

Teresa przystąpiła do pracy. Zadanie nie było łatwe, ale ona uporała się z nim szybko.

– A teraz zobaczmy, jak radzi sobie z lokami – powiedziała jedna z egzaminatorek.

Dziewczyna zmoczyła włosy Zbyszka, nawinęła na wałki i wysuszyła. Potem ostrożnie zdjęła wałki. Całość zaś utrwaliła lakierem.

– Dobrze, dobrze – rzekł przewodniczący. – Czy ktoś z koleżeństwa ma jeszcze jakieś zadania dla kandydatki?

– Tak, ja! – Jedna z członkiń podniosła rękę. – Od pewnego czasu obserwuję, że młodzież fryzjerska coraz gorzej farbuje włosy. Chciałabym się przekonać, czy u niej występuje też ta niepokojąca tendencja.

– Koleżanko, ale z farb mamy tu tylko rudą.

– Nie szkodzi, może być ruda.

Okazało się, że Teresa także umie świetnie farbować. Włosy młodego ślusarza zyskały piękny, ruben-sowski kolor.

Na tym zakończył się egzamin. Egzaminatorzy wyprosilili na chwilę Teresę, by się naradzić, a potem przywołali, aby oznajmić to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

– Zapraszam cię na lody – powiedział Zbyszek, gdy wyszli z ratusza.

– To ja cię zapraszam. Gdyby nie ty...

– Ale dzięki tobie mam piękną fryzurę.

– A ja zostałam dzisiaj czeladniczką.

– Ja też.

Doprawdy wiele ich łączyło.

Oto ona

zdaje się być
skromna
skryta
cicha
pełna
zdrowego rozsądku

nie!
to kłamstwa
nigdy taka
nie była
nigdy też
się nie zmieni
już na zawsze
taka sama...

...przyszłość

swą twarz
okazuje dopiero
wtedy gdy
się jej
zazna

pochopna
otwarta
na nowych
ludzi
nowe doznania
ulotna jak
wiatr...
...przyszłość

Tyle moich pytań

patrzę w niebo
zastanawiam się
gdzie jest granica
nieskończoności

leżę
potrzę w niebo
zastanawiam się
kiedy nasza miłość
zaczęła się kończyć

leżę
patrzę w niebo
zastanawiam się
co stanie się
w przyszłości

leżę
patrzę w niebo
powoli zaczynam
sobie uświadamiać
że nie ma nigdzie
odpowiedzi na te pytania

Andrut

1. Szacunek wsi Pałace

Noc spokojna jak każda inna, odkąd wprowadzili godzinę milicyjną, nawet psy jakoś tak mniej dupami szczekają. Zresztą, po co godzina milicyjna na wsi, w której największe zagrożenie dla jej mieszkańców stanowi próg sklepiku, o który można się potknąć i stracić zęby? A szkoda zębów, których zostało już może z 15 na całą wieś. Uzębienie w Pałacach jest zdecydowanie towarem deficytowym.

Niespodziewane uderzenie kamienia w okno szybko zerwało Zdzisława na nogi. Nic w tym dziwnego, bo ostatnia szyba, jaką można było wybić, została trafiona już kilka lat temu. Jedyne więc wyjaśnieniem tego nagłego hałasu było trafienie w pozostałości szkła, które nie zostały wyciągnięte z okna, a wręcz momentalnie uznane za element systemu zabezpieczeń domu.

– Dzieci na tej wsi nie mieszkają, babcie już na pewno śpią, zresztą żadna nie jebnie kamieniem na tyle, żeby mi w dom trafić. Taki cel trafi tylko ktoś pijany... WIESIEK, KURWA!

– He he, no co?

– Mogłeś mi, kurwa, oko wybić albo w głowę trafić tym kamieniem! – wykrzyczał Zdzisław z łóżka.

– Przecież ty jakieś dywany w oknach masz zawieszone, musiałbym nożami rzucać – odparł trzeźwiejący już Wiesław.

– Ale kółców w oknie już nie mam i teraz ktoś się włamać może – powiedział zaspany, lecz wyglądający tak samo jak zawsze Zdzisiek.

– A kto ci się do domu włamie? Mysz? Czy ten kulawy pies, jak mu tam, Ferrari...

– Ferrari ma kółka zamiast nóg z tyłu, Zbyszek specjalnie mu podjazd do budy zrobił. Po co tu przyszedłeś?

– Potrzebujemy trzeciego do pomocy, można dużo zarobić. Kojarzysz ten nowy sklep z towarami z zagranicy? Ten, co go taki wysoki Cygan prowadzi w mieście obok.

– Ten sam, co ma wielki głośnik alarmowy nad drzwiami? – zapytał agresywnym tonem Zdzisław, bo już wiedział, na jaki kretyński pomysł wpadli Wiesiek ze Zbyszkciem.

– Dokładnie, alarm to pic na wodę, nigdy jeszcze nie zawył – odpowiedział z pewnością w głosie Wiesiek.

– Bo nie miał okazji – skwitował Zdzisław. – Po co okradać najlepiej chroniony sklep?

– Żeby milicja się zaczęła bać, żeby ludzie zaczęli nas szanować, ŻEBY MIEĆ CO DO GARKA WŁOŻYĆ I DZIECI NAKARMIĆ!

– Przecież ty nie masz dzieci... a żarcie zawsze Jawniakowa zostawia ci na parapecie – powiedział już mocno zdenerwowany Zdzisław. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie tak bardzo chcą komplikować swoje życie.

– To stań na czatach chociaż – wyjęczał z błagającym wzrokiem Wiesiek – i weź jakiś samochód do uciezki, jak się zrobi gorąco! Widzimy się za godzinę – dodał i zniknął w ciemnościach wsi oświetlanej jedyną, zardzewiałą latarnią.

Zafamany swoim brakiem asertywności Zdzisław usiadł na skraju łóżka. Przecierając sklezione ze zmęczenia oczy, zorientował się, że te ręce będą jeszcze dzisiaj trzymać kierownicę samochodu, którego nie

ma. Po nałożeniu czarnych ciężkich butów z grubej, świńskiej skóry i zasuptaniu sznurówek na węzeł gordyjski Zdzisław przetań jeszcze na szybko obie pachy Białym Jeleniem, coby nabrać trochę świeżości i trzasnął za sobą popękaną sklejkę, która służy jako drzwi... Ażurową furtkę minął dokładnie o godzinie 2:16...

2. Bęben maszyny losującej jest pusty...

Szabrowanie ogródków działkowych w czasach młodości Zdzisława było czymś powszechnym, jednak on i jego niezawodna ekipa dwóch podobnych wiekiem lokalnych przygłupów: Zbigniewa i Wieśka wpadli na genialny pomysł wejścia na wyższy poziom i spróbowania swoich sił w opędzłowaniu sklepu monopolowego. Loteria genetyczna nie była łaskawa wobec całej trójki. Zdzisław – pomimo swojej postury Conana Barbarzyńcy, jedyne złoto, jakie wyrzucił światu, to niepójście do szkoły i masturbacja. Zbychu i Wiechu sumarycznie ważyli mniej od niego, jednak pewnością siebie i bezczelnością potrafili konkurować z najgorszymi zakapiorami gangu Carringtona.

Celem okazał się jeden z nowo otwartych zagranicznych sklepów, tych, co w asortymencie zawierały żelki zza niemieckiej granicy, jak i koreańskie radiobudziki, które egzotycznością nazw przywoływały na myśl przypadkowe słowa wypowiedane przez Chińczyków.

Godzina 2:56, zniecierpliwieni Zbigniew i Wiesław czają się w krzakach nieopodal sklepu wielobranżowego, którego nowiutki, biały szyld z napisem w języku romskim „Kames? Cin!” (Chcesz? Kup!) oświetla pobliskie, dolne części ścian bloków.

– Sami tego nie ogar... – odezwał się nagle zniecierpliwiony Zbyszek.

– Czekaj, bo jakiś silnik słyszę! – przerwał szybko Wiesiek.

Tak, to był dźwięk silnika. Czterocylindrowy klekot silnika bez oleju, stukanie przywołujące na myśl tylko jedno cudo polskiej inżynierii mechanicznej – nysę, a skoro nysa, to w środku zamiast Zdzisława siedzi wąsaty pan milicjant.

Pierdzenie z wydechu przerwała cisza, brzmiało to co najmniej jak ostatnie tchnienie różna do kurczaków, którymi Zdzisław zajadał się za młodu. Zza budynku, skąd rozchodził się dźwięk, wyłoniła się postać wielkiego strażnika socjalizmu w przykrótkim mundurze i hełmie MO.

– No i chuj z bogactwa – wyszeptał, opluwając się ze zdenerwowania Wiechu.

– Pssst, jesteście? Wiesiek? Zbigniu? – Usłyszeli znajomy głos. – To ja, Zdzisiek.

– Zdzisław, kurwa... – odpowiedział cicho spękany Zbigniew – skąd ty mundur pałarza wzięłeś?

– Znalazłem przy drodze, rozumiecie to? – Zdzychu nie krył ekscytacji. – Jadę, patrzę, a tu hełm na kamieniu, zatrzymałem się, bo myślałem, że to nocnik i sprzedam, a tu takie cudo!

– No za dużo się nie pomyliłeś, Zdzychu – odparł Wiesiek. – Mundur też tam leżał?

– Nie, mundur znalazłem tu, niedaleko.

– Nyskę też zajebełeś po drodze? – zapytał retorycznie Wiesiek, ciągnąc Zdzisława do punktu obserwacyjnego. – Siadaj... ALBO NIE! STÓJ! Żadna pała nie siedzi na murku w trakcie obchodu.

Szarpanie przez Wieśka i gradobicie pytań, któremu Zdzisław został poddany, nie pozwoliły wydobyć mu z siebie najważniejszej odpowiedzi na pytanie tego wieczora.

W takim świecie nie ma miejsca na planowanie, więc pierwsze hasło od razu skierowało chłopaków w stronę sklepu.

O godzinie 3:00 w nocy nastąpiło zwolnienie blokady kamienia oraz zabicie witryny.

Emocje dały się we znaki, pierwszy torował drogę Zdzisław, który zapomniał o swojej funkcji patrolowej, dwa chłystki weszły zaraz za nim. Wycie alarmu sklepowego oraz zapalające się w oknach światła z lokalnych bloków wprowadziły Zdzisława w niemały stres. Godzina 3:01, z fantami w rękach oraz kupą w gaciach Zdzisław nie bacząc na swoich kompanów, którzy zamiast zbierać fup jedli cukierki, wybiegł tą samą drogą, którą dostał się do sklepu.

Niefortunnie na jego drodze leżał kamień rzucony minutę wcześniej, o który Zdzisław niefortunnie się potknął oraz niefortunnie, acz z gracją lotu orła poleciał twarzą w stronę postrzępionej od stłuczonego szkła framugi witryny sklepu. Z jedynym łupem, jaki się ostał, i szramą na twarzy pobiegł za bloki, nie zwracając uwagi na to, w którą właściwie stronę biegnie, a pobiegł akurat tam, gdzie stało ZOMO.

W tym samym czasie, dwóch pozostałych złodziejskich kompanów z lukrem na ustach oraz czekoladą na rękach wybiegło w stronę wcześniej zaparkowanej za rogiem przez Zdziśka nysy. Za rogiem oczywiście nie stała nysa, a traktor Ursus z '46 roku, którego silnik brzmiał identycznie jak nysa, a to dlatego, że jeszcze parę lat temu cała grupa porwała się na projekt przebudowy ciągnika i zamontowała w nim ukradziony przez Zbycha silnik starej nysy.

– Kurwa, wiedziałem... – powiedział załamany Wiesiek. Nic więcej nie musiał dodawać, w końcu pojazdem do ucieczki okazał się traktor, który nie jeździ pod górę. – Te nyski nigdy nie przestaną mnie prześladować...

– Jedna pewnie cię do grobu zawiezie, hehehe – odparł Zbyszek, szukając po omacku w ciemnościach kluczyka do stacyjki, zadanie z pewnością utrudniała mu topniejąca na dłoniach czekolada. – NIE MA KLU-CZA, JAK MY STĄD UCIEKNIEMY?

– Pchaj, ja prowadzę... Później się zmienimy
Zmieniali się sześć razy co około 70 metrów...

3. 997 – ten numer to kłopoty

Godzina 4:04

„Po co mi to było?” – pomyślał Zdzisław, otrzymując profilaktyczną lepę na łeb od milicjanta. „To było złe, zaasfaltowałem na karę”. Zdzisław usiadł na skraju pryczy odosobnionej celi posterunku milicji. „Czemu mówi się džins, a pisze jeans?” – zapytał w głowie, szukając sposobu na odciągnięcie swoich myśli od tego, że bardziej przerąbane miałyby tylko Hitler albo członek Pomarańczowej Alternatywy. „O, mają papier toaletowy – zauważył. – Owinię sobie nim twarz, że niby mnie boli i potrzebuje opatrunku, a tutaj podetrę się biletem”. Uśmiechnął się do siebie, przyciągając wzrok jednego z milicjantów, który pewnie od razu doszedł do konkluzji, że poranna rozmowa będzie jak bardzo szybka jazda po autostradzie debilizmu. „Mam andruta pod łóżkiem, oby nie wysechł” – pomyślał Zdzisiek, mrużąc oczy ze zmęczenia, w końcu było już dawno po *Uszatku*. „Nie no, puszczą mnie raczej wolno” – dodał sobie na otuchę, mając już zamknięte oczy i leżąc w pozycji embrionalnej. „Pewnie dadzą mi medal za rozwalenie tej kapitalistycznej witryny, tfu...”

Godzina 7:00

– Pobudka! – wykrzyczał milicyjny strażnik, komponując swój krzyk z dźwiękiem odbijanej białej, gumowej pały od krat. – Najpierw odpowie na kilka pytań, a później dam świni zjeść!

– Już, wstaję – wydukał Zdzisław, pociągając gęstą wydzielinę w nosie.

Metaliczny chrobot klucza przekręcanego w zamku celi stworzył w jego głowie obawę, że tak już może zostać na wiele lat. Łza na lewym oku mimowolnie uroniła się, kapiąc z pochylonej twarzy na szary beton.

– Wstaje i podchodzi do ściany – powiedział bezosobowo milicjant. – Wychodzi, staje po lewej, twarzą do ściany... i odda mi ten papier toaletowy, naczelnik dzieciom do domu zabierze.

Po krótkim spacerze na drugi koniec korytarza Zdzisław zostaje siłą wrzucony do pokoju. Ściany przyozdobione są rozkładówkami szwedzkich pań, które w rozkroku potrafiłyby chyba stanąć na dwóch kontynentach jednocześnie. Na samym środku pomieszczenia znajdowało się biurko, za którym siedział grubas z tłustym, rudym od papierosów wąsiskiem. Jedyna rzecz, która dzieliła go od normalnego funkcjonariusza, to opasłość, która przeszkadzała mu tylko w znalezieniu odpowiednio dużej kieszeni na łapówkę.

– Podejrzany siada, a ty, Stasiu, bransoletki mu zdejmij.

– Tutaj? – zapytał Zdzisław, wskazując palcem metalowy stółek z dospawanym stalowym oparciem.
– Nie gada, tylko siada. Gada, jak ja pozwolę – odparł tajemniczy wąsacz. – Dzięki, Stasiu, dalej już sobie poradzę.

Cisza od momentu trzaśnięcia drzwiami wydawała się trwać wiecznie, jedyne, co miało prawo ją przerwać, to agresywne siorbanie świeżo zalanej kawy pitej przez tłuszciocha i syczenie żarzącego się tytoniu w papierosie, którego popiół kruszył się i spadał na świeżo pozótkłą od dymu plakietkę podkomisarza Andrzeja Bąka.

Miażdżony papieros w popielniczce zwiastował zawieszenie ciszy na czas nieokreślony.

– Nazwisko... – mruknął w końcu pod nosem wąsaty milicjant. Gdy Zdzisław nie odpowiedział od razu, mężczyzna podniósł wzrok. – NAZWISKO, KURWA!

– Róż...

– Co to za pedalskie nazwisko? Może dlatego zgwałciłeś tę kobietę? – zapytał podkomisarz.

– Ale ja nikogo nie zgwałciłem, co to w ogóle znaczy „zgwałcił?” – Spojrzał Zdzich, szeroko otwierając oczy. Tak, jakby uświadomił sobie, że wszystko zaczęło się przez jebanego Wieśka.

– Przebrałeś się za milicjanta, zagadałeś tę kobietę, uciszyłeś, zgwałciłeś i uciekłeś. Niedaleko co prawda, bo chłopaki dobrą robotę wykonali. Rana na twarzy od szarpania, strój, który karzełkowi chyba ukradłeś, no i godzina! Wszystko się zgadza.

– Dobrze, ja powiem prawdę, bo ja nikomu krzywdy nie zrobiłem – wydukał Zdzisław, przełykając wielką kulę, która teraz przechodziła przez jego gardło. – Ja na ten sklep napadłem, ten niedaleko, tego Cygana bogatego...

– A widzisz, Zdzisiu, bo my tych złodziejasków złapaliśmy chwilę po tobie i oni nie powiedzieli nam nic o trzecim włamywaczu – powiedział Bąk z uśmiechem, rolując jeden koniec wąsa w palcach...

Prawo rabusiów jest niezmiennie od zawsze, nikt nikogo nie sprzedą. Więc jak Zbyszek z Wieśkiem zostali zgarnięci przez milicję, to od razu przyznali się do napadu tylko we dwójkę.

– Sprawa ma się tak – powiedział bez zawahania podkomisarz. – Dycha za gwałt, dycha za pobicie tej kobiety, no i jak prokurator będzie miły, to jeszcze ci podrzucimy zbezczeszczenie munduru. – Uśmiechnął się w geście triumfu starszy milicjant. – No, dwadzieścia lat lekko dostaniesz.

– Ale ja tego nie...

– Posłuchaj, ja tutaj nie jestem, żeby słuchać twoich tłumaczeń, widzę jak czarno na białym, że to zrobiłeś. Dasz nam wizję lokalną, opowiesz wszystko bez ogródek, to ci pewnie sędzia z wyroku zejdzie i wyjdiesz jeszcze w tym tysiącleciu albo chwilę po. – Podkomisarz odchylił się na krzesło i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę fajek. – Na dołku będziesz jeszcze jeden dzień, przemyśl, co powiedziałem, i wypierdalaj na śniadanie.

4. Siostró, basen

– Wiadomo coś, doktorze? – zapytał prokurator, stojąc nad szpitalnym łóżkiem, na którym leżała ofiara gwałtu.

– Ma przebyte świadomości, wybudza się, zaczyna szarpać i krzyczeć. Tylko Relanium jej pomaga – odpowiedział spokojnym głosem lekarz, w tym samym czasie poprawiając woreczek z kroplówką.

– A mówiła coś? Kto to zrobił? Cokolwiek? – dociekał dalej prawnik.

– Od razu po przyjęciu na oddział krzyczała bez przerwy „wiginaw, wiginaw” (skończ), wierzgała nogami, tak, że musieliśmy ją pasami przypiąć, bo jedna z pielęgniarek jej piętą w czoło dostała – dodał doktor.

– Dziękuję, informacje na temat zmiany stanu zdrowia poszkodowanej proszę kierować bezpośrednio do mnie – zakończył prokurator, wręczając interniście swoją wizytówkę z numerem służbowym, po czym wyszedł z sali.

5. Cukropol

– Zbigniew Kloc, Wiesław Wiatrak. Kurwa, jeszcze trochę i nie będzie można się odezwać publicznie, bo ludzie zaczną myśleć, że każdego po nazwisku wołam – powiedział komisarz Bąk. – W dupie mam te wasze zjedzone cukierki, prowadzę bardzo ważną sprawę – dodał, wykładając swoje golonkowe nogi na biurko prosto przed twarz Wieśka i Zbyszka. – Ty rzuciłeś kamień w witrynę. – Wskazał palcem Wieśka.

– Nie, to nie byłem ja – wyjęczał szybko Wiesiek

– W takim razie, to byłeś ty, Zbysiu – odparł Bąk tonem oznajmującym zakończenie tej trudnej sprawy.

– Ja też nie rzuciłem. To prawda, zjadłem czekoladę, Mulatki, Raczki, Lentilky i popiłem coca-colą, ale ani ja, ani Wiesiek nie zbiliśmy tej witryny.

– To, kurwa, kto? Sam generał Jaruzelski wybrał sobie ten sklep, pierdolnął kamulcem w szybę i powiedział: śmiało, chłopaki, żyjcie, a ja znikam? – zapytał wściekły podkomisarz.

Rozmyślanie nad drugą najważniejszą zagadką w życiu wąsacza przerwało pukanie do drzwi.

– Wejść – wypowiedział niskim głosem Bąk.

– Panie komisasu, dziewczyna się wybudziła, można gadać z nią teraz – wypowiedział zadyszany, a zarazem podeksycytowany posterunkowy.

– Dzięki, bierz tych debili z powrotem, jedziemy pogadać z dziewczuchą. – Komisarz dogasił peta. – Z wami jeszcze pogadamy, cukiereczki. – Po czym wstał i wyszedł, zostawiając posterunkowego ze słodkimi rabusiami.

– Panna Gałęcka? – zapytał podkomisarz, stojąc przy szpitalnej pryczy, resztkami sił próbując powstrzymać się od śmiechu z kolejnego nazwiska.

– Gałęcka, chociaż już chyba nie panna – wydusiła Joanna, poruszając powoli obolałą szczęką.

– Pamięta pani, co zaszło? Wiem, jak ciężkie jest to przeżycie, ale musi się pani zebrać w sobie i opowiedzieć mi wszystko z dokładnymi szczegółami – powiedział niezręcznie komisarz, wyciągając w tym samym czasie notes, w którym robi służbowe notatki.

– Jestem opiekunką, rodzice dziecka wrócili do domu. Wyszedłem przed drugą – zaczęła spokojnie, lecz z drganiem w głosie kobieta. – Minęłam dwóch chudych mężczyzn siedzących w krzakach, odwracali głowę za każdym razem, gdy spoglądałam w ich stronę, wydawali się bardzo zdenerwowani.

– Jeden w czarnym golfie, a drugi w swetrze brąz? – zapytał komisarz, a kobietę przeszedł wstrząs.

– Tak, w swetrze brąz, takim jak pana wąs, panie detektywie. To oni za tym stoją? – zapytała ze szklanymi oczami dziewczyna.

– Nie, to dotyczy innej sprawy, proszę kontynuować, droga pani – zakończył szybko milicjant.

– Minęłam ten sklep ze świecą witryną, poszłam dalej prosto, podejrzewam, że było wtedy około 2:40.

– Czyli ci kretyni siedzieli w krzakach co najmniej 20 minut...

– Słucham? – zapytała, marszcząc brwi Gałęcka.

– Przepraszam, mam dużo na głowie. Chwilę po ataku na panią, na tej samej ulicy doszło do włamania – odpowiedział wyraźnie zestresowany podkomisarz, gdyż za wszelką cenę próbował połączyć ze sobą te dwa przestępstwa. – Więcej pani nie przerwę, obiecuję – zakończył komisarz.

– Chwilę po tym podbiegł do mnie wielki milicjant, miał co najmniej dwa metry wzrostu, ale jego mundur był stanowczo za krótki, widziałam jego skarpetki w akordeony, to była chyba pierwsza rzecz, na którą zwróciłam uwagę. – Kobieta zaczęła drżeć. – Zapytał, czy wiem, jakie jest „słowo klucz”. – Przywołałne słowa momentalnie rozbiły kobietę. – Nie wiedziałam, o co mu chodzi, mówił dość niewyraźnie, jego głowa była bez przerwy pochylona w dół, spod jego czapki wystawały kręcone blond włosy – dodała nieskładnie. – Uderzył mnie kilka razy w twarz, straciłam równowagę – wybuchła płaczem. – Rzucił mnie na brzuch. Kiedy to robił, bez przerwy krzyczał „wiginaw” – płakała. – Przyduśił mnie do chodnika i zemdlalam – zakończyła kobieta.

– Dziękuję, to bardzo pomoże – powiedział podkomisarz. – Mam na oku jednego podejrzanego, od razu, kiedy poczuje się pani na siłach, zaproszę panią na rozpoznanie – dodał, w tym samym czasie naciskając na klamkę od sali, w której leży poszkodowana. – Szybkiego powrotu do zdrowia – powiedział jeszcze znowu bez taktu Bąk, po czym wyszedł.

6. Wasyl Kwiek

– Wiesz, co najbardziej mnie zastanawia? Te skarpetki – powiedział podkomisarz Bąk do prokuratora. – Napastnik miał na nich akordeony, a Róż nosi wielkie, czarne trepy. Musiałby getry nosić, żeby zobaczyć, co ma pod tymi buciorami.

– A jak go zatrzymaliście, to jakie miał? – zapytał zaciekawiony prokurator.

– Kurwa, nawet go nie rozbieraliśmy, w stroju milicjanta do celi poszedł. Nie chciał nowego ubrania dostać. W tych sofiksach pewnie do teraz siedzi. – Podkomisarz zaczął nabierać podejrzeń. – Stasiu! – krzyknął przez interkom. – Gdzie Róż teraz siedzi?

– Według planu dzisiaj jedzie na rozpoznanie. Poszkodowana się odezwała i powiedziała, że jest gotowa – odpowiedział szybkim tonem posterunkowy Stasiu.

– Przekaz rozkaz, jakkolwiek on brzmi „NIE ŚCIAGAĆ BUTÓW PODEJRZANEMU RÓŻOWI” – krzyknął Bąk, po czym puścił guzik komunikacji ze Stasiem.

– Rozkaz, panie inspektorze.

7. Chuju! Zdechniesz w pierdlu, w Sztumie, chuju!

Trzy tygodnie Zdzisław w celi jak na ironię otworzyły mu trochę umysł. Nadal nie wie, do czego służy książka, ale udało mu się policzyć wszystkie kraty bez pomylenia się. Nawet list narysował do starej Jawniako-wej, żeby mu trochę świńskiej potrawy do aresztu przysłała.

Debile szybko adaptują się do nowych warunków. Z drugiej strony, czym różni się życie Zdziśka w celi od życia Zdziśka na wolności?

– Róż! Do kraty – wypowiedział stanowczym głosem klawisz aresztu śledczego. – Jedziesz na rozpoznanie.

– Na co?! – zapytał po raz kolejny zdziwiony Zdzisiek.

– Jak ofiara, którą zgwałciłeś, cię rozpozna, to lecisza pierdzieć w pasiak do Sztumu – odpowiedział cwaniackim głosem strażnik.

– A jak nie rozpozna? – zapytał z niezrozumieniem Zdzisław.

– To nam wykrywalność spadnie i trzeba będzie wymyślić ci nowe przestępstwa – zażartował strażnik, otwierając kratę celi. – Zbieraj się, to twój ważny dzień. A, i nie ściągaj butów – dodał.

8. Kwaśny Wiesiek, płytki Zbyszek

Zdzisław zdębiał, widząc Wieśka i Zbyszka za szkłem weneckim trzymających w ręce numerki.

Sam dostał podobną plaketę, jednak nie był w stanie rozpoznać, co to za liczba. Zdzisiu cyfry potrafił pokazać tylko na palcach.

– Wejdz do środka, stań pomiędzy numerem jeden i trzy – powiedział spokojnym tonem prokurator, coby Zdzisiu mógł się trochę uspokoić.

– A... Ale ja nie potrafię – odparł bardzo zestresowany nową sytuacją Zdzisław. – Nie umiem liczyć.

– Stań pomiędzy tymi dwoma. – Wskazał palcem oskarżyciel.

– Pomiedzy Wieśkiem i Zbyszkim? – zapytał spokojniejszy Zdzich.

– To ty ich znasz? – zapytał zdziwiony prokurator. – Skąd ich znasz?

– Mieszkamy na tej samej wsi, dorastaliśmy razem – odpowiedział autystycznie Zdzisław. – To my włąmaliśmy się do tego sklepu Cygana.

– Kurwa. Nie mogłeś tak od razu? – prychnął śmiechem prokurator. – Stań tam, gdzie chłopaki.

Zdzisław stanął pomiędzy swoimi niedoszłymi kompanami. Kwaśny zapach potu Wieska oraz płytkie astmatyczne dyszenie Zbyszka sprawiło, że humor, jak i prognozy na jego przyszłość nabrały jaśniejszych barw. Ich mało bystre spojrzenia spoglądały na siebie wzajemnie przez obicie w lustrze.

Wtem mały głośnik przemówił:

– Podejrzani ściągają buty.

Jak głośnik rozkazał, tak chłopaki zaczęły raczyć się aromatem rodem z szaletu PKP.

Gęstą atmosferę przyjaźni i odoru przerwał podkomisarz Bąk:

– No, Zdzisiu, jesteś wolny, ale nie do końca, bo teraz za sklep cygański odpowiesz razem z tymi tutaj.

Nikt na świecie nie cieszył się z postawionych zarzutów o rozbój tak bardzo jak Zdzisław.

9. Pałace bez latarni

Zdzisław w ramach niezrozumiałej rekompensaty dostał wyrok za rabunek w zawieszeniu. Wiesiek i Zbyszek za rozbój i składanie fałszywych zeznań, żeby nie wkopać Zdziśka, dostali po roku. Trop ze skarpetkami utrzymywał się jeszcze przez następne trzy miesiące, kiedy to nawalony Cygan zaczął awanturować się w pijalni znajdującej się w pobliżu jego sklepu. Pech chciał, że jego żona sprzedaje tylko skarpetki w akordeony...

Zdzisław od razu po wyjściu z aresztu pobiegł odebrać kochanego ursusa z parkingu milicyjnego. Kręta ścieżka drogami wojewódzkimi tym razem nie dawała mu tyle adrenaliny co zawsze. Już przed wjazdem na swoje podwórko wyskoczył z jadącego ciągnika, pozwalając toczyć się mu w kierunku ostatniej latarni we wsi. Biegnąc prosto w stronę frontowych drzwi, nie zawahał się ani chwili i przeleciał przez sklepikę jak Kozakiewicz nad poprzeczką. Po przedarciu się przez kotarkę rozpędzony zeskoczył na kolana, bawełniane spodnie milicjanta pozwoliły na ślizg prosto pod samo łóżko. Ręka Zdzisława pewnie kieruje się w stronę ostatniego znanego miejsca pobytu andruta.

Wysechł tylko odkryty czubek...



Czysty

Cokolwiek o mnie wiesz
Wiedz że kłamałem
Zmyłem roztocza z brudnego materaca
Naszego grzechu
Teraz znów narodziłem się
Czysty

Spokój

Po burzy znów wyszło
Patetyczne słońce
Wyschły wszystkie rany
Znów zapanowała pustka
Której pożałowałem niczym
Rumuńską prostytutkę
Teraz nie ma już nic
Wszystko utonęło w
W pełnym emocji wraku
Na samym dnie oceanu

Ja, Ziemię

Dobrze znam to miejsce, spędziłem tu wiele godzin na samotnych wędrówkach, później, kiedy poznałem Baškę, chodziliśmy razem, a gdy urodził się syn, w trójkę. Każdą ścieżkę, kamień, szczelinę znam jak własną kieszeń. Dlatego zdziwiłem się, kiedy coś się zmieniło. Jakby ktoś poprzestawiał głazy, które leżą tu od tysięcy lat. Nagle zobaczyłem nieznaną mi szczelinę, pęknięcie. Stałem na krawędzi i wystarczyła chwila nieuwagi, stoczyłem się kilka metrów w dół. Nic mi się nie stało, trochę się tylko podrapałem, ale upadłem tak pechowo, że stopa utknęła mi pomiędzy kamieniami. Gorączkowo próbowałem się uwolnić, ale kostka napuchła i utknęła na amen. Wyciągnąłem telefon, aby zadzwonić po syna – brak zasięgu.

– E, Ziemię! – zawołał jakiś głos, którego nie mogłem zlokalizować. – No co, nie słyszysz? Nie udawaj głupszego, niż jesteś – odezwał się ponownie. – Tak, tu gdzie patrzysz, pod twoimi nogami. – Pochyliłem się, ale niczego nie dostrzegłem.

– Jest tam kto? – zawołałem.

– Jest, jest, wszyscy tu jesteśmy. Nie stój tak, tylko obróć kamień.

Nie byłem pewien, o którym kamieniu mówił, ale dotknąłem najbliższego głazu i wtedy szczelina, spod której dobiegał głos, powiększyła się. Moja stopa została uwolniona, a ja mogłem swobodnie spojrzeć w dół. Kiedy oczy przywykły do ciemności, zobaczyłem podziemne miasto. Panował tam dość spory ruch, po wąskich, kamiennych uliczkach poruszały się dziwne wyglądające postaci. Na pierwszy rzut oka podobne do ludzi, ale jakieś szare, przygarbione. Diabły? Przemknęło mi przez głowę. W dół prowadziły schodki, dość wąskie, ale nie na tyle, abym nie mógł się na nich zmieścić.

– No, wreszcie, choć tu, Ziemię, jesteś mi potrzebny – zawołał ten sam głos.

Zszedłem ostrożnie, nie wiedząc, co mnie czeka, ciekawość jednak przeważała. W połowie drogi coś chwyciło mnie za kostkę, tę obolałą, opuchniętą, aż krzyknąłem.

– To tu – powiedział głos. – Wejdź na ten występ i mnie uwolnij.

Wtedy dopiero go dostrzegłem. Jego kończyna, podobnie jak moja przed chwilą, utknęła w załomie kamiennym.

– Dlaczego mnie zawołałeś? – zapytałem. – Nie mógł ci pomóc ktoś z waszych? I kim właściwie jesteście? Zastanawiał się dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

– Widzisz, jesteśmy wami, waszą przyszłością. Każdy z was, Ziemię, ma tu swojego odpowiednika, Podziemca. Tak się składa, że ty jesteś mną, a ja tobą. Za dwadzieścia lat.

Zauważył moje zdziwienie, chwilę się wahał, ale widocznie podjął ważną decyzję, bo powiedział poważnie:

– Chodź za mną.

Zeszliśmy na sam dół. Na chodniku, czymś w rodzaju deptaka, przemieszczały się we wszystkich kierunkach ciemne, ponure sylwetki. Wszyscy patrzyli sobie pod nogi, ale nikt na nikogo nie wpadał, mijali się o centymetry, co było tym dziwniejsze, że ich ciała były duże, pełne, napakowane jak tysi dresiarze ćwiczący w siłowniach siedem dni w tygodniu. Tylko głowy mieli dziwne małe.

– Całkiem dobrze wyglądają – zagadnąłem.

Uśmiechnął się smutno, a widząc, że oczekują jakiegoś wyjaśnienia, rzekł:

– Tak, przecież to wy nas karmicie. Żywimy się waszą nienawiścią, złością, podłością. Musieliśmy ostatnio powiększyć wloty pomiędzy skałami, bo się zatory robiły.

Stanęliśmy w końcu przed wysokim, opuszczonym, a właściwie całkowicie zrujnowanym, oplecionym roślinnością budynkiem.

– To jest nasz, a raczej wasz, parlament. Nie jest nam i nie będzie wam niedługo potrzebny. A tu jest więzienie. Siedzą w nim wszyscy, którzy mają inne zdanie niż aktualnie obowiązujące.

– Duże to więzienie – stwierdziłem cicho.

– No tak, takie jest potrzebne, wszystkie miejsca są zajęte. Ale budujemy następne. Będzie większe, nowocześniejsze. Zmieszczą się wszyscy.

– To jakiś sąd też tu macie? – zapytałem.

– Ależ oczywiście. Sąd jest najważniejszy, bez sądu, bez sprawiedliwej rozprawy nikogo nie wsadzamy za kraty – odpowiedział ochotczo. – Wiesz, żeby to wszystko usprawnić, żeby nie tracić czasu, u nas wszystkim zajmuje się Wódz Podziemia. On jest Naczelnikiem Policji, Sędzią Generalnym, Prokuratorem i Prezesem Sądu Odwoławczego. Bo skazany może się oczywiście zawsze odwołać. Zawsze.

– I co, odwołują się? – zapytałem.

– E, jakoś nie bardzo. Tu wszyscy wierzą, że mamy sprawiedliwe sądy – odpowiedział i zamilkł na dłuższą chwilę. – Chyba cię już odprowadzę – rzekł w końcu.

Wszedłem tymi samymi schodkami na górę, przecisnąłem się przez szczelinę i – niech to diabli! – stopa znów mi utknęła. Sięgnąłem po telefon, na szczęście był zasięg. Zadzwoniłem do syna, on zawsze wie, gdzie mnie znaleźć.

Zjawił się nadspodziewanie szybko, jakby był tuż obok. Powiedział, że się o mnie martwili, że krążył po tej okolicy od dwóch godzin, a ja tu się nagle pojawiłem nie wiadomo skąd.

– Jak to możliwe, tato, gdzie byłeś? – pytał zdenerwowany.

– Nie wiem, synku, nie wiem – odpowiedziałem. – Nie wiem...

(latem 2017 r.)



Ciemna materia

Ciężkie chmury wisiały nad miastem. Widać było wyraźnie, jak się rozrastają, puchną, pęcznieją, aż jedna, największa ze wszystkich, spadała. Tak zwyczajnie, po prostu, zleciała w dół i powypadały z niej tysiące małych kuleczek. Rozsypały się, potoczyły we wszystkich kierunkach jak groch, jak paciorki, jak koraliki z rozerwanego sznura. Część z nich zaczęła podskakiwać, odbijać się od granitowych płyt, którymi wyłożono właśnie Plac Przyjaźni, za każdym razem osiągając wyższy pułap. Najmocniej odbijały się jasne, przezroczyste, wyglądające jak ze szkła, ciemniejsze zdecydowanie słabiej, brunatne i czarne, których było niewiele, przez chwilę pozostawały na ziemi, a później ginęły, wtapiały się w podłoże lub wpadały w szczeliny. Przechodnie obserwowali to bez zdziwienia, zajęci codziennymi sprawami nie zastanawiali się nad istotą zjawiska. Ot, kulki, spadły i już.

Te, które się wzbijały, dzieliły się na mniejsze, z każdego pojedynczego, przezroczystego paciorka powstawały dwa, z niego kolejne i tak dalej tak, że za chwilę było ich już znacznie więcej niż na początku. Całe niebo zasnęła chmura kulek, które już nie spadały ponownie, tylko zawisły, pozostały w górze, błyszczały w słońcu, a światło przenikając przez nie, rozdzielało się na siedem kolorów. Ziemia stała się nagle tęczowa. Jezdnia, chodniki, place miejskie, stadiony piłkarskie, wszystkie powierzchnie płaskie mieniły się siedmioma kolorami.

Następnego dnia kolor zaczął się wspinać po elewacjach budynków mieszkalnych, wieżowców, kościołów i marketów. Spacerujący przystawali, wpatrywali się, sądząc zapewne, że to awangardowy, może nawet trochę szalony, pomysł nowego architekta miejskiego. Dnia trzeciego na ulicach pojawiły się tęczowe autobusy i tramwaje, tych samych, radosnych barw nabierały, poczynając od kół i stopniowo przechodząc w górę, samochody osobowe. Nawet rowery i dziecięce hulajnogi robiły się kolorowe, co, oczywiście, bardzo cieszyło ich posiadaczy. Kiedy kolejnego dnia rano mieszkańcy wyszli ze swoich tęczowych domów, spostrzegli ze zdumieniem, że zmieniła się także roślinność. To, że kwiaty były tęczowe, nikogo oczywiście nie dziwiło, ale siedmiokolorowe drzewa i krzewy już trochę tak.

Aż przyszedł dzień piąty. Ludzie, do tej pory szarzy i nijacy, także zaczęli się zmieniać. Nikt nie wiedział jak i dlaczego, ale wszyscy mieszkańcy miasta stali się nagle siedmiobarwni. Zmieniały się także ich język, myśli i pragnienia. Od świtu wszystko, dosłownie wszystko się odmieniło. W kioskach były tęczowe gazety, w kawiarniach podawano tęczową kawę i herbatę, w tęczowych kościołach msze odprawiali kolorowo ubrani księża. Ludzie tęczowo się do siebie uśmiechali, mówili tęczowe zdania, śpiewali tęczowe piosenki, tańczyli tęczowe wale, polki, tanga i polonezy. Tęczowa była cza-cza, twist i boogie-woogie. Przez cały dzień trwała jedna, wielka, tęczowa fiesta.

Do miasta zaczęły zjeżdżać z różnych zakątków świata ekipy telewizyjne i filmowe. Od rana do wieczora przeprowadzano transmisje, reportaże, rozmowy z mieszkańcami. Miasto stało się sławne, zaczęli się do niego zgłaszać inwestorzy. Amerykanie chcieli wybudować Rainbow City – największy park rozrywki w Europie, Rosjanie zgłosili chęć przeniesienia swojego Gwiezdnego Miasteczka, aby tutaj szkolić kosmonautów, Francuzi dyskretnie badali grunt, czy mogliby tu wybudować Dzielnicę Tęczowych Latarni, a In-

dyjska Akademia Filmowa przysłała zapytanie w sprawie otwarcia przedsiębiorstwa filmowego Rainbowwood. Ciche i spokojne dotąd miasto w ciągu kilku dni stało się głośnie, rozśpiewane, kolorowe. Nad wyraz kolorowe. Nad wyraz.

Władze, z początku przychylnie zmianom, zaczęły stopniowo zmieniać stanowisko. Zorganizowano tajną, nocną naradę. Przedstawiciele najważniejszych służb miejskich zebrali się w dawno nieużywanym schronie, do którego prowadziły dobrze ukryte, ciężkie, metalowe drzwi. Kluczami do pomieszczenia, ważnego ze względów bezpieczeństwa, dysponował Przewodniczący Rady Miasta. On też rozpoczął zebranie i na wstępie zaproponował, aby Straż Pożarna zmyła kolor ze wszystkich elewacji.

– Próbowaliśmy, nie da się, nawet pod dużym ciśnieniem – odpowiedział Komendant Straży.

– To może chemicznie?

– Podejmowaliśmy próby, kolory są odporne na wszystkie dostępne środki – odrzekł Główny Inspektor Służby Chemicznej.

Przewodniczący rozejrzał się po pomieszczeniu, stwierdzając, że tu także przydałoby się solidne mycie ścian.

– Zobaczcie, Inspektorze – przeciągnął po ścianie dłonią, na której zostały czarne plamy. – Faktycznie, schron nie wyglądał najlepiej. Jakieś ciemne sople wiszące z sufitu, zacieki na ścianach, plamy na posadzce. To pewnie po remoncie Placu Przyjaźni, jeździli tu nad naszymi głowami, układali płyty. Ale za kilka dni skończymy i będzie naprawdę po europejsku – dodał zadowolony.

Generał Obrony Miasta, zapytany o zdanie, odpowiedział, że jeśli chodzi o działanie wojska, to nic się nie da zrobić. Zjawisko nie zagraża bezpośrednio bezpieczeństwu mieszkańców, poza tym ma zbyt dużą gęstość i nie można tego rozpędzić ani dronami, ani samolotami, nie mówiąc już o strzelaniu z armat. W końcu zwrócono się do Ojca Wielebnego z pytaniem o egzorcyzmy, że może to sprawka szatana czy innych sił nieczystych. Odpowiedzią było tylko załamanie rąk.

– Już próbowałem – odrzekł. – Od pięciu dni się modlę i nic.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że najgorsza jest niewiedza, jaką cała ta sprawa wystawia miastu opinię w świecie. Okazało się bowiem, że przez wiszącą nad miastem chmurę nie wracają żadne sygnały radiowe, telewizyjne czy internetowe. Dziennikarze coś tam piszą, filmują, wysyłają relacje do swoich redakcji, a informacji zwrotnej brak. Komunikacja jest tylko w jedną stronę.

– Tak dalej być nie może – stwierdził Komendant Policji i zaproponował, że zatrzyma wszystkich pismaków pod zarzutem szpiegostwa, posiedzą siedem dni, a potem się ich wypuści.

Przewodniczący uznał to jednak za zbyt drastyczne posunięcie. Nie podjęto żadnych decyzji. Każdy z obecnych ma jeszcze raz przeanalizować, skonsultować i zaproponować rozwiązanie.

– Do jutra, panowie, spotkamy się na Placu, miejcie oczy i uszy otwarte – powiedział Przewodniczący, żegnając się ze wszystkimi uściskiem dłoni.

Kiedy szóstego dnia rano, po dobrze przespanej nocy i obfitym, tęczowym śniadaniu, mieszkańcy wyszli na spacer, przywitała ich, jak zwykle, piękna, tęczowa pogoda. Spontanicznie zawiązany kilka dni wcześniej Społeczny Komitet Organizacyjny Dnia Tęczy rozpoczął przygotowania do Festiwalu Tęczowej Twórczości. Na Placu Przyjaźni instalowano właśnie scenę, nagłośnienie, ustawiano rzędy ławek i krzeseł. Występy miały się odbywać dopiero dnia następnego, ale zdecydowano, aby już w przeddzień wszystko było związane na ostatni guzik.

Pośród tęczowo ubranych przechodniów przemykali tu i ówdzie, rozglądając się na boki, osobnicy, których wygląd odstawał nieco od pozostałych. Niektórzy mieli tylko czarne buty i spodnie, inni ubrani byli na czarno od stóp do głów. Stanęli za dużą planszą z napisem: „Niech się święci Dzień Tęczy!”, która przygotowana była do zawieszenia nad sceną. Przez chwilę milczeli, taksując się wzrokiem. Pierwszy odezwał się Wielebny:

– Niebo jest nam faskawe, moje modły zostały wysłuchane.

– Co też Ojciec plecie, jakie niebo? – obruszył się Przewodniczący. – To schron, to te zacieki na ścianach. Zauważyliście, że tam nie dotarła jeszcze ta cholerna tęcza? Mało tego, przeniknęło tam coś, co powoduje jej anihilację.

Faktycznie, każdy z uczestników narady był dziś zdecydowanie mniej tęczyowy. A Wielebny nawet wcale.

– Nie chcę być niedyskretny, ale powiedzcie, panowie, jak wygląda sytuacja w waszych rodzinach – dopytywał Przewodniczący. – Bo moja żona rano obudziła się już prawie, że tak powiem, normalna. To znaczy mniej tęczyowa. Tylko jeszcze we włosach trochę zostało. Z córką mam za to problem, bo nie dała się pogłaskać po główce, schowała się pod łóżko i powiedziała, że kocha tęczę, mała smarkula.

Okazało się, że partnerki pozostałych zgromadzonych także zaczęły tracić kolory.

– U mnie nawet służąca – powiedział Komendant Policji.

– Moja gosposia też! – zawołał Ojciec Wielebny, ale kiedy się zreflektował, zaczął tłumaczyć, że pani Halinka pewnie zaraziła się od służącej Komendanta, kiedy się rano spotkały na rynku, jak kupowały jaja.

– My tu o jajach, panowie, a problem jest, i to niemały. Musimy wziąć sprawy w swoje ręce – przerwał wynurzenia Ojca Przewodniczący. – Skoro działa to przez dotyk, nie ma wyjścia, bierzemy się do roboty. Panowie, do dzieła!

I wmieszali się w tłum. Nie było to proste zadanie, gdyż wszyscy byli osobami znanymi, pełniącymi ważne, społeczne i zawodowe funkcje. Jedynie Ojca Wielebnego postanowiono zwolnić z tego zadania, aby nie narażać go na nieuzasadnione podejrzenia. Ojciec będzie robił to, co zwykle u siebie w kościele – zdecydowano. Ciężko wszyscy pracowali, chodzili wśród mieszkańców, ściskali dłonie, obejmowali, tulili, całowali dzieci w czołka. Każdy z działaczy terenowych, po powrocie do domu, spotkał się z ostrą reprimendą żony czy kochanki.

– Widziano cię na Placu Przyjaźni, jak się migdałiłeś z naszą służącą! – krzyczała żona Komendanta Policji.

Generał musiał się tłumaczyć, że obejmował i całował w policzki wszystkie licealistki, które miały próbę przed występem, a Inspektor Służby Chemicznej do rana przekonywał swoją partnerkę, że z tą rudą z kiosku, to było służbowo.

– Przewodniczący kazał, co miałem robić? – mówił.

Poranek dnia siódmego rozpoczął się zwykłą, świąteczną krzątaniem. Służby porządkowe intensywnie sprzątały Plac, na którym stała już scena, zaplecze techniczne i widownia. Od tygodnia nie padało, Komendant Straży zadysponował więc polewaczki, granitowe płyty lśniły jak lustra. Sprzątający nie mogli sobie tylko poradzić z ciemnymi plamami, które się gdzieś tam pojawiały. Godzinę przed rozpoczęciem zebrali się artyści, akustycy sprawdzali działanie mikrofonów, monitorów itp. Zgromadzili się mieszkańcy, zajęli miejsca siedzące i stojące. Oczekiwano na ceremonię uroczystego otwarcia, którego miał dokonać Komitet Honorowy, z Ojcem Wielebnym na czele. Wybiła godzina dwunasta. Na scenę wyszedł Wielebny, odchrząknął, przeżegnał się, postukał palcem w siateczkę mikrofonu i powiedział:

– Niech się święci Dzień Tęczy – zaczynamy!

Pośród zdawkowych oklasków, dało się słyszeć głosy: a gdzie tęczyowa sutanna, dlaczego Ojciec jest na czarno? Wielebny wrócił na swoje miejsce, obok Przewodniczącego, Generała i pozostałych członków Komitetu, z których każdy ubrany był dziś w elegancki, czarny garnitur. Generał miał na sobie pięknie odprasowany czarny mundur.

Prowadząca Festiwal Dyrektor Liceum im. Zwycięzców Wszystkich Wojen przedstawiła wykonawców, rozpoczęto prezentację. Grano, śpiewano, tańczono przez blisko dwie godziny. Widownia żywo reagowała, bijąc brawo, wznosząc okrzyki. Nikt nie zauważył nawet, że od dołu, od ziemi, pomiędzy płyt, poczęła wypływać substancja, która ciemnymi strużkami powoli, ale systematycznie rozlewała się, rozpląwała we wszystkich kierunkach, by już za chwilę rozpocząć wspinanie się na drzewa okalające Plac, na budynki i samochody. Kiedy ogłoszono półgodzinną przerwę, i publiczność rozeszła się, aby kupić lody czy po-

pcorn, okazało się, że budki i stragany straciły barwy tęczy, lody są tylko czarne, nawet te o smaku śmietankowym czy malinowym, a czarnej waty cukrowej nikt nie chce kupować. Ludzie także zaczęli tracić kolory.

Rozpoczęło się szukanie przyczyny, a raczej winnych. Ktoś przypomniał sobie wczorajsze dziwne zachowanie osób, które zasiadają dziś w Komitecie Honorowym.

– To oni nas tym zarazili, już wczoraj nie byli tęczowi, to ich wina – wołali najbardziej zdesperowani.

– Gdzie oni są, brać ich – krzyczeli inni.

– Pokaż, który pan cię wczoraj pocałował w główkę? – dopytywały mamy.

Ogólny tumult i bieganina pogorszyły jeszcze sytuację. Kolor czarny w błyskawicznym tempie zaczął ogarniać miasto. Powstała panika, nad którą trudno było zapanować. Wtedy Przewodniczący zdecydował: fajerwerki! Pokaz sztucznych ogni zaplanowany był co prawda na wieczór, ale fakt wystrzelenia tysięcy mieniących się kolorami ogni, jak słusznie przypuszczał, spowodował, że wszyscy nagle się zatrzymali. Z zadartymi głowami obserwowali tęczowe znów niebo. Może nam się tylko zdawało, że tęcza zniknęła? – zaczęli powątpiewać. I wtedy Generał, który odpalał ogień, popełnił fatalny błąd. Jedną z rac wpadła wprost do furgonetki z całym arsenałem. Rozpoczęła się prawdziwa kanonada, siła rażenia była tak wielka, że wywołała falę uderzeniową, która dotarła do zawieszanej nad miastem chmury. Chmury, dzięki której zmieniło się życie mieszkańców. Chmury, która teraz, wytrącona ze stanu stabilności, nieważkości, runęła w dół. Kuleczki jednak nie wzbijały się już, nie rozdawały, a wręcz przeciwnie, w zetknięciu z wszechobecną, czarną materią, mieszały się, łączyły, powlekając miasto i ludzi jednostajną, szarą masą.

Cały następny tydzień trwało sprzątanie miasta. Połączone siły Straży Pożarnej i Służby Chemicznej uporały się jakoś z elewacjami, chodnikami, placami. Deszcz, który szczęśliwie spadł, pomógł oczyścić roślinność. Dziennikarze opuścili hotele, rozjechali się do swoich redakcji, nie przysyłając żadnych nowych materiałów, z powodu uszkodzenia sprzętu. Festiwal postanowiono powtórzyć za rok, w nieco zmienionej formule. Hasłem przeglądu będzie: „Szare jest fajne”. Zresztą kolor szary, który pozostał na elewacjach, zmyła się bowiem tylko lepka powłoka, uznano za modny i elegancki, ludzie też go polubili. Miejskiej elicie wybaczonego epizodu z całowaniem dzieci i młodzieży. Za dobrą monetę przyjęto tłumaczenie, że był to eksperyment socjologiczny przeprowadzony na zlecenie Unii Europejskiej. Żony i kochanki także puściły w niepamięć wydarzenia poprzedzające Festiwal. Życie wróciło do normy. Tylko jedna mała dziewczynka, córka Przewodniczącego, która, mimo rozporządzenia Rady Miasta, nadal nosiła we włosach tęczowe wstążki, jedynie ona wiedziała, że na jednym z drzew rosnących wokół Placu Przyjaźni, w rozwidleniu gałęzi, utkwiała dość duża przezroczysta kulka. I tak pięknie błyszczy w słońcu.



Ścieżki

Z Plecakiem marzeń
Przebywam drogę
Krętymi ścieżkami
Idę powoli

Rozmyślać warto
co będzie jutro
pomyśleć trzeba
Co dzisiaj boli

Oczekiwania

Oto ogród
Pełen zieleni
Chylących się kwiatów
Jak trawa przed pokosem
Szmer wiatru
I ciepły deszczyk
To znaki niezmiennej przyrody
Która oczekuje swojej miłości

Dobrobyt

(fragment *Kocich szlaków*)

Zjeżdżam szosą w dół i oto rozłożona przy niej wieś. Płaska, podana jak na półmisku. Szosa międzynarodowa. Gdy staniesz na jej skraju, skąd przyjechałeś, widzisz, jak zwęża się w perspektywie, prosto jak strzelił pnąc się w górę i dopiero, omalże już na linii horyzontu, kończy się wieżą kościoła, błyszczącą srebrzyście w słońcu – jeśli dzień jest pogodny. Jeśli dzień jest pogodny, szarobłękitne pasma zamykają horyzont – te lasy tam, na styku ziemi i nieba, to już Niemcy.

Wokół mnie zielono, świeżo, prawdziwie, jak na zamówienie pogoda. Żyto już się wykłusza – jare, głaskane przez lekki wietrzyk, ma gęstość sporego żrebca, a lasy, którymi okolone są pola, to już prawdziwa pożoga rozkwitłej zieleni, ciemnej i soczystej, rozświetlonej gdzieś jaśniejszą plamą brzoź.

Zaledwie sześć kilometrów stąd jest osada, która z rolniczej stała się leśną. Dzikie zmusiły chłopów do rezygnacji z ziemi, niszcząc im corocznie zbiory i kiedy już nawet nocne czuwania na polach nie dawały rezultatu, chłopci, prasnawszy pługi o ziemię, poszli na państwową robotę – stali się „wibracyjnymi”, tymi od zrywki i żywicowania, a tymczasem ich pola coraz żarłoczniej pożera las, podchodząc tu i tam pod progi chałup.

Ta wieś jednakże opiera się jeszcze jego naporowi, jeszcze ludzie tu żyjący to w większości rolnicy. Może dlatego, że leży przy szosie i można nią dojechać do oddalonego o piętnaście kilometrów miasta, gdzie jest robota w Fabryce Płyt Pilśniowych, jeżeli już psy nie dadzą sobie rady z dzikami. Dzięki temu walka nigdy nie jest tak całkowicie przegrana, bo straty nadrobi się „na państwowym”, okresowo, co prawda, a zimą, gdy nie ma roboty w polu, ten las się nawet przydaje. Można wtedy najać się do zrywki i nieraz wpadnie ładny grosz.

Zielona ruń w lesie przywabia na powrót sarny w jego głąb, tak że rzadziej odwiedzają oziminy. Jest trochę spokoju. Akurat tyle, by zająć się przygotowaniem do rodzinnego święta – jakże, przecież to miesiąc pierwszych komunii. Świętuje cała wieś.

Jest ósma rano. Mała grupka chłopów wraca z mleczarni, dokąd właśnie odstawili mleko. Idą powoli, ciągnąc nogi za sobą, pogadują. Obejście, świeżo zagrabione wieczorem, nie zdążyły jeszcze zafajdkać kury. Chałupy zdają się jeszcze zdrowo chrapać, choć już słońce wysoko. Gdzieś zza zabudowań dobiega terkot traktora. Jedzie widocznie po zielonkę. Wszak tu najlepiej opłaca się produkcja mleka, bo ziemia piątej i szóstej klasy.

– Ja już swoją dniówkę odrobiłem – mówi mój gospodarz, wieszając kany na płocie. – Starą obudzę, to zrobi śniadanie, a my tymczasem...

Przysiadamy na ławce pod płotem. Słoneczko grzeje. W głębi domu ktoś tam przeciąga się, poziewuje. Słychać szuranie przesuwanych garnków.

– No spróbuj, jaka wyszła. – Gospodarz nalewa mi spory kieliszek i patrzy pod słońce na butelkę. – Klarowność ma, co?

– Mocna, aż dech zapiera.

– Trzeba by jechać, krowom ukosić. Jeszcze nie wypuszczamy, niech trawa ździebko podrośnie. Takiego jak ja tu robie, nikt nie ma. Wyspeniłem się – mówi o bimbze. – I przynajmniej zdrowy, bracie. Ani głowa po tym nie boli. Niegłupim płacić im za taką karbidową tyle forsy. Słyszałeś ty o tej tam Oławie? – pyta po chwili, znenacka. – Ja w to, stary, nie wierzę. Żeby jednemu, głupiemu chłopu pokazywała się Matka Boska! I to gdzie? Na działce! To jest szwindel, człowieku. Ludzi uzdrowia! Jeden tu był taki uzdrowiacz, nawet niedaleko stąd. Walizę sobie postawił i do niej pieniądze zbierał. Ale już go przymkli. Taaak. Ludzie mają, co po-niektórzy, łeb do interesów. Mówisz o tej bioenergii? Coś o tym gadali w telewizorze. Słuchałem piąte przez dziesiąte. Nie mam czasu na te bzdury. Ja ich słucham, kiedy podają coś dla rolników. Inaczej, bracie, okpiłi-by człowieka, ani by się obejrzał. Niedawno w geesie chciała mnie taka srajda zrobić w konia przy odstawie zboża, że to nie należy mi się dodatek za jakoś. Widziałeś ją? – Śmieje się. – Już ja ich dobrze znam, tych urzędasów. Tylko by zgarniali pod siebie. Ale i ja nie głupi. Jedzenie produkuję, to i nie będę sobie żałował. Kur my nabili, świniaka zaciukali, żarcia jest a jest. Starczyłoby na wesele. I na wódce nie dam im zarobić...

– Jednak, wiesz ty co? – mówi po chwili zastanowienia. – Coś w tym jest, że wszystko idzie ku gorsze-mu. Tu żaden minister nie poradzi. Tata mówił, że jak miała być tamta wojna, to były znaki. Na liściach wi-śni, bracie, znak węża był. Albo to, co pisała Michalda? Wszystko się sprawdza. Przeznaczenia nie unikniesz, choćbyś na głowie stawał. I stąd człowiek pije, bo po cholere się starać? Ot, gdzie się nie obejrzyś, wszę-dzie byle jak robota idzie, wszędzie złodziejstwo. Jest tu taki gajowy, Turczyk się nazywa, to u niego, bracie, co rusz ktoś tam baluje, bo on w leśniczówce mieszka. A za co, pytam? Zagrycha w lesie samopas chodzi, a wódkę oni, jako haracz, od tych tam babek wezmą i masz bal jak cholera. A Turczyk, jak mu w gardle su-cho, drzewa na boku sprzeda z państwowego i już pragnienie ugasi.

– A tys to niby z nim drzewa nie załatwiał? Całą przyczepę? – wtrąca z przekąsem, stanąwszy w pro-gu, żona gospodarza. – Po trawę trza jechać, a ty od samego świtu próbujesz.

– Głupi bym był, jakbym nie skorzystał. A naszego kultywatora to nam nie zwinęli? Nawet wiem kto, ale co tam. Przyjdzie pora, to go przyskrzynię. Ty, Hanka, śniadanie dla gościa rób, bo słonko wysoko, a ty w betach się wylegujesz. No, na drugą nogę – mówi do mnie – żebyś nie okulał.

Smakował przez chwilę niemo, po czym podjął:

– Ja, jakbym maszyn nie miał, toby mnie ta ziemia zżarła. Masz ty pojęcie, jakie tu rachunki za roboci-zną płacą ci, co sprzętu własnego nie mają? To mi kalkulacja! To i racja, że jak kto może, to i dokradnie. Ten nie kradnie, kto nie ma co. Ale takich frajerów jest mało.

– Mów tak, mów – wtrąciła znów żona. – Jachu wszystko słyszy, będzie z niego pociecha przy twoich naukach. Pamiętasz, co nauczycielka mówiła?

– E tam, nauczycielka! A co niby może w szkole ukraść? Dlatego tak gada, że sama nic nie może. Była tu – objaśnia mnie – jaja u mojej przed Wielkanocą kupić. No, a u mnie był akurat i Turczyk, i Góral, co to poznałeś go zeszłej jesieni, jak my ryby u rybaków załatwiali przy odłowach, pamiętasz go? No, to właśnie ten. I dalej usadzać nauczycielkę przy stole, niech się bidula pożywi, bo przecie ona na kartko-wym. No i gadka szmatka, zeszło na politykę. A że my już z lekka szwung mieli, tośmy ją dla heczy jeli wy-pytywać, co ona na te u nas porządki myśli. Pójdiesz do geesu do kasy, kasjerka poleciała w kolejkę i za kawą stoi, pójdiesz do prezesa na skargę, prezes na posiedzeniu, a sekretarka paznokcie czyści i na cie-bie jak na suczy pomiot z pogardą pogląda. Turczyk wtrąca, że i nalot tych tam komisarzy rządowych nie pomoże. W gospodzie, gdzie jego stara pracuje, kierownik dowiedział się, że zjechali do miasta, niby na inspekcję, to szast-prast zamknął budę i za remont się wzięli, a baby, niby personel, popuszczali na urlo-py. Cwanie, nie? Potem Góral jadaczkę rozpuścił, że niby wszystko na Wschód idzie, to i głupi ten, co nie kradnie. Chociaż u nas zostanie. Turczyk mu na to, że dureń i on najlepiej wie, jakby w Polsce było, gdyby my Ruskich się nie trzymali, a że tak u nas jest, to dlatego, że naród podły, nic, tylko narzeka i zagranicę chwali. Na to wlaźł mój tata i dalejże o Antku rozpowiadać, ile on tam w Enerdowie zarobi. Już Simsona

sobie kupił i drugiego kupi, ale trochę później, żeby cła nie płacić. No to Góral go poparł i opowiedział, że jego szwagier, jak był w Stanach, kupę dolarów za dziewięć miesięcy przywiózł. Turczyk, że to z lepszą sferą ma konszachty i o wszystkim jest poinformowany, nazwał szwagra Górala łamistrajkim, albo czymś gorszym jeszcze i kazał Góralowi niby tam jechać i żyć za te zarobione dolary. „Źle wam?! Mało mata?!” – rozdarł się, a na koniec, że to chłop nerwowy jest, grzotnął pięścią w stół i wyszedł. Na niedługo, bo zaraz ochłonął i o powszechnym złodziejstwie zaczął perorować. Nauczycielka dała się wziąć na pic i dalejze go popierać. Poczęła coś bredzić o świadomości społecznej, o zrozumieniu, o wspólnym wysiłku, a na koniec, że młodzież przecież musi mieć jakieś z nas wzory, a jakie wzory ma? Że popłaca cwaniactwo i chamstwo, że uczciwa praca to dla frajerów. No to jaki ma być ten naród w przyszłości? Jest upadek autorytetów przez pomyłki, ale kto ich nie robi? Czy są ludzie nieomylni? Nie ma. Mówiła, jakby występ miała w telewizji. Widać, zaszkodził jej ten kieliszek, cośmy go w nią wmusili...

– Sprawdziłem listę, czemu nie – odrzekł na moje zapytanie. – Co mam sobie kłopot robić, jak mi sołtys co rano w mleczarni d... truł, a czasem, skubany, to próbował nawet grozić: Ty, Franek, zważ se, że to twój obywatelski obowiązek. A kto ci dojkę załatwił? A pastucha to kto? Ale na zebranie z tym tam kandydatem nie poszłem. A co to ja, głupi? Co taki jeden z drugim mogą zrobić? Tyle, co i tamte zrobili. Musieliby my choć i z takim Turczykiem od nowa się narodzić, żeby my tak na glanc uczciwi byli. Takóż samo cały naród, psia jego mać! Dajesz, Hanka, to żarcie, czy nie?! Pójdę głosować dla świętego spokoju. Mało mam kłopotów, żeby się jeszcze narażać? Wielce ten mój głos zaważy... O! Pleban zaiwania. Widziałeś takie чудо? To ci wóz, nie? Im też nie wierzę. Żyją se niezgorzej. To, co tam głoszą, to tylko pic na wodę. Bo jakże? Jednego wezmę, a drugiego zostawię? Tak to jest w Ewangelii, co? No, coś koło tego. Jak Amerykańce wypuszczą na nas te Kruzy czy jak im tam, to kto tu zostanie? Nawet wróble szlag trafi. Ot, co. Chodź do chałupy. Zjemy coś.

– Ona mówi – rzekł po chwili, wskazując na żonę – że chłopak na uczciwego nie wyrośnie. A po co mu być uczciwym? Niech tylko nie będzie nożownik, a cwany, nie frajer – to tam na swoje wyjdzie. A zresztą, czy on dożyje swojego? Co tu gadać o przyszłości, kiedy w ułamku sekundy może się człowiek stopić jak świeca w ogniu. O, patrz! Widzisz tę stodołę? Hanka już od pół roku mnie napędza, żeby krokwie poprawić, bo jak nic się zawali. A mnie się, widzisz, nie chce. Niby trza by to zrobić, bo gdzie siano i resztę włożyć? Jesteś przecie mądry chłop, nie to, co ja, prostak, wiesz, co gadają w kółko, ledwo radio albo i ten telewizor włączysz. Czasem coś mnie takiego najdzie... Ot – pstryknął w butelkę – że tylko to mi pomaga.

– Bierz, nie żałuj se, bracie! – Podsuwał mi półmisek z kiełbasą. – To swojej roboty, nie to świństwo, co sprzedają w sklepach. Została jeszcze ze świąt. Tak, tak – ciągnął po chwili milczenia. – Ty jesteś niby jaki komiwojażer albo i podglądacz. Tu popatrzysz, tam coś naskrobiesz. Ale pisz sobie, pisz, niech ci pójdzie na zdrowie. Lepiej mi się z tobą gada niż z księdzem, bo to i napijesz się z człowiekiem, i posłuchasz, nie prawiąc morałów. I pewnie zdaje ci się, żeś już mnie poznał, co? Całkiem niby masz mnie jak na dłoni? O, nie, bracie! Tobie się tylko tak zdaje. Tyś tu obcy i ja z tobą dziś tak od święta gadam. Ale kiedy robota jest, to obcy mi zawadą, nie pociechą. Wy tam wolne soboty macie, osiem, czy tam ile godzin na miętkim stołku tyłki usadzić, a potem na rybki, pipki itede. Niby za wiele i ja o waszym życiu powiedzieć nie mogę, bo też je niby znam od zewnątrz. Takóż samo, jak ty moje. Był tu jeden gość. Z RFN-u wracał i auto mu się popsukiło, tom je naprawił. Taki tam – leworęczny. Poczęstował mnie za to Reich koniakiem. To ci świństwo! Niby jak bimber pół na pół z herbatą. Pogadaliśmy trochę o tamtych porządkach, jak się dowiedział, że tak po prawdzie, to z produkcji mleka żyjemy. Widziałeś te kany na płocie? Albo moje obejście? No to on mnie objaśnił, że tego mleka nikt tam by ode mnie nie przyjął, bo za brudne. Choć ono i białe jest, to warunków nie mam, żeby było czyste, kapujesz? U nich taka ferma ma na pastwisku wystawiona myjnię, a krowy tak przyczyli, że za porządkiem idą do kąpieli. Wszystko mechanicznie. Potem dopiero mleko doją i te dojarki obsługują w białych rękawiczkach i zaraz do chłodni. Potem ładnie, pięknie – odstawa. Jak ci się to podo-

ba? A ja lodówki nie mam jak, psiakrew, kupić! Kiedy mogłem, to nie miał pieniędzy, bo wszystko szło na maszyny. I nie nowe, nie. Po ludziach się zbierało, mało którą kupiłem w Agromie. No, a najlepsze, to jak mi opowiedział o ich sprzęcie. Dziesięcioletnia dziewczuszka jedzie po zielonkę z całym, bracie, zestawem maszyn. Kosiarka jej kosi, prasa zaraz za nią toto wiąże, a jakieś tam podajniki ładują na przyczepę i – szlus. Po robocie. No i czy taki tam farmer się narobi? A zysk ma. A ja tu czegom się dorobił, prócz garba?! I czy to tylko Niemcy tacy mądrzy są, by wymyślać te wszystkie maszyny? U nas nawet jak co mądrego wymyślą, to robią do kitu. O, masz przykład. Góral kupił se traktor. Trzysta tysięcy dał. I co powiesz? Przewracał mu się na zakrętach! Coś tam z układem kierowniczym popieprzyli. Dobrze, że się na tym trochę znam, bom swój sam ze złomu składał. A tak? Musiałby chłop zabulić jeszcze za naprawę, a i to pytanie, czyby mu jak należy naprawili. Fachowcy!

– Franek! – zawołała żona gospodarza z podwórka. – Kto to wiadro tak zgniótł? Najechałeś trakto-rem, cholero! – biadała.

– A po coś je tam postawiła?

– Wyklep je zaraz, ale już! W czym świniakom będę nosiła? Nowe wiadro, niech cię diabli, z przydziału kupione, kto mi teraz drugie załatwi?!

Mój rozmówca najspokojniej napełniał kieliszki.

– Widzisz. – Uśmiechnął się chytrze. – To ci dobrobyt. O głupie wiadro jest raban. Mój tata – podjął po chwili – wierzy w życie pozagrobowe. Teraz, jak ma rentę, dorabia sobie na portierni w Płytach. Kuśtyk, kuśtyk, ale zawsze trochę grosza babce przyniesie. To ma teraz czas na czytanie i ciągiem opowiada nam tu o jakichś ciałach astralnych. Świącie wierzy, że coś takiego jest. No i różne tam przepowiednie czytuje. Nostradamusa i inne. Według niego świat idzie ku końcowi. Znaczy się, katastrofa jest nieunikniona. Tata mówi, że pewnie przez nową wojnę wszystko diabli wezmą. Nawet datę nam podawał. Ma w niej być siódemka. Wychodzi na to, że miał to być rok..., no ale nie sprawdziło się. Pewnie ten przepowiadasz coś tam pochachmęcił, co? A może przez taty sklerozę tak wyszło, hę? Może inny? Jak myślisz? No to by nam niewiele zostało tego raju, nie? Potem dla tych, co ocaleją, ma być życie takie, że hej. Kanada. No, ale jakby to była prawda, to kto ocaleje? Ci, co mają forszę i mogą pobudować sobie schrony przeciwoatomowe. Masz forszę na taki schron? No widzisz? Nie masz. To nawet jakbyś święty był, kaput z tobą. Więc jaka tu sprawiedliwość? Sam widzisz, że cała ta nasza religia to też oszustwo. Wybrani będą, nie ci, co byli dobrzy, ale bogaci. No więc ja nie wierzę w żadną duszę, jak i nie wierzę w sprawiedliwość! Każdy nabija cię w butelkę różnymi takimi gadkami, żeby tylko zrobić cię w konia. Chrystus – nie powiem – dobry widać był człowiek, ale weźmy Lenina – ten był zły? Każdy niby chciał ludzkość uszczęśliwić, a co z tego wyszło? Ludzie jak wyrzynali się przed Chrystusem, tak się wyrzynają po Leninie. Ja ci mówię! Obu by ich, jakby się teraz zjawili, ukrzyżowali na jednym drzewie. Powiem ci – zniżył głos do szeptu – ja nawet w diabła nie wierzę. Kiedyś to nawet wierzyłem, że jest. Jak mnie coś kusiło, żeby wziąć to czy tamto. Teraz nie musi mnie nic kusić. Ręce same się po omacku wyciągają i łaps! Już jest moje. Tak. Tak... – Przeciągnął się leniwie. – No, posiedź sobie tutaj, a najlepiej przed domem, na słonku. Ja tymczasem pojedę po tę zielonkę.

* * *

Siedzę na ławce. Opieram plecy o nagrzane sztachety. Wokół moich stóp kręcą się kury. Grzebią coś zawzięcie. Pogdakują. Nad parkanem od ulicy błysnie czasem jasna chustka kobiety wracającej ze sklepu z zakupami. Słonecznie, spokojnie, błogo...

Moje szczęście

Szczęście wcale nie jest oddalone,
Szczęście właśnie jest własne i moje,
Krąży cicho, przystając przed domem
I przez okno wchodzi do pokoju.

Zatrzaśnięte w pianina klawisze,
Jakieś książki i ciepłą herbatę –
Jakże teraz można go nie słyszeć,
Kiedy kwitnie każdym swoim kwiatem?

Szczęście lubi być w moich papierach,
Wszystkie słowa oglądać od środka –
Jakże można nie słyszeć go teraz,
Gdy koniecznie chce się z nami spotkać?

Jest już szczęście trochę przygarbione,
Nieco siwe, w grubych okularach,
Krąży cicho, przystając przed domem –
Czy na spacer zabierze nas zaraz?

Najpiękniejsze wszak bycie ze sobą,
W każdym słowie, uśmiechu i geście,
Jest więc szczęście, kiedy jesteś obok,
Jest więc szczęście, gdy w ogóle jesteś!

Piła

Raz się piła wychynęła jakby wprost z Leśmiana,
Zatańczyła, zaśpiewała – danaż moja, dana!

Rozejrzała się tęskliwie za jaką niebogą,
By miłością swą niechybną obdarować kogo.

Wzrok jej upadł nieprzytomnie na wierzbę i brzozę,
Ciebie lubię, ciebie kocham i poślubię może.

Wnet nastała na półdrzewiu pytajna zwiędłocha,
Którą z nich w zaświaty zabrać, a którą pokochać?

Tak me serce niewiadome rwie się do tych kobiet,
Czyli którąś z dziewcząt kocham, czyli zgoła obie?

Pragnę brzozy w białej szacie, lecz nie wiem, dlaczego
Bracia dęby, bracia buki siostry swej nie strzegą?

Nad rozległym przedmieściskiem gwiazdy się kryształą,
Ja ją pieścę i całuję pobłyskliwą stałą.

Czemuś Ty ją stworzył, Boże, z takiego marliwa,
Że potrzeba jej koniecznie włosy powyrywać?

Gdy się księżyc mimowolny opromieni złotem,
Z przedgonnego jej brzemienia wyzuwam pieśczętę.

Tak ją trwonię w zauroczu na dwoje, na ćwierci,
Żeby snem niepostrzeżonym niebyt jej potwierdzić.

Każdy konar, każdy korzeń, każda naga gałąź
Żyje odtąd własnym życiem i obleka ciało.

Każda część jej umęczona w swoją stronę bieży
I stanowi czyjąś własność, do niej nie należy.

Jeśli tęskni za nią miasto wdumane w kontury,
Musisz wiedzieć, że zbolała żyje po raz wtóry.

Martwej Pan Bóg przysposobił znikliwą nadzieję,
Tylko miasto bezpowrotnie samo daleceje.

Niebieskie oczy

Usiadła tego dnia przy wolnym stoliku koło okna. Stąd mogła obserwować idące chodnikiem pary, które trzymały się za ręce i co chwilę pochylały w swoją stronę głowy, szepcząc sobie coś czule do ucha. Nie tak dawno i ona była szczęśliwa. Jej oczy błyszczały radośnie, kiedy biegła, a raczej frunęła na spotkanie z nim. Starła sobie przypomnieć, jak się poznali. Zanurzyła się w pamięci, by ten moment w sobie odtworzyć. Chyba ktoś ze znajomych ich sobie przedstawił. Tak. Wróciły wspomnienia.

Z początku nie był dla niej zbyt miły. Po prostu podtrzymywał rozmowę, bo tak wypadało. Ona słuchała obojętnie, nawet nie patrząc na niego. Nie był zbyt atrakcyjnym mężczyzną. Rozstaliby się zwyczajnie, ale w pewnym momencie niespodziewanie, z jakimś lekkim drżeniem w głosie, poprosił ją o numer telefonu. Zawałała się przez chwilę, nie zdążyła jednak za długo się zastanawiać, pomyślała tylko, że i tak przecież do niej nie zadzwoni, bo i po co, a zapisane na kartce cyferki zapewne powędrują do kosza razem z papierową chusteczką do nosa.

Na świstku papieru, jaki znalazła pośród różnych szpargałów w torebce, zapisała swój numer i od niechcienia podała pomiętą karteczkę, uśmiechając się lekko zażenowana.

Tak jak przypuszczała, nie zadzwonił ani następnego dnia, ani przez kolejne. Nie czuła się takim obrotem sprawy specjalnie zawiedziona. Nie wszystko jednak mogła przewidzieć.

Pewnego piątkowego popołudnia, rozmawiając przez telefon z koleżanką, zderzyła się w drzwiach galerii właśnie z nim. Przeprosiła zakłopotana i spojrzała na twarz, która wydała jej się znajoma. Już wiedziała, kto to jest. On uśmiechnął się i bez dłuższego czekania na reakcję lub na jakieś słowo zaprosił ją na kawę do maleńkiej kawiarenki tuż obok. Przyznał, że zgubił karteczkę z numerem jej telefonu, tak jak przypuszczała, ale bardzo chciał się z nią zobaczyć. I dzisiaj jest tak właśnie, a zwłaszcza jak podyktowało przeznaczenie. Słuchała jego słów.

Gdy kelnerka postawiła dwie kawy na stoliku, skupiła już bardziej swoją uwagę na tym, co mówił, i na jego niebieskich oczach. Jego oczy też patrzyły na nią, rozniecając wkoło coraz więcej iskier. Wypili kawę, dyskutując na różne tematy, które o dziwo były im bliskie. Zresztą klimat bliskości sam z siebie, czyli z nieświadomego powodu się rodził.

W pewnym momencie jego palce musnęły jakby niechcący jej rękę. Drgnęła, lecz pozwoliła, by ich dłoń nie na chwilę się połączyły.

Poczuła niesamowite ciepło. Nagle spojrzał na zegarek i ku jej zaskoczeniu podniósł się raptownie, przeprosił i zostawiając pięćdziesięciozłotowy banknot na stoliku, szybko wyszedł. Jego zachowanie zaszokowało ją do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę siedziała otumaniona, zastanawiając się, co zrobiła lub powiedziała nie tak.

Oprócz jego imienia nic więcej o nim nie wiedziała. Ani gdzie pracuje, czy ma rodzinę i jak brzmi jego nazwisko.

Pomyślała, że mogłaby zapytać o to znajomej osoby, która ich sobie przedstawiła, ale kłopotliwe uczucie wstydu zwyciężyło i dała sobie z tym spokój.

Wieczorem, kiedy usiadła na łóżku w swojej sypialni, spoglądała na ręce i znowu poczuła ten sam przeżywający dreszcz. Co takiego miał w sobie ten mężczyzna innego niż ci, których знаła, że nie potrafiła o nim zapomnieć? Pomyślała, że nie dała mu ponownie numeru telefonu i pewnie już więcej się nie spotkają.

Mieszkała sama i czuła się samotna zwłaszcza wieczorami, kiedy w kamienicy zamierało życie, w oknach gasły światła, a ona z książką w ręku otulała kocem nogi i czytała do chwili, gdy zmęczone oczy domagały się snu.

Spotykała się wcześniej z kilkoma mężczyznami, ale każdy tylko czegoś jednego od niej chciał, niczego nie dając w zamian. Rozpieszczała ich, nadszkakiwała, dogadzała, ale i tak odchodzili. Ona miała już swoje lata, a oni czuli się wciąż strzelcami polującymi na nowe zdobycze. Wierzyła, że kiedyś spotka takiego mężczyznę, z którym będzie szczęśliwa do końca swoich dni. Czas mijał, a na horyzoncie nie było widać nikogo godnego zainteresowania. Częściej zaglądała do galerii, w której się spotkali ostatnio, jednak niestety nie natrafiała na niego.

Zawsze siadała przy tym samym stoliku, gdzie jego ręce pierwszy raz splotły się z jej rękami i gdzie poczuła się tak dziwnie.

Pewnego razu, gdy sączyła zimną już kawę, pogrążona we własnych myślach, ktoś delikatnie odsuwając krzesło, żeby jej nie spłoszyć, zajął miejsce obok. Podniosła oczy i serce zatrzepotało w piersi jak ptak. To był on.

Nie tłumaczył niczego, usiadł i patrzył na nią. Chciała wstać i odejść jak on tamtego dnia, ale chwycił ją za rękę. Znowu poczuła ten sam dreszcz. Rozmawiali i czuła, że mu się bardzo podoba. Kim był i co miał w sobie takiego, że tak na nią działał? Nigdy o to nie zapytała. Zaczęli się regularnie u niej spotykać. Nie chciała być wścibska, uważała, że przyjdzie taka chwila, kiedy sam zechce jej o sobie dużo opowiedzieć.

Było im ze sobą dobrze. Uwielbiała jego pocałunki, pieszczoty, długie rozmowy, a kiedy od niej wychodził, nie pytała, czy i kiedy się znowu zobaczą. Wiedziała już, że ta chwila nastąpi i to jej wystarczyło.

Tego dnia znowu czekała, tak jak się umówili, przy ich ulubionym stoliku. Spóźniał się już ponad pół godziny. Nie było to do niego podobne. Kelner kilka razy podchodził, żeby przyjąć zamówienie, ale poprosił tylko o szklankę wody i dalej cierpliwie czekała.

Nagle do kawiarni ktoś wbiegł, krzycząc, żeby wezwać karetkę pogotowia, bo zdarzył się wypadek. Spojrzała przez okno, gdzie kilka osób zebrało się koło rozbitego samochodu i mężczyzny leżącego w kałuży krwi na środku ulicy. Wybiegła na zewnątrz.

Kwiaty, które rozsypały się z ogromnego bukietu czerwonych róż, miały kolor jego krwi. Zrozumiała natychmiast, że śpieszył się na ich spotkanie i nie zauważył pędzącego jezdnią samochodu. Z kieszeni jego spodni wysunęło się małe, czerwone pudełeczko, zapewne z zaręczynowym pierścieniem dla niej. Ale tego się już tylko domyślała.

Przyjechała karetka, już wyniesiono szybko nosze, położono na nich jej ukochanego. Ambulans odjechał na sygnale.

Została jak stała. Nieżywa prawie. Nie zdążyła podbiec do niego. Nie wiedziała. Prawie upadła, traciła równowagę i pamięć życia. Utrzymała się jednak na nogach, nikt nie zwracał na nią uwagi, jacyś mężczyźni palili papierosy i rozmawiali o wypadku. Na moment ogłuchła i oślepla. Oparta o chropawy mur. Tak ją to wszystko uderzyło. Zaskoczyło. Resztkami sił podążyła do swojej dobrej znajomej, w nadziei, że tam znajdzie duchowe wsparcie. Ale drzwi były zamknięte. Poczuła się jeszcze bardziej bezradna. Samotna. Słaba.

Znowu znalazła się na ulicy, na chodniku wśród bezimiennych ludzi. Próbowwała wstępować do sklepów, ale to nie przynosiło jej żadnej ulgi, bo w głowie zalegała czarna rozpacz, która rozlewała się jak mokra plama. Powinna pobiec do szpitala. Powinna. Jednak po prostu bała się tam usłyszeć najgorszą wiadomość. Zabarykadowała się więc w sobie przed samą sobą i chcąc nie chcąc szła do swojego mieszkania wolnym

krokiem, by tam szukać spokoju albo szukać jego samego, bo może tam on jest. Ale spokoju nie zaznawała. Co kilka kroków przysiadła na kolejnej miejskiej ławce pod zwisającymi gałęziami lip.

Myślała tylko o jednym. Co teraz z nią będzie? Jak zdoła istnieć? Jak będzie żyła po tym wszystkim. Tak bardzo trudno jej było. Tak źle, samotnie. Zdążyła przecież już polubić, a nawet więcej niż polubić, tego człowieka, który z każdym dniem zajmował coraz więcej miejsca w jej głowie, w jej życiu, z każdą jego obecnością w jej domu ona sama zmieniała się. Pragnęła jego jak powietrza do życia. Już nie chciała się snuć z kąta w kąt, ale po prostu żyć. Widzieć kwiaty, słyszeć ptaki. Uśmiechać się. Nawet nie zauważyła, kiedy to wszystko, co ją ożywiało, stało się naprawdę i kiedy zaczęła na niego czekać. Teraz to sobie mocno, aż do bólu, uświadomiła. I zaczęła panicznie bać się, że cała jej nadzieja i cała w niej mieszkająca jasność już się skończyły. Wszystko. I słowo „wszystko” nabierało katastroficznej mocy. Zauważyła też, że czuje swoje ciało bardzo inaczej niż kiedykolwiek wcześniej. Ma do niego nowy dostęp, odkrywczy, do wszystkich jego miejsc. Podniet. Marzeń. I sny zaczęły przychodzić nowe, mogłaby o tym bardzo wiele mówić dobremu słuchaczowi. Była jednak tylko zmęczoną słuchaczką samej siebie.

Nikogo innego nie było przy niej i nie mogło być. Wcześniej inni mężczyźni, różni wiekowo, zostawiali w niej garść wspomnień, ale poza tym gorzko uzmysławiała sobie, że także zostawało po nich coś w rodzaju pustki i zawodu, mimo pięknie brzmiących słów, którymi ją obdarzali. Szybko znikwały ich twarze, błędy. I miewała z tym zawsze duży wewnętrzny kłopot. Aż do utraty wiary w siebie. I życie znowu miało tylko jeden kolor.

Z tym mężczyzną jednak, z każdą jego wizytą było inaczej, dużo inaczej, bo poznawała jego serce. Już wtedy, kiedy usiedli obok siebie na tapczanie, pierwszy raz, już wtedy poczuła w jego nieśmiałości i delikatności coś, czego do tej pory nie знаła, co chciała odkryć i była zdecydowana dużo zrobić, aby to odkryć, aby już nie znikło ani nie zgubiło się to uczucie. Odkrywała swoje i czyjeś serce. Po tym olśnieniu nie mogła się już przed sobą samą obronić. Dowiedziała się też bardzo wiele o sobie samej. Tęskniła.

Nie był to człowiek zbyt wylewny, bo trochę nieśmiały, nie koloryzował, nie sypał miatkich komplementów, a raczej jakby całym sobą patrzył na nią i w jej oczy. Wodził za nią wzrokiem, wpatrywał się, gdy szła do kuchni po herbatę lub przynosiła coś do zjedzenia. On patrzył na nią swoimi oczami, tak jakby chciał na zawsze zapamiętać każdy ruch jej ciała. Dostrzegła to dość szybko, chyba natychmiast i zaczęła myśleć. I tym patrzyeniem mówił najwięcej, czytała w jego oczach, i w nim, jego myśli. Może były inne, ale ona pragnęła, by były takie jak jej. Ufne, pozbawione obawy i lęku. Chciała tej pewności.

Zamyślona wróciła do swego mieszkania, usiadła na tapczanie, koniecznie w tym samym miejscu, na którym zazwyczaj siedzieli blisko, jedno przy drugim. Nie na żadnym innym miejscu. Cała smutna. Cała samotna. Wszystko ją bolało. Głowa i nie tylko. Bolał ją brzuch. Ręce. Oczy. Myśli. Teraz nie miała sił, ale oczami wyobraźni przywoływała wszystkie szczegóły ich spotkań, czuła wszędzie jego obecność, jak wtedy, kiedy dotykał jej ręki, policzka, ramion, pleców, brzucha i kiedy dość niezdarnie odpinał kolejne guziki jej bluzki i zanurzał w niej swoje dłonie. Bardzo to lubiła, zwłaszcza ten moment, kiedy już, za tysięczną sekundy dotknie jej piersi. Ten moment. Kiedy wyjmie jej krągłe, jędrne, nabrzmiewające pod dotykiem dłoni piersi poza biustonosz. To było zawsze wstrząsające, przeszywał ją dreszcz. Te jego ręce jak ręce nigdy nikogo wcześniej rozbudzały w niej namiętne pragnienia i pożądania, i na nowo uczyły czułości. Odradzała się. Tak lekko się czuła, tak pięknie. Chciała coraz więcej, chciała nieba, uniesienia, a potem wszystko wracało, już nawet we śnie nie zaznawała samotności. Każdy sen był przedłużeniem ich spotkań. Realnie powtarzały się wszystkie doznania.

Gdy dzwonił z pracy następnego dnia, opowiadała mu szczerze wszystko o tym niesamowitym uczuciu i zjawisku. Cieszył się jej zwierzeniami jak dziecko. Nalegał, by mówiła mu przez telefon niejeden raz tę baśń nocy. A teraz ona powtarzała sama sobie obraz po obrazie, wieczór po wieczorze. Nie wiedziała przecież, co ze sobą zrobić. Dotyk po dotyku, pocałunek po pocałunku. Chciała ożywić ich dwoje razem.

W oczach miała łzy. Płynęły po policzku, po ustach. Wilgotniały od nich jej ręce. Włączyła ulubioną płytę. Melodię ich spotkań.

Zapaliła świeczkę, postawiła ją na stole, modliła się o jego życie. O jego życie na całe swoje życie.

Po nieprzespanej nocy, nie mogąc znaleźć sobie miejsca w domu, bez śniadania, pełna niepokoju, postanowiła jednak pojechać do szpitala. Serce łomotało w jej piersi, kiedy zbliżała się do recepcji. Dowiedziała się, w której sali leży jej ukochany. Powoli wchodziła schodami na górę. Stała przed drzwiami z numerem 213. Trzynastka – pomyślała, czy to aby szczęśliwa dla niej liczba? Delikatnie nacisnęła klamkę białych drzwi i wsunęła do środka głowę. Na małej salce były dwa łóżka, a przy nich metalowe szafki, stojaki na kroplówki i jakaś skomplikowana aparatura. Obydwa łóżka były zajęte. Przy jednym siedziała pochylona kobieta, która z czułością ścisnęła rękę obandażowanego, śpiącego mężczyzny. Głaskała ją delikatnie i coś szeptała. Na drugim łóżku leżał starszy mężczyzna z na wpół otwartymi ustami i ciężko dyszał.

Zrozumiała, że przy tym, do którego właśnie przyszła, siedzi ta tajemnicza kobieta. Kim była? Dlaczego tak czule głaskała jego dłoń?

Zaniepokojona wycofała się tak cicho, jak cicho chciała wejść. Oparła się o zimną ścianę. Zakręciło się jej w głowie, a pusty brzuch głośniejszym burczeniem przypominał, że od wczorajszego popołudnia nic nie jadła. Poczuła się słaba i zagubiona.

Korytarzem szedł lekarz w białym kitlu. Zatrzymał się przy niej, pytając, czy dobrze się czuje, ale tylko skinęła głową i lekko się uśmiechnęła. Odszedł więc, niosąc pod pachą zieloną teczkę z dokumentami.

Nagle drzwi z numerem 213 otworzyły się i stała w nich kobieta w ciemnych okularach. Pewnie założyła je, żeby ukryć zapuchnięte od płaczu oczy. Spojrzały na siebie pytająco. Nagle kobieta wypowiedziała jej imię. Wiedziała, kim jest. Widocznie opowiadał jej o niej. Ale kim była ta kobieta?

Okazało się, że to siostra jej ukochanego. Odetchnęła z ulgą, bo spodziewała się najgorszego.

Usiadły na ławeczce szpitalnego korytarza. Chwilę obie milczały. Anna – siostra Cezarego odezwała się pierwsza. Uspokoiła ją. Powiedziała, że najważniejsze, że on żyje, chociaż jest w śpiączce i nie ma z nim kontaktu. Anna ujęła jej rękę w swoje dłonie, w których niedawno trzymała rękę brata i znów ten sam dreszcz przeszedł raptownie przez jej ciało, jakby to on ją dotykał. Pojawiło się światło nadziei, że wszystko będzie dobrze. Teraz już mogła wejść do sali, w której leżał, popatrzeć na niego, przytulić jego dłoń do swojego policzka i powiedzieć mu, jak bardzo za nim tęskni i jak niecierpliwie czeka na jego powrót.

Kiedy wyszła z sali, Anna nadal siedziała na ławeczce. Czekala na nią. Poszły razem do znajomej kawiarenki. Dobrze czuły się w swoim towarzystwie, jakby znały się od lat. Anna miała wiele cech wspólnych z bratem. Miała takie same niebieskie oczy, delikatne dłonie, otwarte serce, ale znacznie więcej od niego mówiła. I tak powoli odkrywały się tajemnice z życia Cezarego.

Bardzo kochał i przez jakiś czas też był kochany, ale kiedy wyszło na jaw, że nigdy nie da żonie tego, czego najbardziej pragnie – dziecka, odeszła ona z innym, a wraz z nią umarła wiara, że jest mężczyzną, którego można kochać, z którym można układać sobie życie. Czuł się bezwartościowy, skancerowany, niepotrzebny. Kolejne związki z kobietami tylko go w tym utwierdzały. Z czasem nie potrafił już żadnej zaufać, ani się przed żadną otworzyć. Przychodził do siostry obolały, a ona umiała słuchać. Aż poznał JĄ. O niej opowiadał siostrze godzinami.

Anna i Cezary mieli tylko siebie. Rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, a Anna, jako starsza siostra, zaopiekowała się bratem, zastępując mu matkę i ojca. Poświęciła swoje życie dla niego, zapominając o sobie i swoich potrzebach. Byli skazani tylko na siebie, żyjąc w przekonaniu, że tak już będzie do końca ich dni.

Słuchała słów Anny, które nie były skargą ani żalem i myślała o tym, jak wielkie trzeba mieć serce i jakim trzeba być człowiekiem, żeby to unieść. Jeszcze cieplej pomyślała o swoim ukochanym i jeszcze większy niepokój wkraść się do jej wnętrza o jego życie, o wyzdrowienie.

Pojazdy są złośliwe

Mamo. Jeśli chcesz schudnąć naprawdę, kupimy ci rower, taki profesjonalny, z licznikiem kilometrów i przerzutkami – powiedział mój trzydziestoletni syn, uczestnik triatlonów, maratonów i treningów na siłowniach, z troską oceniając moją coraz większą oponkę na brzuchu i codzienne postanowienia, że odchudzać się będę od jutra. Okej, odpowiedziałam entuzjastycznie i wybraliśmy się do sklepu z rowerami, a także wszystkimi innymi akcesoriami. Kupiliśmy więc ten wypasiony rower, obcisły strój na zamek zapinany z przodu, nogawkami do kolan i poduszkami na pupę, rękawiczki, z których wystawały gołe palce, i oczywiście śliczny, twarzowy kask, który wybrałam z kilkunastu mi prezentowanych, jak biżuterię u jubilera. Gotowe. Z takim ekwipunkiem 10 kilogramów stracę od zaraz – pomyślałam.

Rower został wprowadzony uroczyście do garażu i ustawiony pod ścianą naprzeciw bramy wjazdowej. Samochód miał miejsce tuż za nim i kolory obydwu pojazdów były dobrane jak trzeba. Honda niebieska, a mój nowy nabytek – czerwony.

Następnego dnia wyznały sobie trasę na mapie – na początek 15 kilometrów. Powinnam dać radę w wieku 58 lat. Pływam przecież w jeziorze trzy kilometry na drugi brzeg i nawet się nie zadyszę – pomyślałam, ubierając się przed lustrem. Po zasunięciu zamka czarnego stroju, włożeniu rękawiczek, zapięłam pod brodą czerwony kask, obróciłam się profilem do lustra i uznałam, że z tą moją oponką nie jest tak źle, jak ją wciągnę pod płuca z wdechem. Zrobiłam to i po dwa schodki zbiegłam do garażu. Otworzyłam bramę, wsiadłam i pojechałam.

Bardzo byłam dumna z siebie. Wszyscy się za mną oglądali! Nawet dzieci. Taka laska ze mnie? – pomyślałam przed skrzyżowaniem. Kiedy wystawiałam rękę, by wskazać skręt w lewo, uderzyłam nią w szybę!!! Ja byłam w samochodzie!!! Ludzie widzieli babę w kasku i rowerowych rękawicach za kierownicą! Wypasionego kombinezonu już nie dostrzegli. Kiedy wróciłam do garażu, mój rower stał pod ścianą i rechotał łańcuchem, dzwonkiem i czym tylko mógł.

Owszem. Pojeździłam nim kilka razy. Po miesiącu, kiedy na rower spojrzałam, między pedałem a ramą wisiała pięknie utkana pajęczyna. Podarowałam go więc wnuczce Oli, która ujeżdża pojazd z powodzeniem dla swojej sylwetki.

Ja mam nadal oponkę i to już na dobre wyhodowaną (wciąganie jej pod płuca nie skutkuje). Może zaćnę biegać i to w zwykłym, wytartym dresie. Szkoda kasy na moje słomiane zapały.

Zmienne usposobienie

usiadł wiatr na progu kapliczki
i modli się żarliwie
skrzydłami bije się w piersi
prosi o przebaczenie
krzywdę ludziom wyrządził
dachy domów pozrywał
pewnie oszalał
teraz prosi o przebaczenie

w kapliczce Chrystus Frasobliwy
przebaczyć nie przebaczyć
zastanawia się
jeszcze nie podjął decyzji
ale się uśmiechnął

na to tylko wiatr czekał
skrzydłami zatrzepotał
i jak opętany poleciał
...będzie znowu dachy zrywał...
niepoprawny

Zawór bezpieczeństwa

emocje to są wzruszenia
które wzbogacają albo niszczą

przychodzą zniecka

źródłem są zdarzenia
miłość i poezja

nadmierne emocje są niebezpieczne
równowaga zagrożona

nad emocjami czuwa umysł
zawór bezpieczeństwa

Zapiski prozatorskie

Wróble

Susza daje się we znaki. Napełniłem wiadro wodą i poszedłem do ogrodu, aby podlać warzywa. I nagle doszło do mnie od krzewu jaśminu, spośród cienkich gałązek, głośnie trzepotanie i intensywne dźwięczenie sporej gromady wróbli. To był jakby w jednej chwili zwołany sejmik. Zleciała się zewsząd tych szarych ptaszków cała chmara. I gadają jeden przez drugiego. Każdy ma coś ważnego do zakomunikowania. Szczebioczą, ile sił w gardziółkach, co świadczy o ustalaniu ważnych spraw pod koniec lata, codziennie, pod koniec lata.

Do Paryża

Napisałem kilka słów do Zbigniewa Więckowskiego, który od lat w Paryżu mieszka, pracuje, maluje obrazy i patrzy przez okno (chciałbym wiedzieć, co on widzi przez to okno własnymi oczami, np. w południe, wieczorem), i pisze mi, że przyjmuje postawę kontemplacji. Czyli spokoju. Ja to lubię. Spokój to jest droga do wielu dróg – do akceptacji świata, do odkrywania w widzialnej warstwie wielu znaczeń, niepojętości stworzenia, boskiego sensu tego, co jest, i do odkrywania samego siebie. Można by jeszcze sporo dodawać, bo kosmos ciągle uchyla rąbka tajemnicy.

Nagość

Nagość to znak naszego czasu. Nagość banalizuje się, ale to szersze zagadnienie, więc nie tylko trzeba rozumieć ją jako proste czy wręcz trywialne odsłanianie ciała, niemal aż do odsłonięcia kobiecych intymnych szczegółów według zasady: kobieta dobrze ubrana to jak najmniej ubrana, czyli rozebrana ku podziwowi publiczności. To obecnie, w naszej epoce, także sposób na bycie dostrzeżonym, na przekraczanie obyczajowych granic, przyzwyczajień, prowokowanie, publiczne pokazywanie ciała aż do bezwstydu. Nagość to zarazem ważna duchowa figura współczesności. Próba poszukiwania prawdy, więc wyzwanie intelektualne, bo przecież nie tylko obyczajowe zagadnienie. Nagość może fascynować. Oczywiście nie jest wymysłem naszych czasów. Nagość była znakomicie gloryfikowana w rzeźbie greckiej, nagość odkrył na nowo barok. Nagie ciało uzyskało wstęp do sakralnej sztuki i stylu malarskiego. Nagość współczesna to ciało chude, młode wyłącznie, czyli nagie w dosyć wąskim tego słowa rozumieniu. Ten znak czasu to także dość powszechne poczucie duchowe, że nie ma już nic ważnego, żadnego ubioru, okrycia, ozdoby, jest tylko ciało, bezradne, poddane degradacji, urzeczowione, jesteśmy nadzy, gubimy się, mamy poczucie opuszczenia, przestaliśmy znaczyć. Nic nadzwyczajnego sobie nie możemy już przypisać. Wszelkie konwencje, metafory, style to sztuczne, puste przykrywkę czegoś realnego, głębi, a w głębi – co w głębi nagości? Nicość? Nagość jest czymś nieskończonym mimo swej cielesności, np. w poezji R. Wojaczka. Można ją tylko eskalować. Albo w malarstwie Bacona – jest już tylko mięsem i T. Różewicz o tym pisał. Taka jej tragiczna głębia. Zawsze jednak odnosi się do człowieka. Nagość jest również użytkowa. Bywa niekiedy skutecznym narzędziem protestu, ale i wymogiem mody, motywem salonów artystycznych. Jest merkan-

tylna. Na nagość wolę jednak patrzeć jak na stan naszego ducha, gdzie prostej odpowiedzi ani definicji nie ma już w żadnej sprawie. Nie da się tego pojęcia zignorować w rozważaniu o człowieku.

Rano

Jest rano. Na kuchennym blacie stoi szklanka rumiankowej herbaty, przykryta talerzykiem, którą wcześniej, przed wyjściem do pracy, dla mnie zaparzyła Natalia.

Stół

Tego lata na tarasie zbudowałem stół. Z cegły wymurowałem filar, a na nim położyłem zbrojony drutem blat, niedawno wyłożony nieforemnymi, różnego koloru kawałkami mrozoodpornych, gresowych płytek. Musiałem je dosyć długo do siebie dopasowywać. Wczoraj odwiedziła nasz dom przed wyjazdem do Belgii A.K. z Andre. Piliśmy kawę, a przy kawie było czytanie i słuchanie wierszy flamandzkich poetów. Raz po raz udzielał mi się podziw i uznanie dla dokonanego tłumaczenia oraz oryginalności formy i myśli tej poezji, w której dużo dramatycznego obrazu świata. Gdy do Zielonej Góry przyjadą, poznamy ich bliżej.

Holandia

Do Holandii wyemigrowało w różnych latach wielu Polaków. Pracują tam, żyją. Do niedawna bardzo mało o tym kraju, świetnie prosperującym gospodarczo, wiedziałem. Dopiero poprzez malarskie obrazy zbliżyłem się do jego poznania. Nie tylko tego, że to kraj bardzo dobrych wielu malarzy. Tych wspaniałych o randze światowej jak: Rembrandt, Vermeer czy van Gogh, ale są i setki małych mistrzów. Ci mali mistrzowie też są godni docenienia. Zaskoczyło mnie w lekturze ich biogramów, że oni, nie tak jak wielu np. naszych krajowych twórców, zamkniętych w swoich pracowniach, nieustannie wędrują, odkrywają. Malują porty, statki, łąki, gospodarskie obejścia, twarze starych ludzi, kobiece akty, wnętrza mieszkań, stodoły, z wielką atencją podchodzą do wizerunków krowy, krów, koni na łąkach, przy pracy polnej, leśnej, ileż pięknych, zimowych ujęć i jakże zajmujące widoki licznych kanałów, rozlewisk, jakże uroczko ukazują niebo na obrazach. Często na horyzoncie zaznaczają wieżę kościoła, co mnie wzrusza. Są wtopieni w przyrodę, w codzienne życie, w rytm i koloryt małych miast. Można to oglądać i oglądać. Czucie świata jest w ich sztuce bardzo żywe.

Poniedziałek

Słońce wstało niewyraźnie. Meteorolodzy przestrzegają przed wielkimi opadami w tygodniu. Dla kogoś trudny dzień. Dzień niepozbawiony bolesnych chwil, myślę o tym, ale co mogę myśleć. A zwłaszcza zrobić. Patrzyłem więc, ile się tylko dało, na powstający, na sztaludze umieszczony, obraz wiejskiego grajka coraz piękniejszy z każdym dotknięciem pędzla. Gdyby tak można było w przestrzeń sztuki przejść całym sobą, uciec od determinacji biologii i innych determinacji. Od strachu uciec. Zapomnieć skutecznie o nieuchronności. Ale nie można. Prózne myślenie i pragnienie etc.

Halina

Wieczór jest dobry (będą coraz dłuższe) i dzień był dobry. Tyle różnych rzeczy się zdarzyło, że można by długo wyliczać. Rano przez kilka godzin zajmowałem się pielęgnowaniem ramy do obrazu. Były wyłamane narożniki, ale udało mi się je naprawić. Potem pojechałem do Haliny. Dostała właśnie z wydawnictwa Pro Libris egzemplarze swojego nowego, ładnie wydanego, zbiorku wierszy *Dotykam cię tylko myślami*. W trudnym momencie życia ten owoc twórczej pracy się ukazał i ma z pewnością znaczenie dla jej ducha. Wiersze czytałem dosyć dawno, ale teraz z przyjemnością w zaciszu domowym robię to ponownie. I to ponowne czytanie potwierdza ich wartość. Podoba mi się niebanalna wrażliwość na naturę i sprawy ludzkie, intymne, osobiste, które poetka wyraża prawdziwym, zwyczajnym językiem. Jest w nich też mądrość. Jeśli

coś jest trudne w poezji do osiągnięcia, to nadanie dobrego wyrazu właśnie doświadczanej zwyczajności i codzienności egzystencjalnej, w której każdy z nas jest zanurzony. Ta codzienność jest tu piękna i wzruszająca, bowiem jej spoiwem jest uczucie do kogoś bliskiego. Powszednią materię poetycką cechuje realność, a nie nadużycie wyobraźniowe i warto zauważyć, że zostało to wszystko wyrażone w dobrym stylu. Myślę, że będzie to przez czytelników docenione.

Refleksja

Pogłębiona refleksja, a nie powierzchnia świata, łudząco ładna, gładka, powinna być celem wszelkiego tworzenia. Jednak świat stara się wszelkimi sposobami, byśmy zaledwie nie zastanawiali się nad czymkolwiek. I tej presji podajemy się. Piszę o tym Z.W. z Paryża nad wyraz zwięźle. „Ale o co ci chodzi”. Wypadałoby o to pytać wielu ludzi. Świat niemy, język niemy. Światu nie nadajemy imienia, więc kto wie, jaki on jest, a niewiedza ma swoją cenę. Im więcej ludzie mówią, krzyczą, tym więcej rozmywa się sens.

Łza

Od czasu do czasu dociera do mnie, że łza na powiece lub policzku jest najsamotniejsza ze wszystkiego, co zna świat. Niekiedy serce w ten sposób mówi prawdę, oczywiście inną od kalkulacji rozumu.

Następny

Następny dzień. Kolejna kartka. Oddycham. Po nocy wszystko wróciło, wraca, przypomina się. Podłoga, okno, lampa, na ścianie obraz, zegar, włosy, oczy, ręce, kwiaty, krzesła, garnki na piecu. Wróciło ciało w swoim ciele oraz są już czynne myśli, kawałki wczorajszego dnia, różne sprawy dają sygnały małe i ważne, byle jakie i piękne, o których wiesz najlepiej, co one w sobie mają, co znaczą. Siedzę na krześle, żeby jakoś do świata dotrzeć, stukam, stukam, klikam „miłego dnia” i „Pa”, i chcę wiele rzeczy objąć, w jakiś sposób pojąć, oczywiście w taki, aby nie być daleko i nie być zgubionym. Ale to już wyłącznie moja osobista sprawa.

Poranek

Poranek, mglisty, nieco rozmazany, cichy, piękny, pod koniec sierpnia. W pewnym sensie nagi. Poranek jak pocałunek. Który tyle znaczy, ile w człowieku rozświeśla.

Dalej trwa

Nadal trwa wszelkie światło, które płynie z nieba i także to, które dają myśli albo odsłania je poezja, obraz malarski na płótnie i picie kawy, herbaty, np. ze skrzypu, z bliską osobą, która wie, czym jest wrażliwość. Przeszła kolejna noc. To jest ważne. Po ludzku mówiąc, mało światowe drobiazgi.

Coraz zwyczajniej

Kiedyś moje emocje i myśli dotyczyły nieobojętnych mi konieczności, decydujących o docieraniu do sedna istnienia lub życia. Do tego, co jest niezbędne i nie do ominięcia. Miały wysoką temperaturę. Teraz patrzę bardziej, o wiele bardziej, zwyczajnie na wszystko. Co więcej. Upewniam się w przekonaniu, że w ten sposób jestem bliżej rozumienia wielu spraw i prawdy o człowieku. Ważne są te liczne, towarzyszące życiu drobiazgi, które wiele mówią, wiele świadczą. Być człowiekiem to umieć je dostrzegać.

Południe już

Południe jałowe, pustawe, „bez rusztu kłopot w piecu”, „bez wody nie zrobisz herbaty”, bez człowieka nie ma rozmowy, w pustym domu, wśród milczących ścian. Życie bywa jak żelazna furtka, zamknięta na klucz. Jak gasnący ogień, jak coraz ciężiej zalegające w słuchawce milczenie.

Wysłane

Zależało mi, niejedną raz w życiu, na podkreśleniu w wierszach zadumy nad człowiekiem i mijaniu czasu. Zależało mi na innych jeszcze sprawach, nie dla jednej osoby. Człowiek sam tylko, z własnymi rękami, oczami bez innych oczu, z odbiciem twarzy w lustrze nie da sobie rady. Patrzę na smutny obraz z babinką idącą samotnie do kościoła. Na niebie unoszą się trzy ptaki. Nie jest to za mocno chmurne to niebo. Gdzieś taki świat istnieje.

Olga Tokarczuk

Jest teraz czas, nie wiadomo, jak długo będzie on trwał, nasycony uznaniem dla odniesionego literackiego sukcesu autorki *Biegunów* i innych grubych książek. Różnie Nagrodę Nobla można oceniać, ale to naprawdę wielka nagroda. Czytam różne wypowiedzi poetów, polityków. Każdy ma swoje ziarenko lub kamyk do dorzucenia. Ja też mam. Bardzo dawno temu byłem na spotkaniu w Liceum w Sulechowie. Jedna z dziewczyn zapytała, jaki ważny utwór według mnie należy koniecznie przeczytać. Odrzekłem, że *Ziemię jałową* T.S. Eliota. Zresztą nadal tak uważam. Dość niedawno właśnie do poleconego utworu noblistka (podówczas licealna dziewczyna) się odniosła, wspominając ową moją rekomendację. Przyznała jednak, że nie zdołała przebrnąć przez jego zawikości do końca. Z uśmiechem teraz przypomniałem to sobie.



* * *

Dłonie leżące na stole

Jarosław Zieliński

Kochany
Tak wiele spraw przed nami
Tak wiele bram
Zamków do otwarcia
Kluczy do odnalezienia

Kiedy tak siedzę i widzę
Twe dłonie leżące na stole
Zastanawiam się czy już zawsze
Będą gotowe i chętne by zamknąć mą twarz w czułym uścisku
Czy może zmęczone czasem sięgną po coś łatwiejszego

* * *

I łez wylanych dziś wstydzić będę się

C.K. Norwid

Tak wiele w życiu tracimy
Tak wiele uśmiechów odleci gdzieś tam
I wiele wspomnień odejdzie
I wiele lat

Lecz czy zostanie coś przy nas na końcu
Czy radość wtedy wydobyć się da
Czy kiedy przy końcu spojrzymy wstecz
Łez wylanych dziś wstydzić będziemy się
Czy może uśmiechów raczej pożałujemy
Tych, które mogły się stać
W Weronie, w Paryżu, Florencji
I gdzie tylko się da,
Panie przypominaj Nam,
Jak cudownie jest się śmiać.

Pamiętaj nas

– Drugi orzeł? To jeden już nie wystarczy? – Arkan Rat zatrzymał się, zadzierając głowę.

Paproch zachichotał.

– Nie w dzisiejszych czasach. A, gwoli ścisłości, ten jest trzeci.

Stali w cieniu pomnika Bohaterów; kanciasta, socrealistyczna bryła od ponad półwiecza górowała nad głównym placem miasta. Wyciosany w piaskowcu monument miał, jak pisano, nawiązywać formą do rękojeści piastowskiego miecza, wbitego ostrzem w prasłowiańską ziemię. Jelec stanowiła otaczająca główną bryłę płaskorzeźba przedstawiająca żołnierzy w szynelach.

Dziś obok pomnika pracował dźwig, robotnicy przybijali właśnie do górnej części monumentu jaskrawoczerwoną tablicę z ukoronowanym orłem.

– Jak to „trzeci”? – Rat osłonił dłonią oczy.

– Bo pierwszy jest tam. – Paproch wskazał mosiężną główką laski. – To ledwie symboliczny zarys, orzeł z piastowskiej pieczęci, był na pomniku od początku, wiesz jako nawiązanie do odwiecznej polskości tych ziem. Ale nie wystarczył.

– Nie wystarczył? – Rat zapalił papierosa, zanosił się na dłuższy wykład.

Jerzy Paproch był wieloletnim kustoszem Muzeum Ziemi Lubuskiej i uwielbiał popisywać się wiedzą. W jego oczach pojawiał się wtedy młodzieńczy błysk, a imponujące siwe wąsiska drgały jak czułki owada.

– Ano nie, nasze serca coraz mniej potrzebują subtelnych metafor. W latach 90. dołożono drugiego.

– Laska kustosza zatoczyła łuk. – Ten jest już współczesny, z koroną, dokładne odwzorowanie godła. Ale i on wystarczył raptem na kilka lat...

– A czego mu brakuje?

– Jak to czego? – Napuszył się muzealnik. – Nie widzisz, na jakiej wysokości on wisi? Nie może przecież polski orzeł wisieć na dupie ruskiego żołnierza!

Paproch zamarł w starotestamentowej pozie, na gałce uniesionej laski zabłyśło słońce. Po chwili kustosz wypuścił powietrze i zachichotał.

– Tak przynajmniej argumentują kombatanci. A w efekcie mamy na jednym pomniku trzy orły. I na tym się pewnie nie skończy!

Przez chwilę patrzyli na postęp prac. Czerwona tablica jaskrawo kontrastowała z pociemniałym piaskowcem. Dźwig zaczął wciągać na górę kolejny, na razie osłonięty plandeką element.

– Nasza pamięć jest jak strup na niegojącej się ranie. – Paproch już się nie uśmiechał. – Narasta w coraz dziwniejszych kształtach, ale pod nim...

Rat nic nie mówił, obserwował przyjaciela, a ten mówił coraz szybciej, postukując laską w bruk.

– Ten pomnik wciąż się zmienia, dostosowuje do czasów, ale pod nim... Nie wystarczy dołożyć emblematy, poskuwać gwiazdy z hełmów... Tu zresztą stał wcześniej inny pomnik, obelisk z gwiazdą właśnie, kilku dumnych żołdatów, armaty... Stawiali takie figury na każdym swoim cmentarzu...

– Cmentarzu? – Rat zmarszczył brwi.

– A tak, cmentarzu! Jak tylko front przeszedł, Rosjanie pochowali tu swoich, robili tak i w innych zdobytych miastach, wiesz, to naznacza...

Rat poczuł nagły chłód, rozejrzał się po placu. Było ciepłe jesienne przedpołudnie, drzewa szeleściły czerwienią i złotem. Stragany kwociarek stały dziś puste, na masztach jeszcze nie było flag.

Arkan Rat zaszurał butem po bruku.

– Oni tu ciągle są?

– Nieee... Cmentarz przeniesiono pod koniec lat 50., chociaż... Te ekshumacje nigdy nie były dokładne, czasem wykopywali tylko głowy... – Paproch patrzył gdzieś w siebie, tam gdzie gnily półwieczne wspomnienia. – Zawsze coś zostaje, nawet gdy nie chcemy pamiętać...

– A na niepamięci strup. – Spróbował zażartować Rat, poczuł się jednak niezręcznie, zanim jeszcze słowa wybrzmiały.

Jerzy Paproch spojrział na zegarek.

– Chodźmy stąd, spóźnimy się.

Ruszyli szybkim krokiem. Nim weszli w aleję Niepodległości, Rat obejrzał się ostatni raz. Robotnicy skończyli przyśrubowywać drugą tablicę, kryjącą ją dotąd plandeka sfruwała właśnie nietoperzo na ziemię. Pod plastikowym orłem, nad głowami czerwonoarmistów wbiła się srogi wzrok w przestrzeń podobizna Józefa Piłsudskiego.

* * *

– Dostałem zaproszenie na akcję plenerową w Parku Tysiąclecia – tłumaczył po drodze podekscytowany Paproch. – Grupa młodych artystów, Donacja Balonik, postawiła sobie za cel przywrócić mieszkańcom przestrzeń Parku, pamiętać o nim...

– Chwalebne – mruknął niezobowiązująco Rat, Park Tysiąclecia kojarzył mu się tylko z prostym winem obalanym na ławce w nieodległych latach młodości. Jednak kiedy poczuł cień drzew, odprężył się. Park zajmował cały stok łagodnego wzgórza, na szczycie którego majaczyły zza drzew zarysy neogotyckiej budowli, miejskiego szpitala. Zaskoczyły go falujące plamy koloru.

Balony. Były ich setki, przywiązanych do gałęzi drzew, krzewów, ławek lub swobodnie migrujących z wiatrem, przetaczających się po ścieżkach i trawnikach. Paproch stanął w nurcie barwnych kul, na jego twarzy malowała się bezradność. Tracił jeden z balonów czubkiem łaski.

– Nie staraj się zrozumieć sztuki współczesnej. – Rat uśmiechnął się, gdy już przebrzmiał huk. – To tylko balony...

– Przez chwilę miałem nadzieję... – westchnął sędziwy kustosz. – A tu kolejny strup.

– To przecież tylko park – zaczął Rat, gdy Paproch gwałtownie mu przerwał.

– Tylko park? – ryknął, aż z okolicznych drzew poderwały się ptaki. – Tylko park!? Znajdujemy się – rozłożył szeroko ramiona – pośrodku największej nekropolii naszego miasta!

– Znowu cmentarz? – Rat obracał w palcach pomiętego papierosa.

– Nie byle jaki – sapnął spod siwego wąsa Paproch. – Największy i najbardziej zapomniany. Cmentarz Zielonego Krzyża, blisko trzy wieki pochówków!

– A, czyli niemiecki. – Rat zaciągnął się dymem.

– I co z tego, że niemiecki – nasrożył się Paproch. – My tu w ogóle mamy jakiś problem z pamięcią! Fidygałki, baloniki, może jeszcze dyskoteka w krematorium, a gdziekolwiek wbijesz łopatę, historia wyłazi spod ziemi. Pod co drugim placem leżą ci co przed nami, a nas to głównie obchodzi! Zupełnie jakby miasto narodziło się wczoraj! Ale powiem ci coś, ono jest stare, stare i pamiętliwe. Możemy nie chcieć pamiętać, ale pod nami leżą trupy, płynie zasypana rzeka, pod blokowiskami śpią stare kopalnie i kiedyś, kiedyś... – zadygotał się stary muzealnik, sięgnął do kieszeni, pociągnął kilka tyków z małej buteleczki. W jesiennym powietrzu rozeszła się silna woń waleriany.

Arkan poprowadził kustosa do najbliższej ławki. Stary przez chwilę łapał oddech.

– Chodzi mi o to – kontynuował już spokojniej – że tego jest tyle pod naszymi stopami... Jeżeli nie nauczymy się chociaż pamiętać... To się nie zagoi, nie zarośnie, nie zniknie przecież... – Podniósł się wsparty o lasce, która nagle przestała być tylko ekstrawaganckim rekwizytem. – Wracajmy, nie mogę na to patrzeć. – Kopnął słabo najbliższy balon.

* * *

Paproch nalegał, by Rat odprowadził go do Muzeum. Gdy już dotarli do jego, zagraconego ponad wszelkie wyobrażenie, gabinetu, zatrzymał przyjaciela.

– Coś ci dam, coś do myślenia – powiedział, grzebiąc pod stosami starych map i kartonów. Kurz wzbijał się gryzącymi kłębami, Rat zakaszał. Nagle z chmury pyłu dobiegł tryumfalny okrzyk kustosa: – Mam, łap!

Arkan w ostatniej chwili chwycił nadlatującą kulę koloru gliny. Obracał ją bezmyślnie w dłoniach dobrą chwilę, zanim dotarło do niego, co właściwie trzyma. Wytrzeszczył oczy.

Oczodoły czaszki odpowiedziały ślepym spojrzeniem.

* * *

Kilka godzin później wciąż mierzyli się wzrokiem.

Arkan Rat na co dzień prowadził trudny żywot artysty malarza, jego pracownia (mieszcząca się w dawnej Wieży Głodowej) zawsze była mu zarazem miejscem pracy i azylem. Jednak nie dziś. Obecność starej czaszki irytowała, jak czyjś natrętny wzrok, wyczuwalny niemal fizycznie.

Paproch powiedział, że wykopano ją podczas budowy hotelu na placu Słowiańskim; tam również, rzecz jasna, był kiedyś jakiś dawny cmentarz. Rat złapał się na tym, że stara się stąpać ostrożnie, czuł się nieswojo już chyba na każdej ulicy.

Obrócił czaszkę w dłoniach. Musiała być stara, brązowa i bezzębna, zniekształcona odpryskami i wżerami, pręga rdzy znaczyła kości ciemienia. Dolnej szczęki brakowało. Rat wpatrzył się w mrok oczodołów.

– Kim byłeś? – szepnął. – Czy chodziliśmy po tych samych ulicach?

Czaszka zaszeleściła. Arkan podskoczył, ale nie wypuścił jej z rąk. Potrząsnął energicznie czerepem nad stołem, coś wypadło na drewniany blat.

Chrząszcz nie był duży – może jak pół paznokcia, matowoczarny, leżał na grzbiecie, bezradnie przebijając odnóżami.

– Spokojnie... – Rat powoli wyciągnął dłoń. A potem, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, błyskawicznie chwycił owada i wepchnął do ust. Strzeliła rozgryzana chityna. I wtedy świat zniknął.

* * *

Arkan Rat śni, choć jest tego świadom. Unosi się pod sklepieniem ciasnej ceglanej klitki, ponad stołem, na którym leży czaszka, siedzi tam też mężczyzna, jego czoło wsparte o blat. Mężczyzna nie daje znaku życia. Rat nie poświęca mu więcej uwagi, przenika gruby mur i już szybuje pod nocnym niebem. Nie ma chmur, ale nie ma i gwiazd; nad światem otwiera się otchłań idealnej czerni, to nieważne, nie w górę śniący ma patrzeć.

Powoli leci nad miastem, a to nie miasto, które pamięta. Ulice płoną czerwienią jak rany wyrżnięte w mroku. Ich siatka jest znajoma... w ogólnych zarysach. Jeszcze obrys starówki się zgadza, krwisty czworokąt z czarnym kształtem ratusza pośrodku, ale dalej... Rat widzi purpurowe wysięki wokół kościołów, nie tylko, są też u zbiegu niektórych ulic. Plac Bohaterów jarzy się jak tarcza słonecznego zegara z czarnym gnomonem pomnika, jego cień pełźnie robaczko, sięga w ciemności, a tam inne płonące bryzgi. „Groby, cmentarze...” – szepcze wspomnienie Paprocha i Rat czuje, jak wznosi się coraz wyżej, miasto pod nim jak żarzący się ukwiał. I wtedy Arkan Rat spada.

Nie zatrzymuje go glina ani bruk, ziemia przepuszcza jeszcze jedną kroplę krwi.

Miasto pod Miastem tonie w ciemnej czerwieni. Arkan idzie ulicą, nad głową glina, pulsujące węzły żył. Ulicę flankują ślepe ściany wrastające w sklepienie, Rat wie, jak wie się we śnie, że to korzenie domów Miasta na Górze. Idzie ulicą, której zarys prawie rozpoznaje i nie idzie tam sam, o, nie! Otacza go zbity tłum, tachmany, szmaty przesiąknięte błotem, ciała gliniaste, skurczone i czaszki, czaszki, czaszki...

Czerepy koloru iłu, piasku i pleśni, pełne owadziego truchtu, bezmyślnego tańca glist. Arkan daje się nieść ludzkiej fali. Słyszy szum, zrazu cichy, potem potężniejszy ponad robacze szmery. To rzeka, rzeka, nad którą zbudowano miasto. Sen podpowiada, że rok po roku znikła z powierzchni ziemi, zamykana w rurach, kanałach, ale tu jest, pulsuje silną strugą czarnego nurtu.

Płyną. Woda ich unosi, obejmuje, piastuje. Arkan czuje, jakby leżał w uścisku wielkiej dłoni, kochającej, czulej. Oto i drugi brzeg. Ta ulica jest szersza, korzenie domów większe i wyrastają rzadziej. Tłum idzie pod górę, stok wznosi się tarasowo. Są tu już inni, długie szeregi wspinających się pielgrzymów; szczytu nie widać, dobiega stamtąd tylko powolny miarowy puls. Bummm... bummm... bummm... Rat nagle czuje, że nie powinien tu być, zawraca. Rozstępują się przed nim, schodzi powoli, grunt jest śliski i niepewny. Arkan Rat ślizga się i pada. Dłonie wczepiają się w ziemię, ale nie znajdują oparcia, glina jest jak mięso – sprężysta i mokra. Więc na czworakach, jak zwierzę, Arkan schodzi ze stoku, blade glisty wiją się między palcami. U podnóża pada nań długi cień i teraz pełźnie tą ścieżką ciemności. Inni na nią nie wchodzą, mijają go obojętnie, czaszki lśnią mętną wilgocią. Rat pełźnie.

I nagle może wstać. Tym razem plac nie jest pusty, stoją równymi szeregami, długie szynele, skorupy hełmów. Pośrodku wielki blok z piaskowca wrastający w sklepienie. Stoją i milczą, a chrząszcz kłębią się w ich głowach. Rat wie, że to sen, wizja, że przecież ich przeniesiono, wykopano. A jednak tu stoją, milczący strzęp armii, o której nikt nie chce w tym mieście pamiętać.

– Dlaczego ja? – pyta, głos dudni, jakby mówił pod wodą.

Żołnierze milczą, ich oczodoły zwrócone w stronę pomnika, nikt nie zwraca na Arkana uwagi. Rat szarpie najbliższego, wyrwa z szeregu, potrzeba jak szmacianą kukłą.

– Dlaczego ja?! – krzyczy, ale żołnierz nie reaguje, tylko glista porusza się w jego twarzy.

Arkan odpycha go, żołdat bezwładnie wali się na ziemię. A potem zaczyna się exodus, z leżącego truchła na wszystkie strony rozbiega się robactwo, uciekają chrząszcze, żuki, stonogi, dostojnie odpełza tłusty biały czerw. I znowu bezruch kłębu brudnych szmat, tylko kilka kroków dalej kolebie się przestrzelony hełm.

Rat podchodzi do korzenia pomnika. Nie ma tu tablic ani płaskorzeźb, nie ma napisów i dat. Głaszcząc dłonią wilgotny piaskowiec, kamień pokrywają plamy pleśni. Ręka Arkana wyczuwa niesłyszalną wibrację, dalekie echo tamtego tętna.

– Wszystko wciąż tu jest...

Wraca nad rzekę, milczące tłumy idą brzegiem, wszyscy owinięci w błotniste szmaty, nie do rozróżnienia. Jest ich tak wielu, miasto jest przecież stare, a oni szli tu w ziemię stulecie za stuleciem. Czarny nurt prowadzi wciąż dalej, porusza zbutwiałe młyńskie koła, niesie puste łodzie.

Rat dochodzi do miejsca, gdzie zaczyna się długa ściana z polnych kamieni, rzeka obmywa ją łagodnie. Arkan przypomina sobie, że podobnie wygląda zachowany fragment miejskiego muru. Na górze to raptem kilkumetrowy odcinek, ale tutaj mur ciągnie się niewzruszonym masywem. Nie ma w nim okien ani strzelnic, tylko obłe kamienie poprzerastane pleśnią i grzybem, szczeliny wypełniają kości. Rat idzie wzdłuż muru, brnie w sięgającej kolan wodzie. Czuje, jak jakieś zwinne kształty dotykają jego nóg, ale nie budzi to w nim strachu ani obrzydzenia. To sen, a on jest jego częścią.

Brama to tylko przerwa w murze, nad nią kanciasty występ. Rat rozpoznaje zarys swojej wieży, wie, że tam wyżej, nad warstwą mięsa i warstwą ziemi śpi z głową na blacie stołu. W świetle bramy ktoś stoi,

wysoki, owinięty gliniastym catunem. Żelazna tiara lśni rdzawo na zbrązowiałej czaszce. Rat podchodzi, tamten góruje nad nim, jak dorosły góruje nad dzieckiem.

– Pamiętaj... – To nawet nie jest szept, słowa jakby utkane z szelestu.

– Co? – Rat zbliża się jeszcze bardziej, patrzy w twarz czaszki. Ponownie rozlega się szelest.

– Pamiętaj nas... – Postać w tiarze tkwi w trupim bezruchu, tylko w głębi oczodołów coś się kłębi, chitynowe pancerzyki połyskują w takt słów. – Pamiętaj...

Rat rozumie, że więcej już nie usłyszy, rozumie też więcej, wie czyich słów słuchał, innym wzrokiem patrzy na stojący nad rzeką tłum.

I wtedy się budzi.

* * *

Telefon musiał dzwonić już od jakiegoś czasu. Rat potrząsnął ciężką głową, odkaslnął, nim podniósł do ucha komórkę. Przez wąskie okno do pracowni wpadało pomarańczowe światło ulicznej latarni. Czaszka leżała na blacie.

– Rat.

– I co? – W słuchawce zarzęził głos Paprocha. – Oglądałeś czaszkę?

– Tak.

Chwila ciszy.

– ...zjadłeś?

– Tak.

– Widziałeś?

– ...

– Zrozumiałeś?

– Dlaczego ja? – zapytał cicho Rat, a potem jego wzrok padł na stojące pod ścianami puste płótna, sztalugę, gotowe do malowania pędzle.

I już wiedział.

Wyłączył telefon. Zapalił papierosa, rozkoszował się przez chwilę dymem. Wstał, znalazł czystą paletę, wycisnął farby. Wybrał jeden z blejtramów, ustawił na sztaludze, rzucił niedopałek na podłogę, przydeptał. Wziął pędzel do ręki. Obejrzał się przez ramię, czaszka leżała na stole cicha i nieruchoma. Arkan Rat mrugnął do niej porozumiewawczo i zaczął malować.

* * *

Kilka miesięcy później pokazał obrazy na wystawie w miejscowym Muzeum. Płótna zajęły trzy sale, na wernisaż przybyły tłumy. Rat, wbity w smoking, brylował wśród gości, przepijał kieliszkiem szampana do równie eleganckiego Paprocha, podpisywał katalogi...

Modlitwa

kto dzisiaj pamięta jeszcze twoją historię
twoja miłość tak wielka
jak nieskończony nad nami wszechświat
a gwiazdy oświetlają nasze sny

przyjdź dzisiaj do mnie w tę noc
zamieszkaj znów w moim sercu
naucz mnie w ciszy odnajdywać ciebie
usłyszeć choć jeden twój szept

przypomnij mi jeszcze raz
że miłość jest wszędzie wokół nas
gdy ktoś nieznajomy poprosi o dobroć
będziesz o krok obok mnie

widzisz znów popełniłem błąd
lecz wiem że nigdy nie będę sam
gdy odejdiesz daleko
zostaw mi choć jedną modlitwę do ciebie

Spojrzenie

z każdą chwilą świat jest inny
bo wszystko wokół przemija

przemoknięci deszczem
ukołysani melodią smutnej piosenki

gdy będziemy musieli się już rozstać
proszę cię o ostatnie spojrzenie

zapamiętaj mnie takiego
zanim któregoś dnia znów do mnie powrócisz

pocałuj mnie
nie będę już wiedział co znaczy smutek

teraz gdy jesteśmy
o krok od miłości

pragnę mieć tylko dla siebie
twoje spojrzenie

Anna Polus

Olga Tokarczuk w Bibliotece Norwida – relacja ze spotkania 30 marca 2017 roku

Spotkanie w 2017 roku to nie pierwsza wizyta prozatkorki, eseistki Olgi Tokarczuk w Zielonej Górze. 16 maja 1997 roku autorka gościła w Bibliotece Norwida, gdzie rozmawiała m.in. o *Podróży ludzi Księgi* oraz *Prawieku i innych czasach*. Kolejny raz czytelnicy spotkali się z pisarką 24 kwietnia 2003 roku, ponownie w Bibliotece Norwida oraz na Uniwersytecie Zielonogórskim, a następnie 20 kwietnia 2015 roku w Biurze Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze, gdzie Wojciech Kozłowski rozmawiał m.in. o *Księgach Jakubowych*.

Prowadząca spotkanie 30 marca 2017 prof. dr hab. Anna Szóstak nawiązała do debiutu Olgi Tokarczuk, który łączy się z tzw. pokoleniem barbarzyńców – pokoleniem przełomu 1989 roku. To odniesienie skłoniło prof. Szóstak do zadania pytania o rolę i funkcję literatury – czy współcześnie ma ona jeszcze rolę sprawczą, czy może zmieniać świat. Olga Tokarczuk cały czas mówi o ciągłym cudzie pojawiania się ludzi, którzy pragną się wypowiedzieć głosem literatury w ważnych dla człowieka tematach. Kolejne pokolenia podejmują wyzwanie porozumienia z poprzednikami i okazuje się, że łączą ich wartości, że jest coś, co ich spaja, trzyma i czyni z nich kulturową i językową wspólnotę Polaków. Zdaniem Olgi Tokarczuk kolejne pokolenia młodych twórców dopisują coś nowego, swojego, pozostając w rozpoznawalnym, szczególnym nurcie literatury polskiej, która jest częścią literatury środkowoeuropejskiej, europejskiej i światowej. Literatura w wypowiedziach pisarki jawi się jako szczególny poziom komunikacji – wymyślono ją po to, by móc się porozumiewać dogłębnie, szybko i w wyrafinowany sposób, nie polegając na mediach, zwłaszcza na tzw. nowych mediach. Twórcy literatury w jej opinii tworzą bardzo subtelną, mentalną wspólnotę, a każde pokolenie musi podjąć własne wyzwania. Przedstawiciele pokolenia barbarzyńców pierwotnie odetchnęli z ulgą, że nie muszą zajmować się polityką, że wreszcie mogą pisać o swoich własnych, osobistych, wręcz czasem intymnych doznaniach, że są wolni, nie ma cenzury, nikt im nie powie, jakie tematy i w jaki sposób podejmować. Czas zmian



dawał młodym twórcom „wiatr w żagle”, dawał wiarę, że mogą zmieniać świat. Z takiego nurtu, tego rodzaju wolności wyrosła *Podróż ludzi Księgi*, gdzie pisarka nie zajmowała się Polską ani polską historią czy literaturą, ale tajemnicą słowa pisanego, tajemnicą poznania.

Autorka podkreśla też, że pisanie to trudna profesja, również od strony ekonomicznej. Brak sukcesu, w tym sukcesu ekonomicznego, zmusza do równoległego poszukiwania innych dróg. To tylko krok od rozstania się z tworzeniem. Mówiło się, że pokolenie przełomu to w Polsce bardzo silne głosy kobiece. Powyższa sytuacja dotknęła ich jednak w szczególny sposób. Będąc feministką, Olga Tokarczuk doskonale rozumie ich motywację, z optymizmem dostrzega jednak pozytywne zmiany dotyczące sytuacji kobiet, w tym kobiet piszących.

Wracając do zadań literatury, zdaniem Olgi Tokarczuk – powinna być słyszalna. Literatura bez czytelników po prostu nie istnieje. A dzisiejszy czytelnik, żyjący w nowej rzeczywistości, jest bardzo wymagający. Tak więc przed młodymi pisarzami stają dziś inne zadania niż w czasach debiutu Olgi Tokarczuk. Będąc na targach książki w Londynie, autorka przekonała się jednak, że ludzie urodzeni w latach 70. czy nawet 80. są jej bardzo bliscy, że myślą i zachowują się w podobny sposób, to ludzie wrażliwi, inteligentni, z otwartymi umysłami i szerokimi horyzontami. W jej opinii możemy być spokojni o przyszłość polskiej literatury i polskiego odbiorcę. Bo tematyka książki, by być słyszalną, musi rezonować z myśleniem odbiorcy, budować poczucie wspólnoty – i to jest też główne zadanie literatury.

Prof. Anna Szóstak podkreśliła, że w taki właśnie sposób odbierana jest twórczość Olgi Tokarczuk. Jej książki mają uniwersalne przesłanie i chociaż niekoniecznie dzieją się współcześnie, niekoniecznie w naszym kręgu kulturowym, znajdują tu olbrzymi oddźwięk. Mało tego, nawet po czasie stają się komentarzem do rzeczywistości, jak np. *Prowadź swój pług przez kości umarłych* czy *Księgi Jakubowe*.



Olga Tokarczuk stawia swoich bohaterów w sytuacjach granicznych, przełomowych. W *Księgach Jakubowych* pojawia się postać Jakuba Franka. Prezentowana historia dotyczy czasów przełomu, kiedy ścierają się różne prądy, rozmaite tendencje. Z jednej strony idee oświeceniowe, kult rozumu, racjonalizm, nowoczesne tendencje, które dały fundament współczesnej rzeczywistości, a z drugiej – mesjanizm, ucieczka w ideologię sekciarskie, potrzeba szukania punktu odniesienia w tajemnicy, w transcendencji. Ważnym staje się pytanie, czy człowiek w ciągu wieków się nie zmienia, bohaterowie Tokarczuk udowadniają bowiem, że natura ludzka jest ciągle taka sama. *Księgi Jakubowe* zdają się być traktatem o nas samych. Olga Tokarczuk zgodziła się, że w tym sensie powieść historyczna nie istnieje, nie jest ona bowiem tylko obiektywną, neutralną, naiwną wręcz opowieścią o czasach minionych. Autor żyje współcześnie, mówi współczesnym językiem, ociera się o problemy współczesnego świata, ma współczesną mentalność, dysponuje współczesnym językiem i pojęciami. W jakimś sensie powieść historyczna jest więc pewną projekcją naszego rozumienia współczesnego świata i jego odniesienia do przeszłości. Każda więc powieść historyczna niejako jest powieścią współczesną. Polegamy na swojej wyobraźni i swoim rozumieniu tego, co się zdarzyło. Pisarka podkreśla, że zdała sobie sprawę po napisaniu tej książki, że każde pokolenie powinno próbować opisywać historię w swój własny sposób. Podaje tu przykład książek, w których pojawia się postać kobiety – w powieściach historycznych pisanych na początku XX wieku, np. u Sienkiewicza w jego przedstawieniu historii odbija się XIX-wieczny sposób myślenia o roli kobiety. Jawią się one zwykle jako płaskie postaci, nie ma tam psychologii, kobiety są zwykle tłem i służą stworzeniu sytuacji dla męskich bohaterów. Nie można jednak zarzucić nic nobliście, gdyż takie były czasy, tak myślał on i jego czytelnicy. Dokumenty zaś rzadko wspominają o kobietach. Dziś jednak nasze postrzeganie świata jest zupełnie inne i niemożliwe jest jego zrozumienie bez zrozumienia roli kobiet. W XIX i XX wieku wiele się zmieniło w tym zakresie, dostrzeżono kobiety jako pełnoprawnych obywateli, istoty czujące i myślące, dokonujące wyborów moral-



nych. Pisanie więc o historii wymaga wiele wysiłku, który autorka włożyć musiała w np. *Księgi Jakubowe*, by dotrzeć do figur kobiecych, by je rozbudować, dopowiedzieć, dookreślić, by były dużo bardziej wyraźne.

Prof. Anna Szóstak mówiła o postaci Elżbiety Drużbackiej, która pokazuje, jak trudno było kobietom, jeszcze 200 lat temu, przebić się z własną myślą, własną wizją świata. Kobieta to ornament, własność mężczyzny. W scenie spotkania z Benedyktem Chmielowskim widać skomplikowanie tej postaci i jej próbę wybijania się na samodzielność. W opinii prof. Szóstak również inne bohaterki książek to postaci ciekawe, głębokokie, skomplikowane – od Kłoski i Ruty w *Prawieku i innych czasach* do Janiny Duszejko w *Prowadź swój pług przez kości umarłych*. W męskim świecie ta bohaterka czuje się zepchnięta na margines. Czy kobieta może zmienić świat? Duszejko bardzo tego chciała. Według autorki Janina Duszejko znacząco zmieniła świat. Dzięki powieści i powstałemu na jej podstawie filmowi *Pokot* w reż. Agnieszki Holland Duszejko zaistniała w świadomości widzów i ma twarz Agnieszki Mandat. W jej postaci bardzo często odnajdują się współczesne kobiety i z nią się identyfikują. Bohaterka zwróciła uwagę całego świata, również męskiego, na polowania, kłusownictwo, sytuację zwierząt i moralny problem ich zabijania. Zdaniem autorki Duszejko „oderwała” się trochę od niej, żyje na własnych zasadach, dając Oldze Tokarczuk satysfakcję i zadowolenie, bo niezbyt często pisarzowi zdarza wykreować tak wpływową postać. Odnosząc się do tego, prof. Szóstak podkreśliła, że pojawiają się też komentarze do postaci Duszejko, że reprezentuje feminizm, sprawy kobiece, że to nowomodny wymysł kobiet, by nie jeść mięsa. Widać, niestety, protekcyjność w traktowaniu ekologii, feminizmu, poglądów kobiet – to są w męskim świecie sprawy mało ważne. Olga Tokarczuk dowodzi, że jesteśmy świadkami rewolucji zachodzącej w świadomości ludzi, ekologia jest coraz bardziej dostrzegana, promowana, nie jest tylko tematem wywoływanym przez nawiedzone środowiska i feministki. Ekologia w jej opinii może za 10-20 lat stać się podstawą nowej, szeroko rozumianej polityki, nowych poglądów, nowej świadomości. I film Agnieszki Holland, i postać Janiny Duszejko doskonale wpisały się w dyskusję na temat ekologii, obecności przyrody, zwierząt w naszym życiu. Rozmówczynie potwierdziły, że literatura ma siłę zmieniać świat i go zmienia, zmienia też świadomość ludzi i stawia ważne pytania. Jedynie nasz sposób widzenia, myślenia i rozumienia świata nakłada na nas te ograniczenia, poza które trudno czasem wyjść. Duszejko mówi, że „więzienia są w nas”.

Pierwiastek transcendentny jest obecny w wielu książkach Olgi Tokarczuk. Prof. Szóstak zapytała o tajemnicę, coś niewyrażalnego, coś, co istnieje bez względu na czasy, co dla wszystkich jest istotne, bez względu na światopogląd religijny czy określoną ideologię. Podkreśliła bardzo szerokie odczuwanie świata duchowego widoczne w różnych książkach Olgi Tokarczuk. Interesowało ją, jak autorka rozumie Tajemnicę przez wielkie „t”. Pisarka podkreśla, że nie jest osobą religijną w tradycyjnym znaczeniu, ale jednocześnie nie jest także twardą racjonalistką i osobą pozbawioną wrażliwości. Zauważyła, że kwestie duchowe nie mają jeszcze swojego języka, który mógłby zaistnieć poza naukami teologicznymi i ludzie żyjący poza jakąkolwiek religią nie potrafili dla siebie znaleźć sposobu wyrażania „tego czegoś”: może to jest popęd, może bardzo silna potrzeba człowieka, żeby eskalować sferę pozamaterialną, spoza świata widzialnego. W swoich książkach pisarka, jak sama mówi, podejmuje laicką próbę wyjścia poza kanon terminologii religijnych, pokazuje, że duchowość może być przeżywana w inny sposób i chciałaby, żeby wykształcił się właściwy język dla ludzi czujących podobnie jak ona sama. Ludziom potrzeba duchowości, ma ona wpływ na nasze życie codzienne, choćby kwestię traktowania zwierząt i ekologii. Z jednej strony, mamy biblijne sformułowanie i nakaz „czynienia ziemi poddaną” rozumiany beztrosko, gdzie człowiek jest panem wszystkiego, a inne istnienia pozostają z boku; oczywiście jest buddyzm, który szanuje wszystkie formy bytu, i hinduizm ze zwierzętami, które są otoczone czcią. Z drugiej strony, jest w ludziach pewna bariera, którą książki O. Tokarczuk próbują przełamywać czy rozbić. „Więzienia są w nas”...

Prof. Szóstak skłoniła pisarkę także do rozmowy o starości, zwłaszcza o starzejących się kobietach, które nie będąc już obiektami seksualnymi, stają się przezroczyste, niewidoczne. Książki Olgi Tokarczuk poka-

zują, że można ten skostniały sposób postrzegania starości kobiety zmienić. Autorka wspomniała o mniej znanej swojej książce *Ostatnie historie*, którą pisała w trudnym okresie swojego życia, z perspektywy lat być może depresyjnym, melancholijnym, kiedy myślała o śmierci. Jej bohaterka musiała stanąć twarzą w twarz ze śmiercią: cudzą, swoją własną. W tradycyjnej, klasycznej literaturze, zdaniem pisarki, kobiety nie zadają sobie pytań filozoficznych, nie dokonują wyborów moralnych, przedstawiane są jako ofiary, żyją w sferze obyczajowej, walczą z emocjami albo żyją w emocjach. Ta bohaterka budowana była jako podmiot filozoficzny, sama autorka nie jest pewna, na ile jej się to udało, ale podkreśliła, że w literaturze, nie tylko polskiej, trudno znaleźć bohaterkę-filozofkę, rozważającą zagadnienia ważne dla wszystkich, bez względu na płeć. Książka ta nie była najlepiej przyjęta przez krytykę, jej ocena rozminęła się z zamiarem autorki, była określana mianem sagi, pomijając najważniejszy wątek bohaterki-filozofki. Wychodząc z tego niepowodzenia Olga Tokarczuk wymyśliła Janinę Duszejko, która jest już bezkompromisowa, na granicy szaleństwa, nie boi się, że zostanie uznana za wariatkę. W trudnych tematach, niedających się uchwycić w tradycyjny sposób, trzeba zdaniem pisarki tworzyć takie postaci, które wykraczają poza pewne ramy czy jawią się jako szalone. Dopiero wtedy zostają zauważone. Duszejko walczy do końca, pojawia się gniew, zaczerpnięty z pism mistycznych Wiliama Blake'a – co podkreśliła prof. Szóstak, Gniew pisany wielką literą, który ma moc sprawczą. Moc zmieniania rzeczywistości nadaje Duszejko inny rys, usuwa ją poza wszelkie szufladki czy np. literaturę feministyczną.

„Prawa kobiet to są prawa człowieka”, mówi prof. Szóstak. I pyta pisarkę jak to jest z literaturą pisaną przez kobiety, z bohaterkami kobiecymi. Olga Tokarczuk sama siebie określa ni pisarką, ni pisarzem, tylko kimś, kto pisze książki, bez rozróżnienia na płeć. Rozróżnianie powoduje niestety wartościowanie lub zmaganie z czymś obcym, zaszufładowanym. Mówi, że jej własna mentalność pisarska nie ma płci, bo płeć biologiczna czy kulturowa jest czymś zewnętrznym. Istota ludzka jest bezpłciowa, dwupłciowa lub może



nawet więcej... W procesie pisania Olga Tokarczuk nie pamięta, że jest kobietą, nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, a postaci kobiece buduje z poczucia sprawiedliwości. Chciałaby, by w literaturze było tyle samo mocnych, zdecydowanych postaci kobiecych, co mężczyzn. Chodzi więc w pewnym sensie o sprawiedliwość, jak sama żartobliwie dodaje.

Podtrzymując dalej wątek postaci kobiet w historii świata, Olga Tokarczuk mówiła o książce *Anna In w grobowcach świata* – powieści mitologicznej o bogini Inannie, która rzuca rękawicę śmierci i schodzi do piekła. Kapłanka Enheduanna zapisała historię swojej pani, którą czciła i której ołtarza pilnowała, wyrażając w tej opowieści niezwykle emocjonalny stosunek do bogini. To jedna z pierwszych powieści wymyślonych przez ludzkość, pochodząca z czasów sumeryjskich, sprzed około czterech tysięcy lat. W dodatku napisana przez kobietę, która pierwszy raz w historii świata podpisała się swoim imieniem jako autorka tekstu. Było to dla Olgi Tokarczuk niezwykle poruszające odkrycie i chciałaby, by zarówno literaturoznawcy, biblioteki i czytelnicy pamiętali, że literaturę pisaną przez konkretną osobę, znaną i podpisaną z imienia i nazwiska, zainicjowała kobieta. Czytane współcześnie utwory poetyckie Enheduanny okazują się także ponadczasowe i aktualne. To kolejny dowód na to, że ludzie w przeszłości podobnie odczuwali emocje i w podobny sposób pragnęli je wyrażać. W tym miejscu Olga Tokarczuk powraca także do aktualności postaci Jakuba Franka. Ludzie mu współcześni, zaledwie 250 lat temu, też byli tacy jak my, może trochę wolniejsi w pewnych sprawach, trochę bardziej ograniczeni w innych, ale ich istota była niezwykle podobna. I w tym sensie jest to niezwykle, niebywałe, że na przestrzeni tysiącleci ludzie czują, przeżywają i wyrażają emocje podobnie, i – według Olgi Tokarczuk – jest to największe odkrycie ludzkości.

Książka *Anna In...* została wydana w serii „Mity” i – zdaniem prof. A. Szóstak – wpisana tym samym w krąg literatury, która jest odwieczna, jak mit jest uniwersalnym sposobem widzenia świata, pokazuje naturę ludzką niezależnie od miejsca, czasu. To napięcie między *logos* i *mythos*, między racjonalnym postrzeżeniem



niem świata a duchowością, napięcie, które pojawia się na styku góra – dół, na granicy rozmaitych sprzeczności, które opisują ludzką naturę, znajdujemy także w postaci Jakuba Franka. Jego historia jest w pewnym sensie psychoanalizą ludzkiej natury i jej różnorodności. W tle pozostaje postać niemniej istotnego bohatera Benedykta Chmielowskiego, a zaczęło się od *Nowych Aten* tegoż autora...

Olga Tokarczuk wskazała dwie książki, które fascynowały ją od połowy lat 90., może nawet wcześniej: tomik poezji Jamesa Elliota i wydanie *Nowych Aten* ks. Benedykta Chmielowskiego z 1968 roku, opracowane, skrócone, pozbawione latynizmów z oryginału. Pisarka uważa tę książkę za niedocenione dzieło polskiego baroku i, jej zdaniem, choćby we fragmentach, powinna być omawiana pośród lektur w liceum. Urzeka ją forma wykształcona w Polsce tamtych czasów: *silva rerum* – las rzeczy, księga tworzona w każdym szlacheckim domu (domy chłopskie były z reguły niepiśmienne), w której domownicy zapisywali różne istotne dla domu sprawy: ważne wydarzenia, przepisy, fragmenty kazań, anegdoty, wierszyki, historie rodzinne, składała się więc z różnych fragmentów, tworząc unikalną całość. Sama autorka mówi, że poczynawszy od *Domu dziennego, domu nocnego*, który też jest w pewnym sensie *silva rerum*, tę odziedziczoną po przodkach fascynację „lasem rzeczy” w jej twórczości widać. Na marginesie dodaje, że jeżdżąc za granicę, chwali się i mówi często o wykształconym w sarmackiej Polsce *silva rerum* i zawsze wzbudza tym zainteresowanie słuchaczy. U księdza Chmielowskiego też znajdujemy taką dziwną mieszaninę treści, zawierającą znalezione w innych księgach mądrości, cytaty, jego własne przemyślenia, podstawowe zasady wiedzy o świecie, przyrodzie, geografii, duchowości. Zawierając źródłom historycznym, najdłuższa podróż ks. Benedykta Chmielowskiego to podróż do Warszawy; żył w Firlejowie (teren dzisiejszej Ukrainy) i wszystko, o czym pisał, było zaczerpnięte z innych ksiąg. W tym samym czasie w Paryżu encyklopedyści pracowali nad encyklopedią, duch oświecenia unosił się nad Europą. Polska, pozostając bardziej w związkach ze wschodem, Turcją, Orientem, innymi drogami dochodziła do swojego oświecenia. W pewnym sensie jednak ks. Chmielowski był autorem oświeceniowym, można go nazwać swoistym „encyklopedystą”: jego *Nowe Ateny* są almanachem, rodzajem encyklopedii. Mierzył się z chaosem, który go otaczał, chcąc uporządkować wiele tematów niemożliwych do uporządkowania przy użyciu jego narzędzi. Nie godził się z wprowadzanym na zachód porządkiem alfabetycznym, nazywając go „obiecadłem” i sam klasyfikował tematy w grupy wiążące się ze sobą. Był skazany tym samym na niepowodzenie, utrwalając się niesprawiedliwie w pamięci współczesnych i potomnych jako postać żałosna, odległa od oświeceniowej Europy. Olga Tokarczuk broni Chmielowskiego, piszącego w swoim porządku i zakorzenionego w innej tradycji, ale z którym autorka bardzo się identyfikuje i który ją wzrusza. Chcąc ocalić pamięć o nim, przypomniała ks. Chmielowskiego, który pomimo niepowodzeń nie poddawał się, doskonalił swoje dzieło i aktualizując je. Na szczęście dziś badacze inaczej odczytują jego dzieło, nie jest to już jedynie przykład obskurantyzmu tamtego czasu. Ich zdaniem *Nowe Ateny* nie odstają od innych powstających wtedy tekstów i nie są całkowicie oderwane od ówczesnego, prawdziwego obrazu rzeczywistości. Więc nie tylko „koń, jaki jest, każdy widzi”...

Historię świata utrwała się poprzez wojny, zawarte pokoje, mordy i inne straszne rzeczy, nie poprzez indywidualne historie poszczególnych osób. Powinniśmy odczarować polską historię od myślenia jedynie faktograficznego, wojennego, martyrologicznego. Jest to niestety charakterystyczne dla szkolnych podręczników historii. Olga Tokarczuk dodaje, że przygotowując się do pisania *Ksiąg Jakubowych*, wspólnie z mężem robiła poważny research, jeżdżąc po Ukrainie i poszukując realnych miejsc i pamiątek po Chmielowskim, niestety, niewiele ich odnaleźli. Wieś Firlejów to dziś łypiwka, z ruinami plebanii ks. Chmielowskiego i współcześnie odnowionym kościołem. Są tam też pozostałości ogródka, w którym prawdopodobnie budował swoje lapidarium. Jest to miejsce, gdzie można pomedytować i poczuć ducha polskiego encyklopedysty.

Według prof. Szóstak *Księgi Jakubowe* właśnie w ten sposób mierzą się z historią i jej bohaterami, pokazując prawdziwe życie. Jej zdaniem książkę, pomimo sporej objętości, da się jej zdaniem czytać jednym tchem. Olga Tokarczuk pointuje jednak żartobliwie, że „ludzie się męczą też”.

Prof. Szóstak zwraca uwagę na typowe dla twórczości Olgi Tokarczuk kobiece spojrzenie: dostrzeganie szczegółów, drobiazgów, obyczajowości. Przekłada się ono na żywe postaci i prawdziwy obraz epoki. Literatura tworzona przez Olę Tokarczuk przenosi nas w czasie, a jej historie dają nam sporo do myślenia o nas samych i o współczesności. I w ten sposób prof. Anna Szóstak podziękowała Oldze Tokarczuk za rozmowę, umożliwiając zadawanie pytań publiczności. Jeden z gości mówił o wielowymiarowości twórczości Olgi Tokarczuk, o tym że jej książki nie są płaskie, dwu-, ale nawet nie trójwymiarowe, ale są na tyle wielowymiarowe, że czasoprzestrzenne.

Pytano też, jak autorka *Prowadź swój pług przez kości umarłych* odbiera film *Pokot*. Olga Tokarczuk odpowiedziała, że książka powstała osiem lat, a wymyślona została dziewięć lat temu. Po jej ukazaniu wiele mówiło się, że jest to doskonały materiał na film, autorka spodziewała się więc prostego przełożenia tekstu literackiego na język filmowy. Pisząc pierwszą wersję scenariusza, przepisała książkę na sceny, ale jako że książka jest pisana w pierwszej osobie, nie było w nim słychać myśli głównej bohaterki. Potrzebny był głos z off-u, z dopowiedzeniami i odpowiednim komentarzem, ale film wtedy robi się nudny i przegadany. Trzeba było napisać scenariusz jeszcze raz, jako tekst widziany okiem trzeciej osoby, okiem narratora, który opowiada historię Janiny Duszejko bez niej samej. Autorka napisała scenariusz jeszcze raz, z wykorzystaniem języka filmowego, bazując na scenach, relacjach między bohaterami, z punktem kulminacyjnym, z postaciami przechodzącymi jakąś przemianę, gdzie pojawia się tajemnica, a potem jej rozwiązanie, jako że jest jednak thriller czy kryminał. Zaczęła nawet żałować, że się tej pracy podjęła. Z Agnieszką Holland prowadziły bardzo wiele rozmów, czasem burzliwie się spierały, więc było ostro i emocjonalnie. Miały też różne pomysły na postacie i ich losy, na to, co wyprawia Janina Duszejko. Ostatecznie reżyserka wniosła do filmu wiele nowego. Jest to dostrzegane przez tych, którzy zarówno czytali książkę, jak i widzieli film. Przeniesiony jest punkt całej opowieści, bo nie słyszymy Duszejko, jej dziwacznych historii, specyficznego języka, a widzimy ją w działaniu. Istota, sens, znaczenie tej opowieści zostały jednakże zachowane.

Z największym wzruszeniem pisarka przyjęła ucieleśnione przez aktorów wymyślone przez nią postaci z książki, a Matoga ma już w jej świadomości twarz Wiktora Zborowskiego. Aktor „zagarnął” postać na tyle, że nie istnieje już wersja literacka. Również Agnieszka Mandat „zagarnęła” Janinę Duszejko i nadała jej zupełnie inny rytm.

Film jest ogromną produkcją zbiorową, zhierarchizowaną, wymaga ogromnych pieniędzy, Olga Tokarczuk jest więc wdzięczna losowi, że jako pisarz, pracując w samotności, potrzebuje tylko biurka i komputera. Z powodu zmęczenia i wyczerpania nie dała rady uczestniczyć we wszystkich rozmowach i spotkaniach z publicznością, w tej chwili robi to tylko Agnieszka Holland. Po tygodniu odsypiania, wzmocnieniu witaminami, powróciła do stukania w klawiaturę komputera, będąc pewną, że to jest jej zadanie. Olga Tokarczuk mówi, że podziwia reżyserkę, bo jest nie tylko niezwykle wrażliwą twórczynią, ale też sprawną organizatorką i charyzmatyczną postacią, zaangażowaną w polskie tu i teraz, udziela się politycznie i jest w tym wyraźna i przekonująca. Bardzo pisarce imponuje, ale – jak mówi – nie jest w stanie doścignąć reżyserki w jej energii.

Pisanie to zdaniem Olgi Tokarczuk chyba najbardziej samotny zawód świata. Sześć, osiem lat pracy nad *Księgami Jakubowymi*, kiedy w trakcie pracy nie można się podzielić do końca tym, co się robi, nawet z mężem, któremu da się zaledwie opowiedzieć pojedynczą historię, ale nie to, jak do niej dochodzi, o czym myśli. Pisarzowi towarzyszy w procesie twórczym dojmujące poczucie samotności. Po każdej książce Olga Tokarczuk ma poczucie, że zużyła cały zapas wyobrażeń, a nawet słów, kiedy problemem staje się napisanie maila, bo w środku czuje się pusta. Po *Księgach Jakubowych* to poczucie trwało dwa lata, obracała się wtedy cały czas w drugiej połowie XVIII wieku, w kulturze żydowskiej i dopiero pięć miesięcy temu poczuła, że ta książka od niej „odpadła”, w głowie pojawiła się nowa myśl, którą zaczęła pielęgnować.

Uczestnicy zapytali o dialog wewnętrzny, który autor prowadzi ze sobą. W przypadku Olgi Tokarczuk to nie ona, a postaci ze sobą rozmawiają i mówią czasem zaskakujące rzeczy, z którymi nie do końca się

ona zgadza. Nie zawsze kwestie, monologi, przemyślenia artykułowane przez nie są opiniami samej autorki. Po raz pierwszy spotkała się z tym, jak mówi, w *Prawieku...* lub *Domu dziennym, domu nocnym*: postaci zaczęły żyć własnym życiem, na szczęście, będąc narratorką, autorka nad tym zapanowuje i próbuje zaprowadzić wśród nich porządek. Kiedy książka jest pisana w pierwszej osobie, sytuacja jest jeszcze trudniejsza, wtedy czytelnik utożsamia w prosty sposób tę osobę z autorem. Jest to jednak dobry znak dla autora i oczywisty dowód, jak bardzo czytelnik dał się wciągnąć autorowi i dał mu się oszukać.

Padło też pytanie o techniki pisarskie, jak wiele autorka poprawia, czy są fragmenty, które nie wchodzi do książek. Olga Tokarczuk w erze pisania komputerowego nie zawsze zachowuje usunięte fragmenty, poprawki nanosi bowiem na żywym tekście. Pisze szybko, zanurzając się całkowicie w proces pisarski, nie przykładając wagi do pięknych zdań. Ta pierwsza wersja jest potem poprawiana, jeszcze raz poprawiana i po tym procesie tekst trafia do męża autorki, który jest polonistą i pierwszym redaktorem. Jego uwagi są omawiane wspólnie, następnie tekst idzie do wydawnictwa, gdzie pracują nad nim jedna lub dwie redaktorki. *Księgi Jakubowe* trafiły do bardzo wymagającej, zasadniczej pierwszej redaktorki, która nie dostrzegła, że to tekst pisany w natchnieniu, uniesieniu. Panie prowadziły bardzo ożywioną korespondencję na marginesach tekstu. Olga Tokarczuk nie traktuje języka jako ornamentu, traktuje go raczej jako narzędzia do wyrażenia nastroju, klimatu, obrazu, specjalnie się nad nim nie skupia, ale jednocześnie daje się czasem ponieść poezji, metaforze, pewnym skojarzeniom. Niektóre z nich zostają w tekście do końca, a niektóre znikają po drugim czy trzecim czytaniu. Wydawnictwo Literackie wybrało bardzo dobrych konsultantów naukowych do pracy nad *Księgami Jakubowymi* i najlepszego w Polsce astrologa do *Prowadź swój pługi przez kości umarłych*. Wtedy wyłapywane są błędy i pomyłki. Czasami to błędy merytoryczne istotne, które mogłyby okazać się dla autorki wstydlive. Podczas przekładania książki, kolejne błędy wyłapują tłumacze. Okazują się bardziej od redaktorów dociekliwi: czasem to błąd w chronologii czy nazewnictwie. Być może w jednym z kolejnych wydań te poprawki ujrzą światło dzienne.

Na zakończenie spotkania jedna z uczestniczek, mówiąc o lekturze *Prawieku...*, cytowała nauczycielkę, która określiła Tokarczuk jako osobę wszechwiedzącą, jakby była starym człowiekiem. Autorka odniosła się do tego, mówiąc o ówczesnej potrzebie kompensacji, tzn. udowodnienia sobie samej wiarygodności, bycia pewną siebie osobą, która wie, co mówi. Tak chciała być odebrana, chociaż, jak mówi, czuła się wtedy niepewnie. Książka była próbą stworzenia małego, kieleckiego, śródkowopolskiego mitu, opowiadającego o jednej rodzinie, ale niosącego treści bardziej uniwersalne. Dała autorce poczucie, że rozwijając jeden ślad, można odrywać się od faktów i dopowiadać je, używając wyobraźni. Widać to także później w *Księgach Jakubowych*, gdzie fakty są uzupełniane, dopowiadane historiami nieprawdopodobnymi, zmyślonymi. Chodzi o to, by ani czytelnik, ani krytyk nie spostrzegł, gdzie są te szwy.



Twórcą, którego Olga Tokarczuk podziwia i który jej imponuje, jest reżyser filmowy Stanley Kubrick, który zrealizował kilkanaście zupełnie różnych filmów. W każdym z nich czuć jego rękę – czy to w obrazie science fiction *Odyseja 2001*, czy historycznym *Barry Lyndon*, kryminale czy komedii. W każdym z tych obrazów świetnie się odnalazł. Olga Tokarczuk też nie chce być skazana na jeden temat, gatunek, nie chce być pisarką jednej książki i ma potrzebę zmiany kierunku po każdej ze swoich książek.

Wśród współczesnych inspiracji Olgi Tokarczuk jest czeski pisarz młodego pokolenia, autor opowiadań Marek Šindelka – nominowany w 2017 roku do Nagrody Angelusa. Autor w jej opinii jest bardzo środkowo-europejski, pisze z pewnego rodzaju wrażliwością, jak to u Kafki czy u Brunona Schulza.

Prowadząc dalej rozważania o literaturze, Olga Tokarczuk stwierdza, że młodym ludziom łatwiej poruszać się w gatunkach i dziś literatura rozwija się w kierunku powieści gatunkowych. Wiele złego, jej zdaniem, wyrządziła literatura modernistyczna, niejednoznaczna, chaotyczna, która eksperymentowała. Ludzie tym samym tracili zaufanie do tekstu literackiego, przenosząc się do filmu, gier komputerowych, do zwartych, prostych narracji, a dziś właśnie szukają przeżyć literackich w powieściach gatunkowych. Jakkolwiek nie ma w tym nic złego, jej zdaniem trzeba dokładać starań, by powieści gatunkowe było po prostu dobre.

Padło pytanie o opowiadania, o potrzebę ich pisania, o to, czy pisanie porządkuje świat Olgi Tokarczuk, o pewne ich uniwersum. Pisarka potwierdza, bo każda książka daje poczucie wypełnienia zadania, bo to właśnie pociągają ją do pisania. Jej zdaniem powieści są dla medytacji, a opowiadania dla oświecenia. Pomyśły na opowiadania przynoszą drobne ślady, które autorka napotyka i rozwija, przerabia poznawczo. W literaturze i jej oddziaływaniu nie chodzi tylko o wiedzę, ale o to, jak dopasujemy to, czego się z niej dowiedzieliśmy, do naszego poznania świata. Olga Tokarczuk potwierdza, że po wszystkich swoich książkach ma bardziej sensowną wizję świata niż przedtem, nie tylko na poziomie wiedzy, ale sensu właśnie. Wierzy, że to samo dzieje się również z czytelnikiem. Dobry tekst literacki zawsze nas zmienia.

O tłumaczeniach dzieł Olgi Tokarczuk opowiada prezentowana z okazji jej wizyty wystawa „Olga Tokarczuk na świecie. Przekłady. Odgłosy prasy. Fotografie”. Przez cały marzec 2017 były na niej prezentowane zarówno materiały ze zbiorów prywatnych autorki: książki, recenzje, fotografie, jak i obcojęzyczne wydania ponad 100 książek, tłumaczonych na tak egzotyczne, orientalne języki jak chiński, japoński, hindi. Część ekspozycji znalazła się w centrum miasta, na zielonogórskim deptaku, część zaś prezentowana była w Bibliotece. Autorka uczestniczyła w finisażu, przechadzając się z organizatorami po miejskim deptaku.

* * *

Z pewnością zielonogórskie spotkanie z Olgą Tokarczuk 30 marca 2017 czytelnicy już zawsze będą wspominać jako ostatnie w tym mieście przed uhonorowaniem pisarki Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury za 2018 rok. Dwukrotna laureatka Nagrody Literackiej „Nike”, za powieść *Bieguni* w 2008 roku i *Księgi Jakubowe* w 2015, dołączyła do grona polskich noblistów: Henryka Sienkiewicza (1905), Władysława Reymonta (1924) oraz poetów Czesława Miłosza (1980) i Wisławy Szymborskiej (1996).

Halo, tu przedmiot badań. Over?*

Szanowna Pani Kamilo, chciałbym parę zdań, subiektywnych, ale być może uzupełniających informacje zawarte w wywiadzie, jakiego udzieliła pani w „Pro Libris” (nr 1-2 z 2019, *Ziemia Lubuska pod lupą literaturoznawców*) panu Dariuszowi Świdkiewiczowi. Chodzą mi o początki Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną powstałej, jak czytam, w lutym 2010 roku. Wtrącam się do tego tematu również dlatego, żeby przywołać hasło: Związek Literatów Polskich, oddział w Zielonej Górze, który pewną rolę w tej sprawie odegrał, a w wywiadzie, jak czytam, o nim cicho.

A było tak. Dawno, dawno temu, a dokładniej to 23 lata temu (w 1996 roku), zostałem wybrany przez kolegów prezesem oddziału ZLP. Jakiś czas potem, w „poczuciu misji”, odwiedziłem ówczesnego dyrektora Instytutu Filologii Polskiej (UZ, a może jeszcze WSP?) prof. Jerzego Brzezińskiego, proponując mu współpracę środowiska literackiego regionu z naukowcami, szczególnie filologami. Jednak efekt tego spotkania był mizerny, czyli do niczego nie doszło. Minęło parę lat, dowiedziałem się, że zmienił się dyrektor Instytutu, którym został prof. Leszek Jazownik.

Nów w „poczuciu misji” udałem do niego na rozmowę. Przedstawiłem swoje żelazne, powtarzalne tezy. Że warto, aby studenci, doktoranci, badali literatów i literaturę lubuską, zamiast pisać 756. w skali kraju, wtórną zazwyczaj, pracę na temat Herberta, Miłosza i innych wielkich. Bo o tych raczej mało odkrywczych pracach nikt nigdy się nie dowie i nie zatrzyma na nich oka, ale za to napisanie doktoratu z Koniusza, Warszawskiego, Morawskiego, nie mówiąc o Waśkiewicz, może Papuszy, na pewno zostanie zauważone w Zielonej Górze i Gorzowie. I tutaj będzie to wydarzenie. Lecz co najważniejsze, taka praca przyczyni się do uzupełnienia, istotnego z perspektywy regionalnej, opisu i interpretacji roli literatury lubuskiej. I tego rodzaju praca na pewno tu zostanie i będzie w przyszłości, wraz z autorem i przedmiotem badań, często przywoływana.

Rozmowa z prof. Jazownikiem była na tyle dobrze rokująca, że szybko umówiliśmy się na kolejne spotkanie, już w poszerzonym składzie. Ze strony ZLP wystąpił cały zarząd oddziału zielonogórskiego, natomiast dyrektor IFP zaprosił kierownictwo Instytutu. Wnioskuje na podstawie informacji z wywiadu, że musiało to być w lutym 2010 roku. Prof. Jazownik poparł mój (nasz) punkt widzenia na temat badania literatury Środkowego Nadodrza. Mało tego, niesamowicie pozytywnie zaskoczył nas, literatów przybyłych wtedy na uniwersytet, ogłoszeniem decyzji, iż właśnie powołał do życia Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną pod kierunkiem wówczas chyba jeszcze dr hab. Małgorzaty Mikołajczak. Obecnej wówczas, jeśli mnie pamięć nie myli, na tym spotkaniu. To było więcej, niż się wtedy spodziewaliśmy.

* Tekst jest reakcją na wywiad z dr Kamilą Giebą zamieszczony w numerze 1-2 (66-67)/2019 „Pro Libris” pt. *Ziemia Lubuska pod lupą literaturoznawców*.

I tak się zaczęło. Pracownia działała i działa, i spełniła dobrze swoją rolę, co dr Kamila Gieba dokładnie wypunktowała w wywiadzie. Wyszyły książki, odbyły się sesje, były inicjatywy, tylko gdzieś tam znów zawieruszył się Związek Literatów Polskich. Na przykład w serii uniwersyteckiej „Historia Literatury Pogranicza” ukazała się praca Andrzeja K. Waśkiewicza pt. *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012* przy współudziale oddziału ZLP. Już nie mówię, że pod moją redakcją, ale chcę podkreślić, iż wspólnie z prof. Mikołajczak i prezesem stowarzyszenia „Winnica” Ryszardem Błazyńskim antyszambrowaliśmy u prezydenta Janusza Kubickiego w kwestii wsparcia finansowego na to dzieło. Podobnie gdzieś umyka informacja, że w 2011 roku z okazji 50-lecia oddziału ZLP odbyła się duża konferencja naukowa w Bibliotece Norwida z udziałem młodych naukowców UZ, jak i uczestników naszego jubileuszu, zakończona drukiem ważnej książki. Pani dr Kamila Gieba wymienia wprawdzie to wydarzenie, ale widzi tylko UZ i Norwida jako organizatorów. Jednak „dziwnym trafem” konferencja odbyła się przecież w tym samym Norwidzie, gdzie świętowaliśmy nasze 50-lecie i w tych samych dniach co jubileusz. Przypadek?! Przecież to właśnie półwiecze Związku zainspirowało tę konferencję. Ostatnio zaś (w grudniu 2018 roku) wspólnie organizowaliśmy, czyli ZLP i środowisko UZ, w Bibliotece UZ, debatę o lubuskim środowisku literackim. Zatem to i owo było podejmowane wspólnie i warto tę współpracę zauważać, jeśli już nie da się uwypuklić. Liczę też, że to współdziałanie (prawie 10-letnie) będzie kontynuowane.

Piszę o tym, może za szczegółowo i zapewne subiektywnie (ale na plus zapisuję sobie, że pamięć mam jeszcze dobrą), żeby te detale zostały wydrukowane, a tym samym utrwalone. Bo o to mi szło jakieś 15 lub 20 lat temu, gdy podejmowałem próby „wciśnięcia” filologom-badaczom zainteresowania pisarstwem powstającym na Ziemi Lubuskiej. Żeby się nie oderwali za bardzo od przedmiotu badań.



Bob Dylan i Jerzy Jarniewicz

27 czerwca 2019 w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze gościł prof. Jerzy Jarniewicz, nauczyciel akademicki, tłumacz, poeta, krytyk literacki, eseista. W krótkim wstępie przedstawiła go Agnieszka Ginko-Humphries, koordynatorka Biblioteki Obcojęzycznej.

Rozmawialiśmy m.in. o inspiracjach tekstów Boba Dylana (to Biblia i twórczość wybitnych światowych poetów, jak Rimbaud, Blake, Whitman) oraz o translatorskich „tropach” i pułapkach (w Polsce jego poezję tłumaczył Filip Łobodziński). „Dylan to kontynent języka, literatury i kultury”, tłumaczył nam Jerzy Jarniewicz, wskazując na bogate konteksty poezji Dylana. Geniusz amerykańskiego noblisty polega przede wszystkim na tym, że jego poezja w wybitny sposób przełamuje ograniczenia języka opisującego doświadczenia człowieka i otaczającą go rzeczywistość. Nawiązuje także do najstarszych korzeni literatury, która na początku dziejów ludzkości była sztuką mówioną. „Nie ma takiego kryterium literackości, którego Dylan by nie spełniał”, pisał Jerzy Jarniewicz o amerykańskim nobliście w tomie esejów *Tłumacz między innymi*, a podczas spotkania przekonująco i ze swadą tę tezę rozwinął.



Przenieśliśmy się także o około 50 lat wstecz – do świata kontrkultury i rewolty lat 60. XX wieku, której częścią był Bob Dylan, choć jednocześnie (jak zawsze zresztą) stanowił zjawisko osobne i niepowtarzalne. Atmosfera tamtych czasów świetnie została opisana przez moją rozmówcę w książkach *All You Need is Love* (Wyd. Znak, 2016) oraz *Bunt wizjonerów* (Wyd. Znak, 2019).

Przedmiotem naszej rozmowy był także wspomniany wcześniej tom esejów Jerzego Jarniewicza *Tłumacz między innymi* (Wyd. Ossolineum, 2018). Książka ta została w tym roku nominowana do Nagrody Literackiej „Nike” (to już drugie takie wyróżnienie dla autora – poprzednią nominację zdobył w 2008 za książkę *Znaki firmowe. Szkice o współczesnej prozie amerykańskiej i kanadyjskiej* opublikowaną przez Wyd. Literackie). Autor zawarł tu jeśli nie całość, to z pewnością znakomitą większość elementów składających się na fenomen przekładu: osobowość tłumacza, jego sposób widzenia tłumaczonego utworu, problemy warsztatowe, odpowiedzialność i etykę tłumacza. Słuchacze mogli się dowiedzieć, dlaczego tłumaczenie nigdy nie ma końca (zawsze jest czymś otwartym, nie jest ostateczne) i jak to jest, że tłumacze podejmują kolejne próby tłumaczeń utworów, które były już wielokrotnie przekładane. Znakomitym potwierdzeniem tego jest utwór Lewisa Carolla, który ma już kilkanaście polskich tłumaczeń, znany większości z nas jako *Alicja w krainie czarów*. I oto właśnie ukazało się kolejne, autorstwa Grzegorza Wasowskiego ze zmienionym tytułem: *Perypetie Alicji na Czarytorium*.

Zajmowanie się sztuką przekładu wspiera pisanie wierszy, pisanie wierszy pomaga przekładowi. Podczas spotkania poznaliśmy także Jerzego Jarniewicza jako poetę. Jako moderatorka pytałam m.in. o tajniki warsztatowe – jak powstają jego utwory: czy wiersz „się pisze”, a autor podąża za językiem, obrazem, skojarzeniem, czy może jest jakoś inaczej? A później mieliśmy okazję posłuchać kilku wierszy czytanych przez autora. Pochodziły ze zbiorów *Sankcje* oraz *Puste noce* (Biuro Literackie, 2017) – tomu wyróżnionego w 2018 roku Wrocławską Nagrodą Poetycką w kategorii Książka Roku.

Spotkanie zorganizowała Biblioteka Obcojęzyczna w Zielonej Górze, w ramach akcji „Ameryka w Twojej bibliotece”.



Puste noce

Ćśś, ćśś, maleńka, noc taka pusta,
Kupię ci na wiatr jedwabną chustę,

A jeśli chustę wiatr zerwie z głowy,
Kupię ci sweter przeciwwiatrowy,

A jeśli spruje, porwie się sweter,
Kupię ci z dyni złotej karetę,

A jeśli koń za karetą się potknie,
Kupię ci gwiazdy w mroku za oknem,

A jeśli gwiazdy spadną strudzone,
Dam ci z ich pyłu srebrny pierścioneć,

Jeśli pierścioneć pokryje rdza,
Zostaną z nami krew, pot i łza.

Puste noce (Biuro Literackie, 2017)

Prosty wiersz o miłości

Zrzuciliśmy ubrania
i zaczęliśmy się kochać tak rewolucyjnie,
że zadrżał gmach banku narodowego,
sięgnął dna indeks giełdowy,
a maklerzy zawyli z ognia, który trawił im
trzewia i portfele.
Wtargnęliśmy w siebie do szczytu, aż runęły mury
przepełnionych zakładów poprawczych,
i wyszli mściciele z kijami do bejsbola, i poszli
pod ministerstwo spokoju wewnętrznego.
Rozpierzchły się szturmowe bataliony policji,
gubiąc po drodze tarcze, kaski i notesy,
zostały po nich tylko czarne polonezy.
Dosiadłaś mnie tak wyzywająco, że inwestorzy
zaczęli w panice pakować walizki,
i wracali do domów tanimi liniami,
wywożąc naprędce oleje Sasnała,
cały dorobek swojej nadwiślańskiej misji
(dziesięciokrotne przebicie w cenie
w ciągu pięciu lat).
Połykałem cię jak anarchista, aż w gruzach legły
gotyckie galerie Tesco i Carrefouru,
roztopiły się w ścianach pancerne bankomaty
PKO BP, Pekao SA,
Lukas Banku, Citi Banku, Amerbanku,
Millenium, Śląskiego, WBK, Alioru,
Inteligo, Deutsche Banku, BPH,
Multi Banku, Fortis Banku, ING i Pocztowego.
Kocham cię – nasze nagie ciała krążą po Europie
jak nieopierzony, niewinny komunizm.

Drzwi zamyka kto ostatni

Kiedy kilka lat po śmierci matki
zobaczyłem u ojca, który też nie żyje,
inną kobietę, nie mogłem mu tego wybaczyć.
Mimo że sypiałem w tym czasie
z trzema równocześnie. Jedną
zabiłem we śnie, drugą sprzedałem na targu
niewolników w Stambule, trzecią zamieniłem
w słup soli. Ta, co przyszła po nich,
była Szeherezadą. Wymyślając baśnie,
wymyślała siebie. Kiedy sułtan
poprosił ją wreszcie o rękę,
poderżnęła mi gardło nożykiem
do papieru. Nie mam jej tego za złe, bo
dobrze wiem, do czego prowadzą opowieści
o latającym dywanie. Ojcu mam za złe, że
wpuścił obcą do kuchni, w której
z matką, gdy żyła, lepiliśmy pierogi.

Tweet

Czytam wpis Ogórek i liczę w pamięci, ile
osób wie, jak miał na nazwisko mój ojciec,
zanim jego ojciec je po wojnie zmienił
na takie, które ma właściwą
końcówkę.

Wtedy przychodzisz ty,
z papużką na ramieniu, żeby mi
powiedzieć: „Jurek, wszyscy jesteśmy
rybami, którym przyszło żyć w miejscu
po oceanie”. I tak stajesz mi się ławicą
w potrzebie.

Przed jutrzejszą suszą
nabieram wody w usta, słona. Papużka
przytakuje, skrzela pracują
pod dyktando twoich imion. Dla ciebie
zmienię miejsce urodzenia. Dom,
w którym zamieszkają ryby, nazwę
Mokry Przedświt.

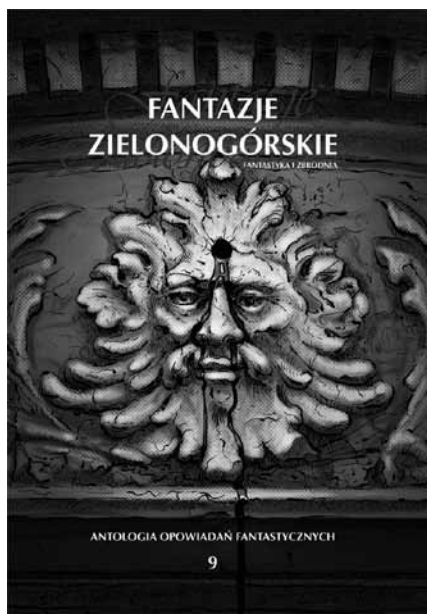
Sankcje. Wybór wierszy i wypowiedzi (Biuro Literackie, 2018)

„Fantazje Zielonogórskie” po raz dziewiąty

We wrześniu br. ukazał się dziewiąty już tom „Fantazji Zielonogórskich”, antologii będącej plonem ogólnopolskiego konkursu literackiego organizowanego co roku przez Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra. Tom wypełniony jak zawsze opowiadaniem reprezentującymi chyba każdą konwencję literackiej fantastyki – znajdziemy tu i twardą SF, fantasy, horror, realizm magiczny i historie alternatywne, a wszystko to splecione z wątkami zielonogórskiej przeszłości, teraźniejszości i wyobrażonej przyszłości.

Pomysł „Fantazji” narodził w 2010 roku jako odpowiedź na głód literatury fantastycznej dziejącej się tu, opowiadającej o miejscu, w którym żyjemy i które kochamy. Historia Zielonej Góry okazała się być przy bliższym poznaniu kopalnią potencjalnych tematów, wystarczy wspomnieć procesy czarownic, zarazy, przemarsze wojsk, trawiące całe miasto pożary... Płóły tu czarownice i książki, zatrzymywali się wielcy tego świata, w zielonogórskim winie kąpał się Hieronim Bonaparte i długo przeklinał je Fryderyk Engels... Nieprzebrane bogactwo historii i Historii, potencjalnych fabuł powieści i opowiadań. Długo było to jednak bogactwo tyleż potężne, co praktycznie szerzej nieznanne. Można było o nim poczytać w opracowaniach historycznych, naukowych, opowiadają o tym, rzecz jasna, muzealne ekspozycje, ale brakowało nam odbicia tego dziedzictwa i wiedzy w zwierciadle kultury popularnej – branie do masowej wyobraźni. A jeżeli mówimy już o kulturze popularnej, to co dziś jest jej głównym, najpotężniejszym nurtem? Oczywiście fantastyka.

Głównym założeniem „Fantazji Zielonogórskich” była więc literatura fantastyczna oparta na zielonogórskiej przeszłości, teraźniejszości lub wizjach przyszłości. Ideą równie ważną – popularyzacja wiedzy o naszym mieście i przede wszystkim chęć stworzenia książek, które będziemy po prostu czytać z przyjemnością. Od początku chcieliśmy, aby antologia była częścią szerszego działania, aktywizującego wokół zielonogórskiego fantazjowania nie tylko mieszkańców naszego miasta. Stąd decyzja, by teksty składające się na kolejne tomy wyłaniane były drogą ogólnopolskiego konkursu literackiego. Biorąc pod uwagę fakt, że otrzymywaliśmy później także opowiadania przysyłane przez autorów mieszkających w Niemczech czy Irlandii, można powiedzieć, że pomysł przerósł początkowe założenia... Konkurs od początku ma charakter otwarty. Piszą dla nas zarówno debiutanci, jak i autorzy z dorobkiem literackim. Na wyjściu liczy się tylko i wyłącznie jakość tekstu, świeżość pomysłu, przyjemność czytania. W ciągu dziewięciu już lat konkurs stał się rozpoznawalnym wydarzeniem na fantastycznej mapie kraju. A jak wypada najnowszy tom?



Waldemar: Tegoroczny tom „Fantazji Zielonogórskich” zaprowadzi Was w mrok, gęsty i krwawy. Towarzyszyć Wam będzie strach, ten chłodny herold przerażenia, oraz – taką mam nadzieję – czytelnicza frajda z udziału w tej literackiej przygodzie. To już dziewiąte (sic!) spotkanie w naszym wciąż rozrastającym się, tekstowym świecie niezwykłości i fantazji – alternatywnym Grünbergu/Zielonej Górze.

Tej jesieni na zielonogórskich ulicach, placach i w domach króluje zbrodnia! Można powiedzieć, że zbrodnia na zamówienie, bowiem to my, organizatorzy, poprosiliśmy o teksty z kryminalną dominantą. Jak zwykle autorzy licznie odpowiedzieli, a my spędziliśmy wakacje tak, jak lubimy – czytając! I jak zwykle wyszło niezwykle. Pojawiło się wielu nowych twórców, nowe pomysły i odświeżone konwencje. Trup się ściele, koszmar narasta, czytelnicy nerwowo chichoczą przez ściśnięte gardła. Czyli jest dobrze, bo prócz kryminałów dostaliśmy też barwną plejadę bohaterów, czasów, wydarzeń i gatunków. Tom otwiera alternatywna wersja historii z demonami na służbie partyjnych kacyków zielonogórskich, pt. *Na szczęście zrobiliśmy wielki krok naprzód* Katarzyny Hajok. Znowu pojawia się na kartach „Fantazji” wielokrotnie przywoływany Uniwersytet Zielonogórski, tym razem w humorystyczno-refleksyjnym tekście *Trzynasty wydział* Dariusza Słowika. Mocno na serio i futurystycznie jest w opowiadaniu *Tkacz losu* Rolanda Hensoldta, a czerwoną jak krew wiśnią na literackim torcie jest zwycięska *Śmierć w Mountain Green* Wiktora Orłowskiego – rasowy kryminał w scenografii SF. Oprócz wymienionych czeka jeszcze sześć wybranych przez nas opowiadań, do tego cztery teksty naszych klubowych autorów i dwugłos naszych jurorów. Zaprawdę powiadam Wam, bierzcie i czytajcie, gardło sobie podrzynamy, rozdając tyle dobra.

Przy dziewiątej edycji warto przypomnieć, że od początku robimy to dla frajdy i za darmo, choć roboty przy tym niemało. Robimy to z sympatii do miejsca, w którym żyjemy. Robimy to, bo fantastyka to nasza pasja. I będziemy robić tak długo, jak będzie nas to bawić. Całą naszą gromadkę znajdziecie w redakcyjnej stopce. Za rok, mam nadzieję, spotykamy się na jubileuszu – dziesiątej edycji „Fantazji Zielonogórskich”. Rozpoczynając ten cykl, nawet my się tego nie spodziewaliśmy. Wy za to spodziewajcie się związanych z tym niespodzianek.

Książkę niezmiennie dedykujemy Jurkowi Sulisławskiemu, bez którego historia potoczyłaby się inaczej. W tym roku do Jurka, gdzieś w niezmiernym oceanie gwiazd, dołączył Maciej Parowski. Bardzo nam ich obu brakuje, choć tak naprawdę będą z nami już zawsze.

Igor: Gdy przystępowaliśmy do prac nad dziewiątą edycją „Fantazji”, nabraliśmy ochotę na zmianą, na wprowadzenie do zielonogórsko-fantastycznego koktajlu nowego składnika. Po długich debatach zdecydowaliśmy, że będzie nim zbrodnia.

Czego oczekiwaliśmy? Nie wiedzieliśmy i ta niewiedza uczyniła oczekiwanie na teksty tym bardziej emocjonującym. Dziś konkurs jest już zakończony, a jego owoc – książkę trzymacie właśnie w dłoniach. Zawiera ona kilkanaście fantastycznych kryminałów, leje się krew i wino, a akcję zgodnie z konwencją gęsto ożywia trup.

Jakie motywy w tym roku okazały się najbardziej popularne? Jeśli chodzi o zbrodnie, to najczęściej pisan o najcięższych, do wyjątków należały oszustwa, kradzieże i subtelne intrygi. Nasi Autorzy w poszukiwaniu inspiracji rzadziej zagłębiali się w historię Zielonej Góry, karząc swoim bohaterom brodzić w mrokach współczesności i apokaliptycznej przyszłości. Jeśli chodzi o tę ostatnią, mocno w tegorocznej edycji brzmi wątek ekologiczny i obawa przed skutkami galopujących zmian klimatu, oczywisty znak czasów, niestety coraz mniej fantastyczny... Każda kolejna książka jest zwierciadłem swojego czasu, popularnych w danym roku trendów popkulturowych, motywów dominujących w masowej wyobraźni i wydarzeń wstrząsających już jak najbardziej rzeczywistym światem. Fantastyka to czuły sejsmograf przetwarzający zbiorowe lęki, fascynacje i nadzieje.

Z każdym kolejnym rokiem poszerza się także paleta tematów i historycznych inspiracji. Widać, że piszący dysponują coraz większą wiedzą na temat dziejów Zielonej Góry, co cieszy, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że większość uczestników konkursu zawsze stanowili mieszkańcy innych miast – nie zielonogórzanie. Lubię myśleć, że przynajmniej po części jest to zasługa „Fantazji Zielonogórskich”.

Maciej: W tym roku Zielona Góra spłynęła krwią – przynajmniej na kartach naszej antologii. Jak oceniam eksperyment z wprowadzeniem przewodniej konwencji w konkursie? Całkiem nieźle! Muszę Państwu ze wstydem przyznać, że byłem jedną z osób, które obawiały się zignorowania motywu zbrodni w przesyłanych opowiadaniach. Powód? Brak uważnego wczytania się w regulamin konkursu. Choć staraliśmy się przypominać o tym wielokrotnie, przy niemal każdej medialnej wzmiance o „Fantazjach”, obawiałem się, że nadesłane opowiadania nie będą koncentrowały się na motywie zbrodni. Dziś mogę z ulgą przyznać – myliłem się! Nasi autorzy często w sposób bardzo pomysłowy podejmowali ten interesujący temat. Najczęściej w formie kryminału lub horroru, ale zdarzały się również bardziej oryginalne formy, jak sci-fi w stylu *Bajek robotów* niedoścignionego mistrza, jakim był Stanisław Lem.

Mówi się, że zbrodnia jest częścią istoty ludzkiej – myślę więc, że była to konwencja, która pozostawiała bardzo wielkie pole do popisu dla pisarzy. Czy wykorzystali tę tematykę w pełni? Na to już każdy musi odpowiedzieć sobie sam. W moim osobistym odczuciu, zwycięskie opowiadanie *Śmierć w Mountain Green* zdecydowanie zdystansowało tegorocznych rywali. Jeszcze raz serdecznie gratuluję autorce kryjącej się pod pseudonimem Wiktor Orłowski.

Czy w przyszłym roku wybierzemy w „Fantazjach Zielonogórskich” kolejny motyw przewodni? To ciężki orzech do zgryzienia, bowiem przed nami dziesiąta, jubileuszowa edycja konkursu. Z tego powodu nie obiecuję niczego – zdarzyć może się wszystko. Do zobaczenia za rok!

Biblioteczka zielonogórskich fantazji, marzeń i koszmarów rośnie, zobaczymy, co będzie dalej. Być może na łamach naszej antologii zabłyśnie przyszła pisarska gwiazda? To zresztą już się dzieje, niektórzy z autorów publikujących u nas swe wczesne opowiadania mają dziś na koncie powieści czy druk w ogólnopolskich pismach literackich.

Warto na koniec odnotować jeszcze dwa wydarzenia: „Fantazje Zielonogórskie” zostały docenione w plebiscycie Nasze Dobre Lubuskie 2015, organizowanym przez Gazetę Lubuską i Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego, zdobywając nagrodę w kategorii „Kultura i rozrywka”. Dwukrotnie opowiadania z naszej antologii znalazły się w ścisłej czołówce tekstów nominowanych do Literackiej Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla – najwyższego wyróżnienia, jakim honoruje się dzieła krajowej fantastyki.

I chyba mamy już naśladowców – w 2012 roku wystartował konkurs „Poznań Fantastyczny” (organizowany przez Wydawnictwo Miejskie Poznań), a w 2014 roku „Płock – Miasto Pełne Tajemnic” (Mazowiecki Klub Fantastyki Tawerna). Fantastyka okazuje się więc być doskonałym językiem opowiadania historii, także tych których bohaterem jest miasto. Nasze miasto.

Wydawcą wszystkich tomów antologii jest ZKF Ad Astra we współpracy z Fabryką Reklamy SANDMEDIA (dawniej Fabryka Reklamy IBI). Organizacja konkursu i tworzenie kolejnych książek to duże wyzwanie. Sekretarzem konkursu od początku jest Maciej Dobrowolski, odpowiada on także, wraz z Weroniką Kłapończak, za redakcję tomu, w skład kapituły konkursowej wchodzi Waldemar Gruszczyński, Zbigniew Kulczycki i niżej podpisany. Książki przygotowuje do druku Mamert Janion, ilustruje Igor Myszkiewicz, a korektę tekstów zajmowały się Anna Cejmer i Aleksandra Mrówka Łobodzińska. Wydarzenie nie mogłoby się również odbyć bez wsparcia finansowego Miasta Zielona Góra i Województwa Lubuskiego.

Opowieść o Halinie Maszkiewicz, artystce, przyjaciółce

Zaczarowany dom z duszą. Ze ścian bajecznie zagospodarowanej pracowni o przestronnych oknach sytych światła spoglądają postaci tych, co odeszli, i tych, którzy zasłużyli na pędzel Artystki. Za oknami zabany ogród, pełen roślinności uprawianej delikatnymi dłońmi, które boisz się uścisnąć na powitanie, by mogły malować bez końca. Pracownia pełna dzieł przez duże d. Kto miał szczęście być zaproszony przez Halinę Maszkiewicz do Jej pracowni, nie zapomni nigdy tego wystroju, bo przecież Artystka jest profesjonalną architektką wewnątrz. Tyle tam portretów, obrazów kwiatów, ziół, martwej natury, architektury – namalowanych przeróżnymi technikami – od klasycznych po współczesne.

Z Haliną Maszkiewicz poznałyśmy się prawie pół wieku temu. Obie związane byłyśmy z zielonogórską WSIInż. Byłyśmy też sąsiadkami. Przyjaźń nasza narodziła się jednak dużo później, nad czym ubolewam, bo to dla mnie stracony czas. Klimat naszych spotkań tworzy niezwykła osobowość Artystki. Podziwiam jej charyzmę, wrażliwość, urok osobisty, inteligencję, energię, gościnność, ale przede wszystkim niezwykle talent i artystyczną płodność, która wynika z olbrzymiej pracowitości. Za każdym razem, kiedy odwiedzam przyjaciółkę, odkrywam nowe dzieło, choć byłam pewna, że już wszędzie myszkowałam, i mogę tak godzinami zaglądać do jego wnętrza – do delikatnych, rzuconych jednym ruchem pędzla płatków kwiatów albo oczu namalowanej staruszki, patrzących na mnie zza okularów. Kwiaty pełne ruchu, twarze z uchwyconym charakterem i uchwyconym przez Halinę uczuciem. No i te barwy, cienie, to światło! Mam szczęście być namalowana w akwreli i to tak, że mój charakterek widać z daleka!

Halina już w latach szkolnych zdradzała talent malarski. Jej zeszyty lekcyjne zamiast notatek zdobiły rysunki, które podobały się szczególnie matematyczne – wychowawczyni. To za jej namową Halina wybrała dalszą naukę w szkole plastycznej. W 1963 roku ukończyła z wyróżnieniem Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych na Wydziale Malarstwa i Rysunku i równolegle studiowała architekturę wewnątrz i malarstwa architektonicznego. Na studiach ujawnił się jeszcze jeden talent przyszłej artystki. Była skiffistką, wielokrotną mistrzynią Polski i reprezentantką Polski w zawodach międzynarodowych, przedstawianą przez dziennikarzy jako najładniejsza wioślarka i indywidualistka. Teraz Halina przyznaje, że to sport dał jej siły do późniejszych zmagani z żywymi problemami. Dzięki niemu stała się osobą stanowczą, konsekwentną, poszukującą nowych dróg i wyzwań. Te wyzwania podejmowała odważnie, a to projektując wnętrza, a to organizując wystawy. W latach 60., zaraz po studiach, powstały jej szkice zabytkowych obiektów architektury drewnianej dla skansenu wsi opolskiej, zorganizowała wystawę „Kultura wsi dolnośląskiej” w muzeum Etnograficznym we Wrocławiu, jest współautorką projektu wewnątrz pawilonów wystawienniczych Międzynarodowych Targów Poznańskich, jest projektantką wewnątrz i mozaik na Ziemi Lubuskiej i Dolnym Śląsku. Ha-

lina jest autorką projektu insygniów akademickich dla ówczesnej WSiInż. Niezliczone są osiągnięcia Artystki. Tyle wystaw krajowych i zagranicznych! Olbrzymi dorobek namalowanych dzieł. Z pleneru łagowskiego wróciła obdarowana przez dziennikarzy złotym medalem za portret Jerzego Dudy-Gracza. To prawdziwe arcydzieło. Trzeba obejrzeć w oryginale. No i te cudelka – maleńkie miniaturki w bajecznych ramach – portreciki dzieci, kwiaty, budowle, martwa natura – śliczne!



Taki wiersz ode mnie dla Haliny Maszkiewicz – Artystki, która uwieczniła mnie w słomkowym kapeluszu, a potem namalowała tryptyk 99-letniej pani Peli z dziećmi – niezwykle dzieła, pełne miłości i oddania.

Artystka

Halinie Maszkiewicz

Zamieniła wiosła
na mistrzowski pędzel.

Dudę-Gracza, męża Tadeusza,
Jolę Zdralik i Mazusia
przy biesiadnym stole,
Małuszcza z akordeonem
uwieczniła pędzlem
wyobraźnią i talentem.

Zioła,
wazon z bukietami,
zielonogórskie kamieniczki,
miniaturki maluchów,
portrety staruszek w koronkach,
zajęczki świateł i cieni
skaczące po szklach okularów –
wszystko zostało namalowane
z artystycznym smakiem,
odwagą barw,
kunsztem proporcji.

Dzieła żyją, a Halina
krząta się po ogrodzie,
wykopuje korzenie sosny,
buduje kapliczkę z kamienia,
który nie zdążył Jej uderzyć,
sadzi kwiaty, wije stroiki,
dla tych, co odeszli,
pisze limeryki,
piecze pyszne placki,
przykleja oderwane kafelki,
przestawia meble,
dzwoni do przyjaciół,
robi zaprawy,
chodzi na koncerty,
urządza wystawy,
a potem maluje, maluje, maluje...

obrazy zabrane z galerii
z czułością układa
na łóżkach półek,
zawiesza w plenerach
zaczarowanej pracowni...

Turniej Jednego Wiersza AMERYKA!

Ten niecodzienny Turniej zorganizowała Biblioteka Obcojęzyczna, oddział Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze, w ramach projektu „Spotkania z kulturą amerykańską – literatura, film, przyroda, odkrycia, sport” dofinansowanego z rządowych środków amerykańskich przyznawanych za pośrednictwem Ambasady USA w Warszawie. Turniej odbył się w Tygodniu Bibliotek, 9 maja 2019, w galerii biblioteki wojewódzkiej i w szranki stanęło 13 poetów, każdy z wierszem poświęconym USA, napisanym specjalnie na tę okazję. Było w czym wybierać! „Ameryka” to pojęcie bardzo obszerne, ale w regulaminie zasugerowano odniesienie się do amerykańskiej literatury, kultury, przyrody, historii, np. nawiązanie do amerykańskiej poezji, tradycji, relacji polsko-amerykańskich, krajobrazu. Czas prezentacji wiersza nie mógł przekroczyć dwóch minut. Trzeba przyznać, że poeci wywiązali się z zadania wzorowo i podejmowali przeróżne tematy amerykańskie, czym dusza im grała. Pojawiły się wiersze poświęcone konkretnym miastom (np. Chicago), twórcom, emigracji do USA, wielokulturowości Stanów, amerykańskim marzeniom, a nawet rdzennym mieszkańcom. Przed Turniejem wysłuchaliśmy wystąpienia Jolanty Marciniszyn-Pytel na temat poezji amerykańskiej i polecanych przez nią poetów i poetek amerykańskich, zwłaszcza literatów tworzących w XX wieku. A potem zaczęło się wierszowanie i Jury w składzie: dr Mirosława Szott, Katarzyna Jarosz-Rabiej i Jolanta Marciniszyn-Pytel miało niełatwe zadanie. Po długiej dyskusji przyznano trzy nagrody i dwa wyróżnienia. Pierwsze miejsce przypadło Krzysztofowi Bąkowskiemu (*Pocztówka do Dickinson*) za ciekawy, zwięzły język poetycki w nawiązaniu do jednej z najwybitniejszych poetek amerykańskich Emily Dickinson. Drugie miejsce zajęła Elżbieta Kościucha-Wieczorek (*Odkryj mnie Ameryko*) za ciekawą koncepcję w odkrywaniu człowieka przez Amerykę. Trzecim miejscem uhonorowano Bronisławę Raszkiewicz (*Nowy Jork*) za poruszający obraz mia-



sta po ataku terrorystycznym. Wyróżnienie otrzymała Bogumiła Różewicz (*Nowy Jork*) za wiersz z kluczem i skondensowany, intensywny obraz. Kolejne wyróżnienie przypadło Elżbiecie Dybalskiej (*Wolność*) za ciekawe nawiązanie do twórczości amerykańskiej poetki Emmy Lazarus.

Liczne nagrody, a także pamiątkowe upominki dla wszystkich uczestników konkursu zakupiono w ramach projektu „Spotkania z kulturą amerykańską – literatura, film, przyroda, odkrycia, sport”. Ponadto w Bibliotece Obcojęzycznej odbyły się również: Dzień Amerykański, Zielonogórski Konkurs na Recenzję Książki Amerykańskiej i spotkanie z Jerzym Jarniewiczem – wybitnym tłumaczem literatury amerykańskiej na temat twórczości Boba Dylana. Zorganizowano także liczne pokazy filmów amerykańskich w filiach nr 6, 7, 12 oraz w mediatece „Góra Mediów” i udostępniono dwie wystawy niezwykłych zdjęć: *Amerykański zachód* Wiesława Pikul i *Pracuj i podróżuj* wykonane przez polskich studentów – uczestników amerykańskiego programu „Summer Work and Travel”. Planowane są kolejne inicjatywy, w tym oczywiście literackie.



Pocztówka do Emily Dickinson

ta droga
twarda nie skończyła się na skrzyżowaniu światów
ten wiatr
nie przestał wibrować w gardzieli czasu
wybrańcy samotności głaszczą się wzajemnie
niewyczuwalnie niestety
i ciągle tęsknią
a gdy się zdarzy jak u Ciebie
że pióro ścisną delikatnie
to drogą twardą
wiatr przywieje
słowo
co ugłaskuje niemoc

Odkryj mnie Ameryko

Odkryj mnie Ameryko
odkryj jak Kolumb ciebie
pokaż jak nie tłukąc skorupki
ustawić jajko na sztorc

Odkryj mnie Ameryko
duchem zwyciężając nad materią
zdrowym rozsądkiem i intuicją
transcendentalnie

Odkryj mnie Ameryko
by nie być twoim ulubieńcem ani pariasem
biedakiem czarnym czerwonoskórym nielegalnym imigrantem
przybyszem od pucybuta do milionera

Odkryj mnie Ameryko
bez stawiania na wadze
Boga historii paragrafu 22 wzoru dla świata
i wiary we własną potęgę

Odkryj mnie Ameryko
Jak dziewicę smoka czarownicę
Emily Dickinson i Sylwię Plath ocalone w wierszu
bez rozszyfrowania pornografii kiczu

Odkryj mnie Ameryko
gdy skończy się gra w zielone
i naucz wolności
w nieodkrytym kontynencie mojego ja

Nowy Jork

wieżowce drapacze chmur
w tłumie przechodniów
góruje wolność i dolar
wybieram człowieczeństwo
odnajduję korzenie Miłosza i Barańczaka
za rogiem numer 54
Eddie dzieli się jałmużną

Wolność

*Dajcie mi waszych zmęczonych biedaków
Wasze zgromadzone tłumy, tęskniące,
by odetchnąć wolnością...*

Emma Lazarus

Twoja wolność
niedomknięta w ciele kobiety
z twarzą matki
dekorujesz jej głowę wiankiem z kwiatów
a może oplatasz cierniem

korona cierniowa
jak aureola z siedmioma bolcami

w dłoni prawej pochodnia-znicz wcale nie olimpijski
w lewej Biblia
Stopy bose spętane
jak twoja wolność łańcuchem przerwany

Stoisz na fundamencie wiary, nadziei, miłości
Jesteś wielki-mały człowiek
nie betonuj jej stóp!

PS

Orzeł i skowronek niech dekoruje niebo...

POEZJA NIDERLANDZKA W PRO LIBRIS

Carl De Strycker

Przegląd współczesnej poezji flamandzkiej

Poproszono mnie o przegląd poezji belgijskiej. To właściwie jest niewykonalne, ponieważ poezja belgijska tak naprawdę nie istnieje... Belgia składa się z trzech wspólnot językowych, pomiędzy którymi istnieją sztywne zasady. Granica językowa pełni na płaszczyźnie politycznej, społecznej i kulturowej prawie taką samą funkcję jak granica kraju. Niderlandzkojęzyczni mieszkańcy w Belgii nie mogą głosować na francuskojęzycznych polityków i vice versa (oprócz Brukseli), poza tym jest wyraźna różnica w preferencjach czy upodobaniach politycznych: północny obszar językowy jest raczej prawicowo zorientowany, podczas gdy na południu przeważa lewica. Przy tym grupy językowe nie śledzą wzajemnych mediów, jak również nie mają prawie wiedzy o wspólnej kulturze, co się wiąże z czytaniem innych gazet, oglądaniem programów telewizyjnych, filmów czy sztuk teatralnych, jest mało znanych Belgów, ludzi, którzy są sławni w całym kraju. Ten podział istnieje również na niwie literatury, a więc nie ma żadnego wspólnego obszaru literackiego. Każda społeczność w Belgii ma swoją własną infrastrukturę (wydawnictwa, czasopisma...) i swoją własną literaturę, która na bazie języka, w którym jest udostępniona, przyłącza się do innej (z którą również częściowo dzieli infrastrukturę literacką). Literatura flamandzka jest częścią literatury niderlandzkiej, francusko-belgijska literatura bierze udział we francuskim systemie literackim i – prawie nieistniejąca – niemieckojęzyczna literatura z Belgii należy do literatury niemieckiej.

Wszystko to czyni, że belgijski czytelnik nie zna lub ledwie zna poezję w innej części językowej w kraju, pomimo prób wspierania i promocji wymian literackich pomiędzy wspólnotami. Z myślą o wzajemnym poznawaniu najważniejszych poetów powstał projekt *Dichter des Vaderlands* (Poeta Ojczyzny) – unikalna współpraca pomiędzy flandryjskimi, brukselskimi i walońskimi organizacjami literackimi. Co roku naprze-

miennie zostaje wybrany jeden niderlandzko- i jeden francuskojęzyczny poeta, który tworzy rocznie sześć wierszy związanych z aktualnymi wydarzeniami. Wiersze są tłumaczone na inne języki istniejące w kraju i opublikowane w mediach w odpowiednich wspólnotach językowych. Poza tym Dichter des Vaderlands ustala projekty literackie, w których poeci z innych obszarów językowych dzielą miejsce na podium. Charles Ducal, Laurence Vielle i Els Moors, obecna „Dichter des Vaderlands”, zostaną w 2020 zastąpieni przez Carl Norac. W ślad za tym projektem pojawia się *Belgium Bordelio* (2015 i 2017), partnerskie publikacje Walońskiego Wydawnictwa L'Arbre à paroles i Flamandzkiego Centrum Poezji, dwie prawdziwe belgijskie antologie, w których zarówno francusko- jak niderlandzkojęzyczni poeci prezentowani są w obu językach. Bliźniacza miniuersja skierowana na literaturę dziecięcą pojawiła się w roku 2017. Het Vlaams Fonds voor de Letteren (Flamandzka Fundacja Literacka) subsydiuje tłumaczenie i publikację flamandzkiej poezji w części francuskojęzycznej (m.in. de Collection de Flandre), przez wydawnictwo Tétràs Lyre w Luik, w którym współcześni poeci flamandzcy, jak też klasycy poezji wydawani są w języku francuskim. Promotion Des Lettres van de Fédération Wallonie-Bruxelles od 2020 będzie wspierać tego rodzaju projekt w odwrotnym kierunku.

Jest jednak oczywiste i zrozumiałe, że nie granica geograficzna, lecz granica językowa konstruuje to, co dotyczy literatury w Belgii. Dlatego nie skupiam się na początku tego tekstu na flamandzkiej (chcę powiedzieć: niderlandzkiej) poezji od 2000 roku. Chcę odróżnić pięć tendencji. Po pierwsze, publikuje kilkoro ważnych poetów debiutujących przed zmianą tysiącleci chętnie czytane tomiki poezji. Ta miniona generacja gra jeszcze ciągle prominencką rolę w literackim krajobrazie i są to poeci właściwie najbardziej znani szerokiej publiczności. Następnie jest inna grupa pomiędzy tą generacją, debiutująca około czy też od razu po 2000 roku, która została naznaczona jako postmodernistyczna. Wiersze autorów z tej grupy mogą zostać skategoryzowane jako eksperymentalne i w dalszym ciągu postmodernistyczne, lecz są mniej intelektualne i skierowane bardziej na dzisiejszą rzeczywistość, tak jak to było w przypadku wcześniejszej flamandzkiej po-mo poezji. Naprzeciw tej grupy, jako trzecia tendencja, stoją poeci, którzy przynależą czy powracają do tradycyjnych form i tematów, a ich przykłady znajdujemy w poezji klasycznej i w kanonie poezji. Po czwarte, niezwykle jest pojawienie się na podium relatywnie dużej grupy poetów, z którymi poezja ponownie zamyka się przy bardziej oralnej tradycji. Na koniec uderzające jest, iż przeważnie młode głosy piszą politycznie zaangażowaną poezję. Wróć do tego wątku w numerze „Nowe Polityki”.

W XXI wieku poezja flamandzka jest – niestety – marginalnym gatunkiem, zważywszy na nakład wydawniczy (od 200 do 1000 egzemplarzy); kiedy poeta odnosi sukces (jak Leonard Nolens, Peter Verhelst, Delphine Lecompte czy Charlotte Van den Broeck), wtedy przechodzi przez ladę dwa tysiące egzemplarzy. Mimo to w dalszym ciągu publikują poezję wszystkie duże wydawnictwa, uznani pisarze piszą również poezję i tak żyje ona zarówno w książce, jak i na zewnątrz niej. Flamandzka poezja, kiedy ją porównasz z poezją krajów sąsiedzkich, jest niezwykle swawolna i nowatorska. Znajdziesz tu mało form klasycznych, obfite eksperymentowanie i używanie tematów lirycznych (miłość, smutek, śmierć) pozostają oczywiście opiewane, ale jest też i wiele innych. Oprócz tego są dziesiątki inicjatyw, poprzez które poezja „wychodzi” z książki. Duże miasta jak Antwerpia i Gent mają własnego poetę, który na okoliczność wielkich wydarzeń pisze wiersz, przekazując go w oryginalny sposób. Oprócz tego są społeczno-literackie inicjatywy, tak jak *De eenzame uitvaart* (samotny pogrzeb): poeci piszą wiersz dla zmarłych, którzy zostają pochowani bez obecności krewnych czy też znajomych. Wszędzie we Flandrii są tzw. szlaki poetyckie, na otwartym powietrzu są czytane wiersze, istnieją dobrze odbierane festiwale i slamy poetyckie, odnoszące duże sukcesy. W ostatni czwartek roku rozpoczyna się Poëzieweek (Tydzień Poezji), w którym media (prasa, radio, TV) poświęcają wiele uwagi dla tego gatunku literackiego, a zainteresowani na zachętę przy zakupie tomiku otrzymują gratis w prezencie, specjalnie na tę okoliczność napisany przez autora wiersz.

Jest zasadne, aby rok 2000 potraktować jako linię demarkacyjną, nie tylko ze względu na to, że okrągła data obwieszcza, iż rozpoczął się nowy okres w dziejach historii, ale przede wszystkim dlatego, że w tym

czasie pewna liczba poetów wytyczyła nowy kierunek poezji we Flandrii. Naturalnie nie oznacza to, że poeci z poprzednich dekad zniknęli. Poeci, którzy osiągnęli ważną pozycję w poezji flamandzkiej przed rokiem 2000, jeszcze ciągle publikują i jest to może ich najbardziej poruszająca twórczość. Bez wątpienia Leonard Nolens jest najważniejszym żyjącym poetą. Zaczynając neo-eksperymentalnie z *parlando* (melodeklamacja) w klasycznych formach, rozwinął się jako jeden z najczęściej czytanych, dostępnych i ulubionych poetów swojej generacji. Tematem jego twórczości jest zmaganie się z życiem i miłością, jest on również autorem najbardziej znanych wierszy miłosnych w niderlandzkiej literaturze, ale też jego stosunek do spraw społecznych pozostaje nie bez uwagi, np. w jego *magnum opus Bres* (2007). W *Opzichtige stilte* (2014) opublikował on absolutnie unikalny w literaturze światowej cykl o hospitalizacji w szpitalu psychiatrycznym. W nurcie klasycznie rozumianej poezji znajduje się również Luuk Gruwez, który debiutował jako neoromantyk, po czym przeobraził się – w swej bogatej w dźwięk twórczości – w poetę szczególnie uważnie pochyłającego się i portretującego osoby wykluczone społecznie. Również wykorzystując tradycyjne schematy, pisze Charles Ducal, którego pierwsze tomy mocno eksploatowały Freudowską problematykę, lecz w jego niedawnej pracy *De buitendeur* (2014) zaniechuje on naprężonych, ciasnych form i otwiera drzwi na świat, ukazując się jako poeta zaangażowany w wierszach o Kongo, palestyńskich kwestiach, biedzie i krzywdzie socjalnej. Miriam Van hee pisze wyciszone wersety, przy których dokładna obserwacja ustala jakiś esencjalny znak.

Obok tych raczej klasyków są również autorzy z tzw. postmodernistycznej generacji, która debiutowała w połowie lat 80. i przynależy do najważniejszych obecnie poetów. Dirk Van Bastelaere i Erik Spinoy są nadzwyczaj intertekstualnymi poetami, którzy przetwarzają w wierszach język filozofii, sztuki i z dezorganizacji osiągają ich własny zastrzeżony znak. Van Bastelaere dekonstruuje w *Hartswedervaren* (2000) najczęściej użytą metaforę „wyładowań” poetyckich, Spinoy publikuje to, co mógłbyś nazwać zbiorem czy szkicem konceptów: w każdym tomie wierszy bada jakiś inny temat i poszukuje nowych form. W *Ik en andere gedichten* (2007) jest to np. problematyczne pojęcie siebie, podmiotu „ja”, w *Dode kamer* zabiera się do dzieła z takimi filozofami jak Jean-François Lyotard i Slavoj Žižek, i podobnie w „dode kamer” (umarły pokój) czy w „de schuine blik” (spojrzenie kątem oka), aby opisać postmodernistyczną dyspozycję człowieka. Bardziej swawolna jest poezja Peter Holvoet-Hanssen, który swoją bogatą w dźwięk i poprzez asocjację skonstruowaną poezję dostarcza jak współczesny trubadur. Jednocześnie jest to badanie mocy ludzkiej duszy, jak to wynika z tomu *De reis naar Inframundo* (2011), w którym poeta gromadzi swoje cztery poprzednie zbiory i przekształca w jakąś metamorfozę piekielnej podróży, zstąpienia do piekieł.

Zdobycze filozoficznego wariantu postmodernizmu zostały przejęte przez generację poetów debiutujących po 2000 roku, ale są częściowo również inaczej uzupełnione. Ci poeci opuszczają większą część metapoetyckiej refleksji na korzyść bardziej zaangażowanej treści, znaczeń i części mieszają kulturę wysoką z niską. W wierszach postmodernistycznych poetów jak Paul Bogaerts i Jan Lauwereyns znajdują coraz częściej miejsce zagadnienia społeczne. Paula Bogaerts *De slalom soft* (2009) jest długim epickim wierszem o subtropicznym pływającym raju, będącym parabolą o dzisiejszym świecie; w wierszach z *Circulaire systemen* (2002) autor opisuje niepoetyckie tematy jak betoniarka, centralne ogrzewanie, ruchome schody czy krążenie krwi. Również w jego najnowszej poezji zostają przedstawione banalne obiekty i zjawiska w krótkich, ciasnych strofach. Lauwereyns, neuronaukowiec, miesza naukę z poezją. W jego wierszach obecna jest tematyka egzystencjalna, samobójstwa, tak jak w *Blanke verzen* (2001) czy w *Nouvelle* (2015), gdzie bada, jak musimy ustosunkowywać się do życia (podobną tematykę porusza w *Buigzaamheden* z 2002 roku i w *De willekeur* z 2012). W *Er hang een hoge lucht boven ons* (2006) i *Liederen van een kapseizend paard* (2013) pisze Els Moors niepokojące wiersze o sile przyciągania (*charme*) między mężczyznami i kobietami, mężczyznami a mężczyznami i kobietami a kobietami, jak również między człowiekiem i zwierzęciem. Bart Meuleman ukazuje natomiast

opis postawy życiowej, która może zostać postrzeżona mizantropicznie w cynicznych wersach. W *In hulp* (2004) zaakcentowana została wyraźnie przemoc, w *Omdat ik ziek werd* (2014) podmiot osobowy („ja”) brzydzi się światem.

Obok poetów, którzy budują dalej na poezji postmodernistycznej, są też ci, którzy przyłączają się do poezji sprzed modernistycznej. Tak pisze Joost Decorte w *Stalker* (2018) – niemodną poezję, w której zarówno forma, jak i treść sięga z powrotem do koryfeuszy poezji flamandzkiej (Hugo Claus, Hugues C. Pernath). Poezja Michaëla Vandebrila idzie w dyskurs z tradycją dandyzmu we francuskiej i flamandzkiej literaturze. W *Het vertrek van Materlinck* (2012) i w *New Romantics* (2016) tematyzuje on typową nostalgię, która jest bliska poezji romantycznej, symbolicznej i dandyeskiej, ale którą jednocześnie ironizuje. Z prac Yannick Dangre można wywnioskować, że zna on klasyków, bo roi się tu od powoływania na Clausa, Nolensa i Gruweza. Jego debiut, *Meisje dat ik nog moet* (2011), jest rzeźkim zbiorem wierszy miłosnych, pełnych frywolnych piosenek o pięknych dziewczynach, również w *Met terugwerkende kracht* (2014) dołącza się do romantycznej tradycji przez jakąś preokupację, zaabsorbowanie cierpieniem, upadkiem. W tych wierszach czytamy o nieuchronnym przemijaniu czasu, miłości, piękna i życia, unosi się jakiś cień znudzenia, ale jeszcze wyraźniej uobecnia się w nich inercja, bezwładność, bierność i jakaś niemożność działania. Ostatnim ważnym poetą, który musi w tym kadrze zostać wymieniony, jest Peter Verhelst. Debiutował on jako postmodernistyczny poeta wierszami, w których cielesność i agresja ciągle łączą się ze sobą, ale poeta odniósł dopiero wielki sukces na początku 2008 roku, kiedy to jego twórczość stała się mniej hermetyczna i mniej romantyczna. Centralne miejsce zajmuje tu człowiek, poszukujący zjednoczenia z innym (przeważnie: ukochaną osobą). W tomach takich jak *We totale flam* (2014) i *Zing zing* (2016) poeta umieszcza swoich bohaterów w prawie mitycznym otoczeniu, gdzie doznają licznych doświadczeń. Wiersze *focussen* przekraczają pewną granicę, dążą do samozatrącenia lub zostają z nią zrównane, wydając się niemal mistyczne.

Obok dwóch kierunków (które jak niegdyś istnieją w poezji flamandzkiej), jest więcej eksperymentalnej poezji – przy tej, która wpisała się w tradycję, zrodził się specyficzny wariant, zazwyczaj u poetek. Debiutowały one na podiach i przetwarzają w swoich wierszach triki dobrych performance’ów. Ponieważ w pierwszej instancji muszą one na żywo wzbudzać zainteresowanie publiki, chodzi często o wiersze anegdotyczne, znające komiczny obrót akcji i stosowanie odpowiednio zaskakujące puenty. Poetyka „zdziwienia” proponuje czytelnikowi niespodziewaną perspektywę, czy też inaczej uczy patrzeć na banalną rzeczywistość. Delphine Lacompte pisze długie, opowiadające wiersze, które jedynie przez opuszczenie jakiejś linijki tekstu są do odróżnienia od krótkiej prozy. W jej własnym uniwersum absurdałne postacie obcują ze sobą przeważnie biernie-agresywnie (przede wszystkim z podmiotem „ja”), doświadczając dziwnych doznań. Są to najbardziej zbzikowane opowiadania, sprowadzające czytelnika do szalonych obrazów. Prawdziwymi estradowymi bestiami są Maud Vanhauwaert i Andy Fierens. Przy obydwojgu zaciera się nawet granica między poezją i kabaretem, obydwoje robią na bazie własnych tekstów (odbiegających solidnie od tego, co zwykle jest widziane jako poezja) również programy teatralne. Vanhauwaert debiut *Ik ben mogelijk* (2011) był zbiorem wierszy, w którym zdziwienie i pełne fantazji obserwowanie świata zostało połączone z rzeźkimi pomysłami językowymi. Następny tom – *Wij zijn ewenwijdig* (2014) – jest zbiorem przyjemnych miniopowiadań, anegdot, aforyzmów, obserwacją, myślami i dowcipami – wszystko bardzo krótkie (niekiedy jeden werset) na jednej stronie zbioru. W tym ukazuje ona świat wyglądający na nasz, lecz w którym nic jest tym, na co wskazuje. To czyni czytelnika trochę paranoicznym, ale pozostawia jednak jakiś uśmiech.

Dokładnie jak Vanhauwaert podążała Charlotte Van den Broeck, studiująca w Konserwatorium na wydziale aktorskim, i tak jak Vanhauwaert jest chętnie widziana na podiach, w mediach i przez samych organizatorów. Kombinacja tych uderzających recytacji (Van den Broeck recytuje jej wiersze z pamięci, podpierając się małymi gestykulacjami), klasyczna poetyczna tematyka (pytania o pozycję młodej kobiety w świecie, egzystencjalna niepewność, miłosne perypetie) i współczesny sposób ekspresji, łączący liczne obec-

ne w dzisiejszej poezji tendencje, zadbały o jej popularność. Wiersze Van den Broecks są w ogólności długie i epickie, mają „mówiony” charakter i są zbudowane z asocjacyjnie przy każdym wierszu dołączonych obrazów, świadczących o oryginalnych zdolnościach obserwacji. W tym powiela drogę takich kolegów jak Lecompte i Vanhauwaert, ale tam, gdzie ci wcześniej skłaniali się do *cabareteske*, nadaje Van den Broeck zazwyczaj jakiś filozoficzny, melancholijnie wypełniający ton. W ślad za nią podążają takie poetki jak Lotte Dodion, Carmien Michels i Dorien De Vylder. Ponadto istnieje ożywiony slam poetycki z liczną grupą poetów, którzy nie byli (jeszcze) publikowani przez wydawnictwa. Poezja Lisette Ma Neza, która sama się okrzyknęła mistrzynią belgijskiego slamu, Seckou Ouologuem czy Hind Eljadid jest mocno rytmiczna i retoryczna, używa różnorodnych sztuczek, aby przekazać jakieś społecznie zaangażowane przesłanie. Takie tematy jak bieda, pozycja kobiet czy doświadczenia osób wywodzących się z innych kultur zostają też w ich performances przedstawione. Społeczno-polityczne zaangażowanie wyraża również poezja Nieuwe Politieken (Nowych Polityk). Swoje inspiracje czerpie ona z teoretycznych prac o polityce i socjologii, przy czym pozostaje krytyczna do neokapitalizmu i jego odgałęzień. Kierunek, jaki powstał w poezji niderlandzkiej, u poetów Maarten Van der Graaff, Frank Keizer czy Obe Akema, jest obecny u Dominique De Groen i Arno Van Vliergergh, którzy są jego flamandzkimi przedstawicielami. Znamienne jest to, że ci dwaj publikują w wydawnictwie o małej marży, „het balanseer”, które wyspecjalizowane jest w literaturze eksperymentalnej – to świadczy o pozycji tych poetów. Ci ostatni przywiązują dużą uwagę do projektowania formy. Debiut D. De Groen, *Shop Girl* (2017) jest dostępny w różnych kolorach, numer ISBN jest ukazany inaczej niż zwykle w wydaniach książkowych, prominentnie na obwolucie i tytule ukazuje się znak (R), symbol podający zarejestrowaną markę. Z takim powidokiem pozycjonuje się książka jak jakiś komercyjny produkt (czym rzeczywiście nie jest). To łączy się z treścią, która daje nieubłagane wgląd w fenomen *fast fashion* i opisuje krytycznie różne wytwory „produkcji łańcuchowej”. Z jej najnowszym zbiorem, *Sticky Drama* (2019), wprowadza ona tzw. *ecopoetry* do literatury flamandzkiej, jako że przetwarza liczne koncepty i pomysły z krytyki ekologii Van Timothy Morton. *Vloekschrift* (2017) Van Vlierberghe jest również oryginalny w zakresie kształtowania formy książki: zszyta broszura A4, ulotka bez podania nazwiska autora na okładce. To samo robi ze swoimi wierszami, które w niczym nie są podobne do stereotypowego przedstawienia wiersza (krótko, wąsko, dużo bieli na stronie książki). Zbiór mieści długie, szerokie, rozkładające się jak wachlarz wiersze, które z pomocą żargonu marketingowego vocabularium (słownictwa z pomocnych książek czy czasopism) opisują pozycję XXI-wiecznego przedrażnionego subiekta. Konsekwencją rozszerzenia krytyki neoliberalizmu przez tych poetów jest *International Bakery* (Voorheen Cinema Royale, 2018) Davida Nolens (syna Leonarda Nolensa). Jest to epicki zbiór, w którym starcia w wielokulturowej metropolii, jaką jest Antwerpia, zajmują pozycję centralną. Bert van Raemdonck rozpatruje w swoim debiucie *Hier raken we mij kwijt* (2019) także problemy superdywersyjnego społeczeństwa i zapytuje o to, co oznacza być unikalnym, niepowtarzalnym podmiotem w świecie, który zmieniony został w *global village* i jest rządzony przez moce, na które jednostka nie ma żadnego wpływu. *Massastrandingen* (2019) Moya de Feyter trzyma środek pomiędzy tekstem teatralnym a poezją i porusza ponownie problem klimatu.

Poezja flamandzka po roku 2000 jest bogata i różna: tradycyjna i eksperymentalna, filozoficzna i zaangażowana, skierowana na egzystencjalny problem jednostki, jak i odnosząca się do problemów świata. W każdym przypadku jest całkowicie zgodna z jej czasem.

Przekład z języka niderlandzkiego
Anna Kwapisiewicz-Sevens

* * *

toleruję że zostałam stworzona
i dotykam siebie cała jestem
morskim anemonem

zimny wiatr przychodzi z za gór
pada całymi dniami
i nie zanosí się na poprawę

każdy zaciska usta
w chłodnym milczeniu
a wskazówka licznika
flirtuje nieustannie z punktem zero

jeśli rozmawiam to jedynie
z mordercami i złodziejami
którzy dekują się jak
beduini na pustyni

moja samotna mowa
jest niewinna jak woda z
oceanu lecz z czasów kiedy
był używany na wysypisko śmieci

* * *

kup igłę i nić i wyobraź sobie że masz czas aby zacerować wszystkie dziury w twojej garderobie wyobraź sobie że nadejdzie taki dzień który nie ustala co nosisz na sobie ponieważ masz promieniującą duszę czystą sterylną jak paczka białej waty wyobraź sobie że toczysz się z brzucha matki piękniejszej kiedyś niż teraz pachnącej migdałowym kwieciem i kiedy przyszedłeś na świat muska cię na wieczność swoimi miękkimi włosami i okrągłymi piersiami i sutki jej piersi są małymi brązowymi dzióbkami wygłodniałych ptaszków, które czekają na twoje usta tęsknią za roślinami spragnionymi wody która spada z nieba jest nie do kupienia i nieprzekupna jest bezpośrednią linią między tobą i wodą za pośrednictwem słów które mówisz i nie idzie o to co mówisz lecz jak to mówisz powiedziałaś powiesz i jak oddychasz kiedy to mówisz i podbiegasz do okna okno jest wielkie i kwadratowe z widokiem na nieodzowne drzewo i świat i drapieżne ptaki kształt twojej gołej stopy przeprowadza cię również teraz do zawsze po raz pierwszy stąpanej drogi motyle które stały się mokre w deszczu trzepoczą skrzydłami i kochają się w ciszy pod liściem tak pomyślisz ale twój głos obejmuje mnie jeszcze ciszej niż słońce

* * *

jestem ogrodnikiem z alibi
i w fioletowym narciarskim kombinezonie
dbam o teren
na którym uderza się piłki
a na końcu
gdzie pada piłeczka
leży na ogół trup

w szklanym kiosku na bilety sprzedaję
odwiedzającym lody
aż stoję się drzewem
trafionym przez piorun
i usypaną w koło ziemią

rankiem wychodzę zimnymi stopami na ulicę
w ręku pomarańczowy plastikowy koszyk
do roznoszenia mleka

po lodowatej nocy nie idę

jak rozkładam nogi
udaję że są skrzydłami

* * *

w drodze do domu
gdzie czeka na mnie kot jest parno
moje płuca jęczą pod ciężarem
kafli podłóg i znów skalnych bloków

strzałka którą namiętnie dopuszczam
warunek dla mojej nieustającej
ekstazy albo jak lato w pełni
wsuwa się we mnie

chłodna wieczerza słońcem
podgrzane minipomidory
i sardynki na twardo ugotowane białe jajka
którymi zwilżam oczy

mogę tam siedzieć z nogami nad spodeczkiem mleka
szerokie słowa
i głęboko mój palec

* * *

biegnę z tyłu czegoś po ulicy ślady lodowej skały
grzyby wyrastają jak rewolwery z ziemi
jakaś kelnerka leży zagrzebana w łóżku i mówi
zawsze tylko spać albo płakać ze szczęścia

ale będzie musiała się śpieszyć
przecież teraz może w każdej chwili
zostać przebita nożem przez wielkiego czarnego mężczyznę
respekt dla biednych

to siedzi w jego ubraniu które oni noszą nic nie pasuje
łodzie przewożne w kierunku lampeduzy wypełnione
lecz co w większości naród
zezwała obecnie wszystkim dobrowolnie tonąć
złotu pozwala rdzewieć na wieczność

więc milczymy jeśli bóg tego chce
obciążę powietrze
roztopionym cukrem pudrem

przebieranki

wkładam i ściągam
aż do skrzypienia ramion

Wyrocznia

nie ma drogi powrotnej teraz gdy twoje ciało otworzyło się przede mną
jak czarna ziemia
twoje ręce poruszają się jak młody kwiat zakreślając mój kształt
delikatnymi szybkimi przyciągnięciami

twoje włosy pachną przejrzystą nocą biegniemy przez rozliczne
ogrody pozdrawiając się nawzajem
innymi słowami nie ma drogi powrotnej weź to ode mnie
na swoje ramiona

obnażone gałęzie niepokodzone z naszymi małymi zagadkami
z papieru którymi
zajmujesz się powiedz mi uratujemy to z tego labiryntu
listowia i pąków

słońce stoi wysoko spożywamy kacze jaja co ma się wydarzyć
układa się przeciwko nam
nie ma drogi powrotnej otwierasz mnie tak jak to robisz z książkami
i łamiesz mój grzbiet

Z tomu: *Het vertrek van Maeterlinck*, 2012,
Wydawnictwo Bezige Bij, Antwerpia

Refren dla miasta

w mieście które wsysa poetów
do miękkich szkieletów prześlizguję się

z szybkością pantery
wzdłuż ciepłych wilgotnych ogrodów w których kamienie

pawie i ścieżki obnoszą się
jak nici kokonu

powoli zjadane przez krzewy
i wierzchołki drzew i okropnie wolno

puchną muszle w stawie
zaledwie jakiś zwiastun

większych ogrodów w których kamienie
pawie i ścieżki noszą się jak promienie

słońca
powoli wsysane przez krzewy

i wierzchołki drzew i okropnie wolno
nabrmiewają muszle w stawie

jedynie westchnienie
innych ogrodów w których kamienie

pawie i ścieżki noszą się jak fala
od źródła
z wolna wypijane przez krzewy
wierzchołki i okropnie wolno

nabrmiewają muszle w stawie
jedynie jakiś cień ubiera miasto

poetów o przeźroczystej skórze
a ja żyję wysoko ponad ogrodami

i z gracją jaskółki
spoglądam na ulice szczęścia

*

syntetyczne sny

*

wszystkie pokoje są ciemne
w hotelu du grand miroir

*

piję kawę w barze nicanor

*

piszę list pożegnalny
w lustrzanym odbiciu

*

moje opuszki palców idą po grzebieniu
każdego wzniesienia

*

mury zieleni

*

uważaj na ptaki
bądź jak woda

*

anioł nie ma pamięci

*

jestem kłamstwem

*

każdy nosi imię narcyz

*

daj mi jakiś znak życia

*

z czego zrezygnować
na korzyść linijki wiersza

*

gdziekolwiek jesteś
był już poeta przed tobą

*

przykro mi musieć państwu przeszkodzić
ale mój świat płonie

Rozwój wiersza

Wszędzie gdzie jestem był już jakiś poeta
przede mną

*

neon na mojej nagiej skórze
zniknął do każdego uczucia

*

to nie oznacza nic

*

kładę cię na wadze
niewiele ważysz
twoje westchnienie jest białe

*

Nasza ścieżka stoi otworem
przez stopy dzieci

*

niewinne ręce
które się chrzczą
w głębokich europejskich morzach

*

tutaj niewiele się wydarza
ale widzieliśmy wszystko

*

twoje oczy przeciekają stu tysiącami jezior

*

z czego zrezygnować
pustka

*

wiemy czego chcemy
twoja blada i chłodna twarz
i schowaliśmy się gdzie żebracy

i włóczędzy ukrywają się brudni
i niechronieni przed płonąca

przemocą która jak jakiś grzeszny naród
przenika w pełni naszych nagich doskonałych ciał

kiedy stąd odszedłem miałem wszystko
a wam pokazuję puste ręce

Stojący mężczyzna

stać spokojnie nie jest cofaniem się
jest przetrwaniem

jestem zwyczajnie kimś
jeśli przyjdą po mnie

ktoś inny zajmie moje miejsce
powstań i

pisz na twoim czole
słowa poety blake

whitman pasolini vinkenoog
czy van vliet nastał czas

abyśmy uporządkowali sprawy
zebrali złość

zmiażdżą nas a zapuścimy
głębiej korzenie

chcecie abyśmy milczeli
zamilczymy

jak zamordowani jesteście murem
do którego biegniecie

rozpoznaję broń
i zostawiam ją w spoczynku to jest nasze życie

i to jest czas który licytujemy
za naszą wolność

Góra kości

Il y a des croix partout de-ci de-la (Tyle krzyży wszędzie)

Guillaume Apollinaire

w końcu jest ten stary świat
tęskniący do walca
odłamków i kul
są też głowy błyszczące
od wesz i chwały
ssące śliski olej

i jest ten niczyj kraj który
poczerniały w słońcu
dostał w dupę
są okopy
przemoczonych w błocku stóp
zakrzepłej krwi koni
jest wzgórze mięsa
które przeżuwa bezimiennych
przed krótkowzrocznością aniołów
i jest w końcu ten stary świat
przerośnięty listowiem i darnią
i ponownie zdeprawowany nadzieją

Z tomu: *New Romantics*, Wydawnictwo Polis, 2016

Stracony raj

Kiedy stąd odchodziłem miałem wszystko
lecz teraz przychodzę z pustymi rękami

do tego jądra ziemi odpadów i szkła
żadnych ryb ni ptaków jedynie cisza

która odurza każde ucho nasze opuszczone domy
stoją lśnić w słońcu

w tym miejscu rozłupywaliśmy owoc
i jadło nas pełne rozkoszy ciepło
wtedy usłyszeliśmy głos pioruna

4. Recogitatio

Tutaj musimy dźwigać gwiazdy

4.1

Tutaj stoimy
bełkoczemy.
Nigdy nie otwarty boży podarunek
zapakowany zaplombowany
chybiony
w zwątpieniu.
Jak gdyby nieudany wybuch
jakbyśmy musieli zniknąć
Boży błąd naprawiony
czarne dziury uszczelnione.

4.2

Tutaj stoimy
błądzimy.
Jednostki cudzoziemcy
niedopasowani niewiedzący
na chwiejnych progach zapomnieni
zatrzymane zegary.
Jakby wszystko musiało się znów zaczynać
jakbyśmy nigdy nie istnieli
jakby świat
został na nowo wyziany.

4.3

Tutaj stoimy
czekamy.
Uwięzieni w czasie
niewidoczni niewypowiedzeni
pobłądzeni w historii
w oszukanej przeszłości.
Dziecięce sny
prerażony płacz
znaki na murach.
Ból jest stary.

4.4

I już stojąc kamieniejemy
jakby zablokowano wszystkie drogi
zniknęły drogowskazy.
Kto jeszcze krzyczy
Kto bije w dzwon?
Kto pisze
słowa na murach?
Wieczór traci godziny
i zmierzch dosiada konia.

4.5

Tacy jesteśmy
ślepo widzący
głusi i głupi
pamięć pusta wyssana
ciało nieme sparaliżowane.
Nic jest pewne
nic jest prawdą.
Nikt o prawie mówiący
ufać nikomu
żadnego Boga aby się ukryć.

4.6

Dogmy pył
na wyblakłej z bólu ścieżce.
Bo patrz wyciela się noc
draży swoje korytarze
we śnie ślepa
jak pijany kret
który stroni od światła dnia
omija jutrznię
przed mrokiem
nieodwracalnie nieuchronnym.

4.7

Tak owinięci
w zamglone prześcieradła
stoimy
czekamy

na zaćmienie ostatniego księżyca.
Gdzie są teraz profeci
mistrzowie iluzji
magicy z naszej młodości?
Gdzie są święte księgi
tablice przykazań?

4.8

Ułożeni i zgięci
ni przyjaciela ni wroga.
Żadnej miłości
do rozdania
powrotu do nienawiści.
Kto chodzi teraz z nami po wodzie?
Kto dmie w trąbę
której dźwięk będzie burzyć mury
przełamać kraty?

4.9

Niebo oddycha złością.
Kruk zniknął na zawsze.
Buty z cholewami maszerują
dudniąc przez ciemne pokoje
przez pustą głowę.
Patrz rozpościera się zmrok
pędzi po ziemi i wodzie
jakby nawoływała noc
krzyk
przed ostatnią walką.

4.10

Jutro nie powtórzy się więcej
bo czas jest jedynie okamgnieniem
prawdę bez szans pozostawiając.
Godziny podpisane w zeszycie cieni
ze wszystkich stron wybite.
Koniec bez początku
to płynie to tonie.
Tam dokąd zmierzamy
nie biegnie nikt
i dni niedostępne.

4.11

Co wiemy
czym jesteśmy
kto to nazwie.
Bezimiennie zostało zważone
na szali czasu.
Kłamstwo do prawdy pochylone
zmyślone rytuały
mordy w imię
Boga krew i dno.
Kto to nazwie?

4.12

Tak stoimy ze stojącymi
kamieniami obrazami
uzbrojeni bólem
wyniszczeni ukryci
jak cienie w umierającej gwieździe.
Tylko cisza ociera jeszcze łzy.
Bezbronne czekamy
aż chłód nas zawoła
nazwie nas
do twojego imienia.

4.13

Lecz firmament jest bezgraniczny
odbity w nas samych
beziemienny ślepy i bezkształtny
przykuty do ziemi
jak nowy księżyc
który ukrywa swoje światło
bojąc się własnego cienia.
Jest pustka która przez pustkę błądzi
czołgając się poszukuje schronienia
by istnieć.

4.14

Jakby brak ciał
wypełniał przestrzeń jakby czas
zapomniał o nas
zatrzymał zegary.

I nic nie może się przesunąć
nic począć.
Tutaj gdzie wszystkie linie wytyczone
początek i koniec
niepodzielnie uwięziony
nienaruszalnie przynitowany.

4.15

Tutaj stoimy jesteśmy.
Tutaj opieczętowaliśmy nasze przeznaczenie.
Nic już nie zniknie
wszystko może więc przeminąć.
Tak zostanie niedomknięta wieczność
musimy dźwigać gwiazdy
podczas gdy światło
tka swoje pajęczyny
i ogłuszająco błyszczy
na bezgranicznym firmamencie.

Ogier

Stały znowu, pirenejskie dzikie konie
tym razem patrząc
na Tour de France. Ostro wychudzone
w rzadkim majaczącym powietrzu, pojawiły się

znikąd, tak jak wtedy
przecinały nam drogę. Żadnej chwili zdziwienia
z naszego auta w kolorze wabiącym
płowego sępa. Jasna

grzywa ogiera, wyważona
pewność siebie i jego małe
pełne zaufania stado.
Jakże zazdrościłem mu szlachectwa,

aroganckiej niewzruszoności
z powodu naszej obecności, tak jak teraz o
próżność tyrających mężczyzn na piekielnej drodze w dolinie
gotowych umrzeć

za jeden pocałunek panny.
Dopiero kiedy powrócił spokój, pochyla łeb,

skubie trawę.

Mężczyzna i koń

Mojego ojca ojciec i Vic.
Vic na podkowach, on w drewnianych trepach.
Wzdłuż flisackiej ścieżki pomiędzy Mol
a metropolią, pomrukiwanie wody

od kadłuba barki, gładkiej
we wschodzącym słońcu. Pije kawę
z pociętej puszki, Vic pochłania
owies z brezentowego worka.

Wiśta wio! Vic, ładunek białego piachu dla
beziemiennej fabryki szkła. Wtedy z powrotem
do domu, milcząc, mojego ojca
ojciec, czapka zaciągnięta na kark, za
szerokim, bezogonnym zadem Vica.

11/11/18

* * *

Zbliżałaś się, biegłaś przede mną tak blisko, dobrze wiedziałas,
że nie przestanę patrzeć w nadziei, że zaczekasz,
chciałem milczeć jak zamordowany, nie usłyszałaś.

Jakże miła jest mi włączęga, lato w winnym ogrodzie,
rozmyślanie o czymś co niewiele znaczy, beztroska
ulga, spotkać się z kimś, nie wiedzieć kogo się pozdrawia.

Wszystko jest zawsze obecne na drodze cierpienia, lecz ty unikasz
pułapek, śladu pobłądzenia, znajdujesz zagubione zagadki,
nie podnosisz nic, pozwól twoim oczom mówić, tak chętnie się gubisz.

Gdy dochodziła dwunasta, wiedziałem zbyt dobrze
że nie wymyślisz już żadnej rymowanki, będziesz czuwać,
przesłaniając krajobraz i zaprosisz mnie.

Postuum z tomu *Verhalen van de zandloper* (Opowiadania z klepsydrą)

Wydawnictwo Kleinoed & Grootzeer, Nederland, 2019

Labirynt

Daje znaki jakiś nie do wytropienia ślad, głupia droga,
która wiedzie wzdłuż śmiertelnie cichego stawu, kroczysz zagubiony,
wahasz się, jeszcze nie wchodzisz we mgłę.

Docierasz strefy zmroku, ornament przeświecającego listowia,
pozorny ruch opryszkowatych zarośli, jakże dźwięczy
modlitwa sów, uchu, podżeganie leśnego chrustu.

Miej się na baczności, punkt zapomnienia zapamięta twój cel
czekaj na światłość, kabalistyczny labirynt rozpoczyna grę
błędnych ogników, pozostań chwilę nieruchomy udając i pomyśl.

Wtedy migocze wysoko północna gwiazda biały błysk
rozdziara wszechświat, świecące języki iluminacji,
trop ich złote znaki aż do tajemnicy.

Przekład z języka niderlandzkiego,
Anna Kwapisiewicz-Sevens



Ostatni pociąg z A.

Niech pieśń nie zapomni też tego chłopca

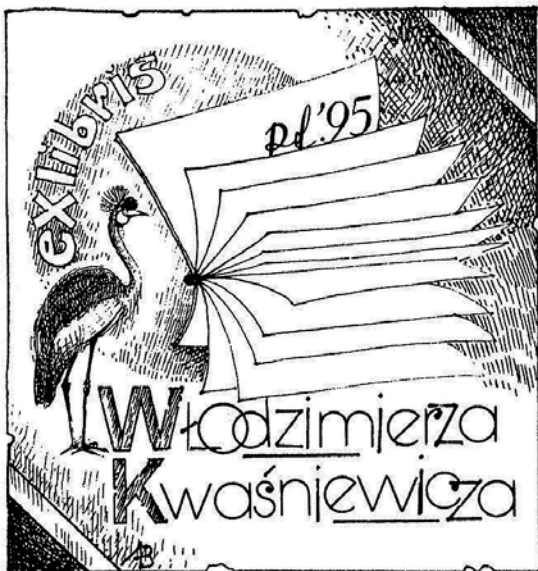
(Z wiersza G. Trakla)

Stoi z teczką
przystrojony ogonem pawia
pod merkuriuszem podróżnych
Punktualny ojciec jarzy się
w oculusie rudego jedwabiu
otula wskazówki
jak szyje kochanek orleańskich
nad schodami z czasów króla L
Trzynastoletni Ali
przemierza drogę do szkoły
w pięć godzin
aktywistka z Aleppo
przemycza drzewko świąteczne
na znak protestu
proponuje zapalniczkę
za sto centów
ukuty antwerpski rap
je m'en fous
je m'en fous
(*nie obchodzi mnie to*)

Lacrimosa

Pokotem
wtopione w sepię somalijskiego piachu
z lotu ptaka przypominają zwierzęta w Lascaux
teraz po mistrzowsku uśmiercone
ręką natury
jakby chciały jeszcze rwać się do biegu
święte ibisy pożerają resztki padlin
wyschnięte rzeki prośby i modlitwy o deszcz
w wykopanym dole namiastka wody
kobiety przychodzą tu jak do areny zwycięstwa
pozostawiając odcisk linii papilarnych kciuka
pojedyncze krople turlają się skwiercząc
na spieczonej grudzie ziemi
w cieniu pod jedynym drzewem wyczekuje
tropiona przez lwy
cisza

w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Włodzimierz Kwaśniewicz

P.f., okazjonalny znak książkowy! Ekslibris (któryś z rzędu) powstał przy kolejnej książce *Od rycerza do wiarusa*, którą ilustrowałam z wielką przyjemnością, ucząc się zarazem nowych znaczeń w obcej mi dziedzinie militariów. Włodek jest niedościgłym znawcą szabli, ciekawie pisze na ten temat. W ekslibrisie, skromnym graficznie, lecz bardzo wymownym, żuraw jest ptakiem Hermesa jako patron piszących, a kartki mówią o bogatym, wielowątkowym wnętrzu właściciela znaku książkowego. Wieoletnia znajomość z Włodziem przerodziła się w przyjaźń. Dzięki niej poszerzyłam swoje horyzonty.



Witold Nowicki

Pamiętajmy, że ogród naprawdę piękny powinien być nieco staroświecki. Powstaje jak poezja. Z talentu, poświęcenia, miłości i troski. Prawdziwy malarz to ten, który zna całą przyrodę. Witek kochał podróże, z których przywoził sadzonki. Jego ogród kwitł o każdej porze roku. Również poezja żyła w nim. Wiedzieliśmy, że pisze wiersze i limeryki okazjonalne. Ekslibris powstał późno, w jego 80. urodziny. Lubiłam jego mentorski sposób bycia. Byłam młodszą koleżanką, z którą chętnie dzielił się spostrzeżeniami.



Marek Przecławski

Rzeźbiarz, kolega z roku. On w pracowni rzeźby, ja w pracowni grafiki, do której przenieśliśmy się po zaliczeniu pierwszego roku na rzeźbie. Przestrzenne widzenie, a może glina i ręce szorstkie po niej skłoniły mnie do zmiany pracowni. Marek wytrwale i dzielnie pracował, doskonaląc warsztat. W Zielonej Górze nasze drogi znów się połączyły. Ma w tym mieście trwałe, ciekawe realizacje rzeźbiarskie.



Prezentacje

Małgorzata Chomont



Fot. Karol Stępkowski

Życiorys liryczny

Dzieciństwo spędziła w Ostrzeszowie. Obecnie mieszka w Warszawie, choć przez wiele lat miejscem jej życia była Zielona Góra. Fotografuje i pisze wiersze z pasji i zamiłowania. Imperatywem jej działań artystycznych jest swoista wrażliwość na otaczający świat i podziw dla otaczającej przyrody.

Zarówno w kadrach, jak i w wierszach zamyka ulotne chwile, tworząc jednocześnie opowieść o życiu.

Jest współtwórcą i członkiem Zielonogórskiego Towarzystwa Fotograficznego. W swoim dorobku artystycznym ma 6 wystaw indywidualnych i ponad 20 zbiorowych. Prowadzi szkolenia, plenery i spotkania o tematyce fotografii krajobrazu. Jej wiersze publikowane były w czasopismach literackich „Pro Libris” i „Akant”. Swoją twórczość prezentuje podczas spotkań poetyckich i fotograficznych.

Zdjęcia wyróżniane są podczas konkursów fotograficznych.

W drodze – Małgorzata Chomont

„Droga snująca się w nieskończoność, raz oblana słońcem, to zaś gubiąca się w cieniach.

Innym razem zwija się beztrąsko, by bez zapowiedzi wyciągnąć się jak kot, który za długo w zwiniętej pozycji leży..”

Tym cytatem z eseju Małgorzaty Chomont, niczym *Alicja w Krainie Czarów*, przechodzimy przez magiczną granicę, nagle znajdując się w świecie przesyconym pięknem krajobrazów i nastrojowych kolorów.

Artystka posiada unikalny dar łączenia różnych dziedzin sztuki. Prowadzi nas tak, że niepostrzeżenie przemierzamy obszary łączące poezję z obrazem.

Dzięki Niej wkraczamy w świat, w którym nawet chmury z Jej zdjęć zdają się tworzyć niepowtarzalny spektakl. Otwierając się ufnie, oddają światło, potrzebne do stworzenia nowego dzieła.

Układając słowa, dokładnie wie, jak poprowadzić naszą wyobraźnię przez meandry bodźców, abyśmy mogli poczuć się częścią świata zatrzymanego migawką i w efekcie zachwycić na zawsze.

Znamiennym jest fakt, iż przechodząc wzdłuż serii zdjęć, nasze oczekiwanie i zaciekawienie intensyfikuje się. Zaspokajane jest na moment, gdy kontemplujemy jedno i wzrasta przed każdym następnym.

Wędrując szlakiem narysowanym przez Autorkę, podziwiamy ulotne chwile, razem z Nią budzimy się światem na wąskiej grani wśród chmur, otula nas mgła, fale Roztocza czy wieczorny blask pełni księżyca, razem z Nią nieustannie znajdujemy się W DRODZE...











Rola milczenia w kinie

Milczenie jest bardzo ważną częścią wypowiedzi. Pozwala zastanowić się nad kolejnym słowem, porządkuje myśli, oddziela kolejne fragmenty wywodu, skupia myśl na słowach bezpośrednio je poprzedzających. Ma także i inne funkcje – często oznacza samotność, niezrozumienie, bierność na otaczający świat, kapitulację, lecz może być także symbolem zachwytu czy fascynacji. Cywilizacja europejska jest cywilizacją słowa. Europejczycy lubują się w kwiecistości języka, w pięknie słowa pisanego czy mówionego. Jednakże już od niepamiętnych czasów ludzkość zauważała niemoc wypowiedzi w konfrontacji ze zjawiskami tajemniczymi, zagadkowymi, niedookreślonymi – takimi jak Bóg, miłość, samotność, poznanie czy śmierć. Przed całym szeregiem fenomenów, których człowiek nie potrafi ani objąć, ani zrozumieć, język nasz kapitułuje, zaprzestając walki o pierwszeństwo w zrozumieniu.

Gdy kapitułuje mowa – pozostaje tylko cichy obraz, jako bezpośredni środek artystycznego wyrazu, który oddziałuje na widza przez swoją nagość.

Wiedzą o tym wytrawni i ambitni reżyserzy, którzy nawiązując do konwencji milczenia, zostawiają pole do opisu dla interpretatorów.

Reżyserem, który bodaj najpełniej rozumiał doniosłość milczenia jako formy wyrazu w kinie, był Szwed Ingmar Bergman. W swoich na wskroś przesyconych poetyką, filozofią i psychologią filmach oddziałuje na wyobraźnię widza poprzez surowy, pełen milczenia i wyzbyty wszelkich zbędności obraz. Jego filmy nie są długimi projekcjami, ale poprzez swoje ciche frazy i leniwe ujęcia zdają się ospale kroczyć w nieskończoność. Nie mają wartkiej akcji czy klarownej puenty – mimo to niosą za sobą zarówno wielość i różnorodność treści, jak i niespotykany

dotąd wachlarz wykładni. Bergman poprzez swoje mozolne i milczące sceny angażuje widza (ale tylko tego maksymalnie skupionego) w swój tok rozumowania i w tajemnicę swojego dzieła.

Jego filmy pozostawiają widzów w nienasyconiu, w niedopowiedzeniu, w ciągłym pragnieniu szukania, badania, analizowania, zobaczenia tych obrazów po raz kolejny. Za każdym bowiem razem, oglądając jego filmy, ich odbiór może być zupełnie inny.

Bergman w swych filmach utożsamia milczenie z brakiem, osamotnieniem, bólem. Milczenie człowieka jest dla niego reakcją na bezsens istnienia lub na ciągle pogarszanie się intelektualnej i kulturowej kondycji świata. Człowiek, mimo że nie chce, musi milczeć – jest to zarówno jego obrona, jak i jedyne racjonalne zachowanie. Jednakże w filmach Bergmana milczy nie tylko człowiek – milczy przede wszystkim Bóg. Jest On ciągle wypatrywany i wyczekiwany przez ludzi. Tęsknią za Nim, pragną Go, nasłuchują choćby najcichszego szeptu, znaku, drobiazgu – na darmo. Bóg wciąż milczy. I to jest dla ludzkości największą bolączką egzystencji.

Temat milczenia i Boga, i człowieka podejmuje Bergman najintensywniej w dwóch filmach, które wchodzi w skład tzw. trylogii pionowej. W *Gościach wieczerzy pańskiej* (1963, I. Bergman) w bardzo obrazowy i minimalistyczny sposób opowiada nam o zagubionym pastorze z małej, rybackiej wioski, który utracił żarliwość wiary, a przez to i chęć do intensywnego przeżywania swego życia. Jego Bóg milczy, zatem pastor nie może odnaleźć sensu w byciu Jego sługą. Nie umie znaleźć ani pocieszenia, ani nadziei – odrzuca kobietę, która go kocha. Nie potrafi pomóc swojemu parafianinowi, który popełnia w końcu samobójstwo. Jego krzyk rozpaczyny ujawnia się w bezsilności wypowiedzi, w biernej zgodzie na rzeczywistość.

Pod koniec filmu jeden z bohaterów wygłasza pastorowi swoje przemyślenia na temat największego cierpienia Chrystusa. Bynajmniej nie uważa on, że fizyczne cierpienie Jezusa było najstraszliwszą karą – było nią dopiero to, co przyszło potem. Niezrozumienie, osamotnienie i milczenie ze strony tych, których nauczał, było dla niego największą bolączką. A najstraszniejsze były chwile na krzyżu,

gdy z całych sił wołał: Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?. Milczenie Boga (Jego Ojca) było największą katorgą dla Jezusa i do tej pory pozostaje największym bólem dla tych, którzy Go wyczekują. Pastor słucha tych słów w bezruchu. Jego milczenie jest tu wyraźnym symbolem akceptacji tych słów. Milczy, bo czuje przed tymi słowami strach. Milczy, bo utożsamia się z nimi. Milczy, bo gdyby mógł, sam powiedziałby to samo.

W *Milczeniu* (1963, I. Bergman) mamy do czynienia z obrazem, w którym o prawdziwej samotności i przejmującym bólu egzystencjalnym się nie mówi, ale milczy. W tym prawie pozbawionym dialogów filmie na pierwszy plan wysuwa się niemoc porozumienia między umierającą kobietą a jej siostrą. Tworzą one bardzo dziwną i niejasną relację. Nie mogą się do siebie zbliżyć nawet w obliczu ciężkiej choroby. Milczą. I właśnie tytułowe milczenie jest najbardziej przejmującym i dramatycznym symbolem tragizmu i apatii. Człowiek milczy, bo nie chce pomóc. Chce zapomnieć, zobojętnieć i wyjechać.

Owa chora kobieta umiera w obecności cudzoziemca, z którym nie umie się porozumieć z trywialnego, można by powiedzieć, powodu – różnorodności języków. Cudzoziemiec chce jej pomóc, chce z nią rozmawiać, ale nie umie (w przeciwieństwie do siostry) – dzieli ich lingwistyczna bariera, która zdaje się być jeszcze jednym zarzutem Bergmana wobec Boga. Dał On ludziom jedyną możliwość porozumienia tylko w tym, co ich uwiera – bo milczenie w każdym języku wygląda tak samo.

Bergman podejmuje temat milczenia jeszcze w kilku filmach. W *Personie* (1966, I. Bergman) główna bohaterka, aktorka, w czasie przedstawienia postanawia zamknąć. Jest to jej desperacka demonstracja bezradności i braku zgody na otaczający świat. W *Źródle* (1960, I. Bergman) mamy do czynienia z obrazem średniowiecznej rodziny. Gdy konserwatywny ojciec odkrywa, że trzech pasterzy przebywających w jego domu (w tym jeden chłopek) to mordercy jego córki, postanawia ich zabić. Nie robi tego jednakże od razu. Przygotowuje się do tej wendetty – dokładnie się myje, ubiera, dobywa noża i cierpliwie czeka przy śpiących postaciach, aż wstanie świt. Nad ranem zdecydowanymi ruchami

zabija ich. W milczeniu. Z zimną krwią. Bez jakiegokolwiek zawahania.

Na tę niespotykaną zbrodnię patrzy w milczeniu i obojętnym zawieszeniu jego żona. Ich milczenia dudnią widzowi w uszach. Milczą, aby nie konfrontować się ze swoimi grzechami. Wybierają samotność. To jest Bergmanowski obraz chrześcijańskiej Europy.

Milczenie nie musi oznaczać tylko negacji, braku czy niespełnienia, chociaż intuicyjnie tylko takie nośniki z nim wiążemy. Może także nieść za sobą symbole pozytywnych idei. Przede wszystkim może przedstawiać miłość – jako uczucie zdematerializowane, altruistyczne, pierwotne. Gdy kochamy prawdziwie, możemy okazać to pięknym słowem „kocham”, lecz możemy także zamilknąć i pozostawić uczucia w jeszcze piękniejszej gestii niedopowiedzenia, w aurze sekretu, znanej tylko zakochanym. Taki właśnie zabieg można zauważyć w filmie *Rzymska opowieść* (1998, B. Bertolucci).

Film opowiada o ekscentrycznym i bogatym pianiście, u którego, w charakterze gosposi, pracuje i mieszka młoda Kenijka, której mąż przed laty został aresztowany. Ów pianista wyznaje swojej służącej miłość, a ta, czy to ze złości, czy rozgoryczenia na świat, krzyczy z ironią, że odwzajemni jego uczucie, gdy ten zwolni z więzienia jej męża. W tym momencie zaczyna się między nimi gra, pełna niejasności i milczenia. Nie rozmawiają ze sobą wcale. Główny bohater po kolei sprzedaje kosztowne wyposażenie swojego mieszkania, wreszcie sprzedaje swój największy skarb – fortepian. Pewnego dnia przychodzi do Kenijki list z zawiadomieniem, że jej mąż jest na wolności i przyjedzie jutro do Rzymu. Ta w milczeniu pisze do wybawcy jej męża list, ale tysiące słów „dziękuję” wyrzuca do kosza. Wreszcie wręcza mu coś zupełnie innego – wyznanie „kocham Cię” – i kładzie się koło niego w łóżku. A gdy rano jej mąż dzwoni do drzwi, ona nie wstaje, tylko nieruchomo leży przy mężczyźnie, który wyrzekł się dla niej wszystkiego.

Bertolucci pokazuje, że prawdziwa miłość rodzi się w milczeniu, nie musi być wielkim wybuchem euforii czy namiętności, nie potrzebuje ekstrawaganryjnych słów – wystarczy w ciszy poświęcić dla niej

wszystko. Główny bohater wyrzekł się dla miłości swojej pasji i swojego talentu (piękna scena, gdy w spokoju, pogodzony z losem, ogląda w małym telewizorze wyścig Formuły 1), ona wyrzekła się dla niego swego męża. Zarówno walka głównego bohatera, jak i budzenie się miłości w młodej Kenijce są milczące. Reżyser mówi nam wszystko, opowiada całą historię z niezwykłą delikatnością, dbając o detale, i mimo że nie używa do przekazania treści prawie w ogóle dialogów – milczenie w tym filmie jest na wskroś zrozumiałe i jednoznaczne. Bertolucci ukazuje, że o wielkiej miłości wcale nie trzeba snuć wielkich epopei, lecz można zamknąć ją w ciszy.

Milczenie często oznacza zachwyt. Milczymy, gdy nie znajdujemy słów, by opisać nasze zdumienie, radość czy fascynację. Pozostaje nam wtedy ciche, a jednak brzmiące w patetyczne słowa, spojrzenie. Taki obraz widzimy w filmie *Ginger i Fred* (1986, F. Fellini). Para podstarzałych tancerzy spotyka się po kilkudziesięciu latach, aby ostatni raz zatańczyć razem przed reflektorami kamer. Ta wieloletnia rozłąka i ponowne spotkanie mogły stać się dla reżysera okazją do ukazania nostalgii i tęsknoty za minionym życiem, za straconą miłością – Fellini jednakże tego nie robi. W bardzo prosty sposób, używając delikatnych metod, ukazuje nam ciągłość życia, a pojawiająca się nostalgia jest stanem równie ekscytującym, jak i przemijającym. W jednej ze scen dawny przyjaciel pary mówi Ginger, że Fred, po ich rozstaniu, załamał się i trafił do szpitala. I właśnie wtedy następuje moment jej milczenia. Milcząco, z wielkim zachwytem i wzruszeniem patrzy na niego – tak jak nie patrzyła nigdy wcześniej i nie popatrzy bodaj nigdy potem. Zdaje sobie wtedy sprawę z faktu, że on ją naprawdę kochał. I w tym milczącym spojrzeniu jest wszystko: i podziękowanie za te wszystkie lata, i fascynacja mężczyzną jej młodości, i samospełnienie się jako kobiety, i wreszcie wymazanie wszelkich jego win i wad. Nie potrzeba by mówiła: kochałam cię, ale nie wiedziałam, że ty też mnie kochasz, może gdybym wiedziała... Wystarczy tylko spojrzenie.

Milczenie daje spokój, ukojenie, czas na odpoczynek. Milczenie może dać początek wielkim zmianom na świecie, może zmienić nas samych. Tak jest w filmie *Postrzyżyny* (1980, J. Menzel). Jest to uro-

cza opowieść o kobiecie, której długie i piękne włosy są największą ozdobą miasteczka. Kobieta, również piękna, jak płochliwa i kapryśna – ścina te legendarne włosy. Gdy zjawia się z nową, krótką fryzurą, jej mąż, na oczach wszystkich swoich współtowarzyszy pracy, wymierza jej karę: zgina ją wpół, podnosi sukienkę i pompką od roweru uderza ją kilka razy w pośladki. Ona przyjmuje tę karę w ciszy i z cierpliwością, lekko uśmiechając się pod koniec i gdy zaczyna zdejmować swoją bieliznę, mąż przestaje, sadza ją na ramie i razem wyjeżdżają, niczym para zakonchanych w sobie czternastolatków. Ta milcząca kara jest zapowiedzią zmian w ich małżeństwie. Jest gwarantem nowego i lepszego życia, zaczyna nowy etap w ich wspólnej podróży. Ona wyznaje mu potem, że jest w ciąży, a on z milczącym uśmiechem niedowierzania i wielkiej radości przytula się do jej brzucha.

Spaleni Słońcem (1994, N. Michałkow) jest malowniczą opowieścią o autentycznej postaci płk. Armii Czerwonej Siergieju Kotowie. Gdy przebywa on ze swą rodziną na letnim wypoczynku nad rzeką, odwiedza ich tajemniczy gość (jak się potem okazuje, były kochanek żony Kotowej) Dmitrij Arsentiew. Zaczyna się sielanka – czas upływa na uśmiechach, zabawach, kąpielach, opowieściach i tańcach. Gdy Dmitrij (w nałożonej dla żartu masce gazowej) zaczyna grać na pianinie kankana, wszyscy podrywają się do tańca. Tylko jedna osoba stojąca na końcu pokoju w milczeniu i surowości przypatruje się twarzy pianisty. Patrzą na siebie nawzajem. W milczeniu. I przy tej skocznej muzyce Jakuba Offenbacha i przy tym ich milczącym, samotnym, niebezpiecznym spojrzeniu, widz odczuwa zapowiadającą grozę i dramat.

Milczenie pośrodku skocznej muzyki. Niczym w słynnej scenie śpiewu młodego nazisty, który podrywa z krzesła wszystkich siedzących w filmie *Kabaret* (1972, B. Fosse). Tylko jeden starszy mężczyzna nie wstaje i milcząco kręci głową. Milczenie jako zapowiedź zbrodni – jako jedyna obrona przed straszną przyszłością.

Pod koniec filmu Michałkova bohaterowie jeszcze raz patrzą na siebie w milczeniu. Lecz już inaczej – bez idyllicznego nastroju wokół – Kotow z obitą

głową i zakrwawionym policzkiem, Dmitrij już jako agent NKWD siedzący na przednim siedzeniu samochodu. Znów jesteśmy świadkami sceny „milczenie kontra milczenie”, lecz są to zupełnie inne milczenia. Pierwsze to milczenie człowieka zdradzonego przez system, który nie oszukał sam siebie, który może podnieść głowę i zamilknąć. Drugie to milczenie człowieka, który wpłątany w oszustwo systemu, w swój bezsensowny los, zamilknąć musi. I decyduje się zamilknąć na zawsze – w swojej napętnionej czerwoną wodą rozczarowania wannie.

Co ma wspólnego erotyka i milczenie? A co ma wspólnego mężczyzna i kobieta? Prawdziwy mężczyzna szuka kobiety, tak samo jak prawdziwa erotyka szuka milczenia. Nie ciszy, ale milczenia. Szuka gestów, mowy ciała, gry namietności, pocałunków, kropli potu, mimowolnych jęków – ale nigdy słów. Prawdziwa aura kochanków jest aurą milczenia.

Reżyserzy głowią się i szukają nowych pomysłów, w jaki sposób poprzez minimalne środki wyrazu, poprzez niedosłowny, acz dosadny obraz, pokazać pełnię seksualnej gry kochanków. I aby pokazać kipiący erotyzm, duszny klimat seksualnej zabawy, brutalność, zwierzęcość, ale i delikatność kochającej się pary, wielu decyduje się na milczący obraz, który oddziałuje na najbardziej pierwotne instynkty widza.

Scena pierwszego erotycznego zbliżenia między parą głównych bohaterów w *Kochanku* (1992, J.J. Annaud) jest sceną milczącą. Przenosimy się do dusznego i ciasnego pokoiku, za ścianą którego słychać uliczny szum. Główny bohater kładzie nagą dziewczynę na łóżku, widzimy jej mimowolne ruchy nogą, jej język porusza się powoli, po cichym zachowaniu wnosimy o wielkiej sile jej charakteru, o jej tęsknocie za bliskością męskiego ciała, ale i o jej wielkiej butności i bezwstydnosci. Nagle mężczyznę zaczynają targać wyrzuty sumienia, oddala się od dziewczyny, a wtedy ona przybliża się i nie patrząc mu w oczy, rozpina mu guziki od koszuli. Następnie kamera wygląda zza okno, tam jasne światło dnia pada na lekko zgarbionego starszego mężczyznę, który siedzi przed drzwiami tego mrocznego i pełnego erotyki pokoju. Życie poza nim toczy się normalnym biegiem, gdy wewnątrz niego króluje niezwykłość. Na-

stępnie znów w milczeniu przenosimy się do ciemnego łóżka. Widzimy parę nagich kochanków w samym środku fizycznej bliskości. Rumiana i spocona dziewczyna lekko dyszy, wbijając swe dłonie w pośladki partnera. Widać, że sprawia jej ból. Każdy kawałek jego ciała fascynuje ją poza granice, o jakich mogłaby przypuszczać. Ich erotyzm trwa.

Jakkolwiek łóżkowa scena w *Kochanku* jest niezwykle zmysłowa, to jednak milczenie w niej jest kwestią wyboru kochanków. Milczenie sprawia im przyjemność, dodaje pikanterii i uczucia tajemniczości.

W filmie *Imię róży* (1986, J.J. Annaud) milczenie podczas fizycznej miłości pary bohaterów jest wymuszone sytuacją. Muszą milczeć, aby się nie ujawnić.

Otóż młody zakonnik i miejscowa wieśniaczka, prostytutka, znajdują się przypadkowo razem w jednej kuchni. On się ukrywa, a ona go zauważa. Przybliża się do niego – chwytą za rękę i ją całuje. Następnie przykładą ją do swoich piersi. Rozbiera się. On zamyka na chwilę oczy w geście żalu, winy za grzech (jest wszak zakonnikiem), ale potem znowu je otwiera, ze zdumieniem, z podziwem, z fascynacją dla nagiego kobiecego ciała, które pierwszy raz przyszło mu oglądać. Na jej twarzy widać dramat nędznego życia. Widać, że czekała na ten moment

wiele lat – aby w końcu móc kochać się z młodym, przystojnym mężczyzną, z przyjemności, z pragnienia ciała, z tęsknoty ducha. Gwałtownie kładzie go na podłogę i rozbiera. I kochają się w ciszy, w pośpiechu. Po wszystkim ona bez słowa wychodzi, zostawiając serce wołu, którym inny zakonnik zapłacił za jej usługi – wszak otrzymała już najpiękniejszą i długo wyczekiwaną zapłatę.

Milczenie jest tu objawem zdumienia. Z jednej strony zakonnika, że mógł przeżyć coś tak tajemniczego i niesamowitego, z drugiej strony dziewczyny, która długo tęskniła za taką chwilą.

Milczenie jest tu także symbolem grzechu. Zakonnik wie, że grzeszy, ale nie chce przestać. Owa dziewczyna pociąga go tak mocno, że nie może wydobyć z siebie słowa negacji. To także symbol sekretu, który nigdy wyjść na jaw nie może. Sekretu kochanków. Sekretu zakochanych.

Milczenie jest niejako parabolą ludzkiej egzystencji, w której człowiek, aby być naprawdę człowiekiem, niejednokrotnie musi wyzbyć się rozumu, musi przekreślić kanon etyki i tradycji.

Człowiek wypowiadając słowo, wypowiada je rozmyślnie – w zgodzie z rozumem. Gdy milczy, jego umysł zastyga, a milczy duch.



Literacki supermarket

Namiet utworzony z cienkiej kołdry w kolorowe misie, podpora z mojej głowy i jedenastoletnia ja – widoczna przez światło trzymanej przeze mnie pod przykryciem latarki.

Taki właśnie widok zastał mój tata, gdy w środku nocy, krótko po godzinie trzeciej zajrzał kontrolnie do mojego pokoju. Nie wiem, co spodziewał się zobaczyć, ale gdy odkrył moją głowę i ujrzał swoją córkę pochyloną nad *Morderstwem w Orient Expressie*, powiedział tylko, żebym zapaliła normalne światło, bo inaczej popsuję sobie wzrok. Nie kazał mi kończyć, nie polecił położyć się spać. Uśmiechnął się tylko, zdjął ze mnie kołdrę i wychodząc z pokoju, włączył lampę sufitową.

Z perspektywy czasu mogę śmiało powiedzieć: nie było to zachowanie pożądane wychowawczo, ale przyniosło jeden znamienny w moim życiu skutek – pokochałam książki. A wraz z miłością do dzieł innych autorów, przyszło marzenie, że i moje słowa ktoś kiedyś pokocha.

Stoję w kolejce do kasy w supermarkecie, na taśmę wykładam mleko, pomidory, chleb i *Grę Geralda* Stephena Kinga. Patrzę, jak kasjerka bierze książkę w dłoń, skanuje kod kreskowy i bezceremonialnie rzuca na drugą stronę lady, zgniatając przy tym jeden z pomidorów.

Odliczam w portfelu trzydzieści dwa pięćdziesiąt, a przez moją głowę przemyka kilka pytań: jak to się stało, że książki leżą tuż obok smalcu, puszek z tuńczykiem, plastikowych sztućców? Kiedy literatura stała się towarem tak powszechnym i banalnym jak ryż, marchewka, buraki? Czy literatura popularna to zawsze literatura banalna, powszechna? A jeśli tak, to czy jest nam potrzebna? A jeśli nie, to co robi tuż obok podstawek pod naczynia i czajników?

Biorę paragon i wiem, że przecież tak było zawsze.

Wracając do domu, mijam stoisko przy drodze, takie, jakich wciąż pełno na miejskich ryneczkach. Dwa stoły pełne zawilgoconych książek z pożółkłymi stronami – romanse, kryminały, sensacja. Wszystko, czego zechcesz. Obok powieści historyczne, fantasy i popularnonaukowe. Gdzieś z boku kilka nowości, książki obyczajowe i thrillery. I wokół stołu wszyscy – elegancki pan w średnim wieku, nastolatka w podartych spodniach i przykrótkim podkoszulku, starsza pani z wnukiem, który pewnie niedawno rozpoczął pierwszą klasę podstawówki. Młoda kobieta z dużą torbą podróżną. Dwóch studentów dyskutujących nad jedną z książek historycznych. Mężczyzna w garniturze, który pewnie przystanął na moment w drodze na obiad. I ja.

Stoję tam, gdzie leżą nowości, ale zamiast oglądać okładki, oglądam, po jakie tytuły sięgają inni. Widzę, jak każdy chodzi wzdłuż dwóch drewnianych blatów, szukając tego jednego wybranego tomu, który w któryś (może nawet ten?) wieczór służyć im będzie jako rozrywka, alternatywa dla telewizji.

Gdy odchodzę, kontynuując powrót do domu, dostrzegam kątem oka, że niemal każdy trzyma już jakąś książkę w ręku. Nie ogląda jej już, czeka na swoją kolej do płacenia lub szuka wzrokiem czegoś jeszcze.

Literatura jest popularna – tak mówi stoisko z książkami w supermarkecie, tak mówi księgarnia nęcąca kolorowymi okładkami w witrynie, tak mówią krzykliwe czerwone napisy: „BESTSELLER 2018”, „Tę książkę przeczytały już miliony!”, „Najlepiej sprzedająca się książka 2018 roku!”.

Jestem w domu. Siadam w fotelu i biorę się za kolejną lekturę. Książka zgarnięta za kilka złotych z mijanego wcześniej stoiska. Czytam, a z każdą kolejną stroną mam wrażenie, że takich książek przeczytałam już dziesiątki. Mój tata powiedziałby, że to durne romansidło, ale moją mamę wciągnęłaby, tak że połknęłaby ją w jeden wieczór, a później sięgnęła po kolejną z tej samej serii. Po całym dniu w pracy to ją odpręży: krótka nieskomplikowana historia, banalna intryga i schematyczni bohaterowie. Lektura niewymagająca, lekka i dla niej przyjemna.

Kończę tę książkę i nie zostaje w mojej głowie nic. Nie ma żadnej refleksji, żadnego pytania, które zostałoby ze mną po lekturze. Czy to jest właśnie literatura popularna? Coś tak banalnego, że po jednym dniu zapominasz? Coś tak nieoryginalnego, że próbując przypomnieć sobie fabułę jednej z książek, przypomina ci się dziesięć podobnych?

Czy da się pisać dla tłumów, dla pieniędzy i nie wyzbyć się oryginalności? Kiedyś przeczytałam, że autor musi mieć coś do powiedzenia. Pierwszym pytaniem, które pisarz powinien sobie zadać, nie jest wcale „dla kogo piszę?”, ale „co chcę powiedzieć?”. Ale czy to dotyczy również literatury popularnej, dla której ważne są przede wszystkim wyniki sprzedażowe? I czy każda historia musi mieć morał lub przesłanie?

I czy każdy pisarz to artysta?

Nie, nie i nie. Literatura popularna to towar, ale towar pożądany i potrzebny. Jak chleb, jak jajka, jak mleko. To czekolada, ale rozpuszcza nam się nie na języku, tylko w głowie. Pisarze stają się rzemieślnikami i tworzą kolejne tabliczki tej duchowej słodyczy, która tak ma przecież działać – zaspokajać nasz głód. Głód przygód przez powieści przygodowe, głód adrenaliny przez horrory, głód wzruszeń przez romanse.

Książka to towar, a pisarz literatury popularnej staje się biznesmenem. Jak menedżer firmy określa

swojego wirtualnego odbiorcę, skalę zasięgu. Sprawdzaj, co się w danym momencie „zre”, co jest popularne i co przyciągnie do niego tłumy. A później pisze, wykorzystując cały swój warsztat, tworząc w efekcie coś, co dla wielu będzie dziełem na miarę Dantego, a dla innych kolejnym grafomaństwem marującym papier.

I wszyscy oni mogą mieć rację. Książka to towar i nie każda przyciągnie tych samych klientów. Nie takie ma zresztą zadanie. Ma służyć wszystkim tym, którzy mają ochotę po nią sięgnąć, ma być atrakcyjna dla konkretnej, ale jak najliczniejszej grupy. Ma zachęcać do sięgnięcia po następne, uzależniać od lekkiej, ale wzbudzającej określone emocje lektury.

Nie oznacza to jednak, że literatura popularna musi być banalna i nieoryginalna. Nie oznacza to, że w jej tworzeniu jest coś złego, uwłaczającego autorowi. Pisanie literatury popularnej to sztuka przemawiania do mas, to swoista mieszanka szczęścia, warsztatu i pomysłu. Występująca w różnych proporcjach i konfiguracjach, ale niezbędna, bo trzeba mieć warsztat, by coś napisać; pomysł, by mieć co opowiedzieć; szczęście, by zostać wybranym przez czytelnika.

Czytelnik tworzy pisarza literatury popularnej. To on wybiera i decyduje. Rynek jest tak rozległy, a powieści tak wiele, że to, kto utrzyma się na powierzchni, szybko zostaje sprawdzone. I czy to kwestia szczęścia czy talentu, dobrego pomysłu czy wypracowanego warsztatu – to i tak zweryfikuje czytelnik.

A ty jako autor tylko czekasz, aż i na twoją okładkę przyczepią czerwony napis „BESTSELLER”.

Po całym męczącym dniu zapalam lampkę, kładę na stoliku obok gorącą herbatę i otwieram *Morderstwo w Orient Expressie*. Literatura popularna jest potrzebna. Nie tylko na takie mroźne zimowe wieczory.

Marta Motyl

– pełna paleta emocji



Z Martą Motyl rozmawia Patrycja Żejmo

Kiedy pierwszy raz spotkałam Martę Motyl podczas premiery *Kolekcjonerki* w Łodzi, pomyślałam o tym, jak to jest możliwe, że ta filigranowa kobieta ma tak niezachwiany światopogląd. Nie zważa na komercyjny rynek, pisze z potrzeby przełamywania tabu, tworząc historie niezwykle i zapadające w duszę. Książki, które wzbudzają kontrowersje, koło których nie można przejść obojętnie.

Postanowiłam więc zapytać o wszystko, co nie dawało mi spokoju.

Patrycja Żejmo: Marto! Piszesz powieści kontrowersyjne i bezkompromisowe, jednocześnie zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Swoją pierwszą powieść *KochAna. W pułapce anoreksji i bulimii* wydałaś w 2012 roku. Porusza tematykę zaburzeń, które niestety w społeczeństwie są uważane za tematy tabu. Skąd w młodej kobiecie potrzeba mówienia o rzeczach tak trudnych?

Marta Motyl: Interesują mnie zawilości psychiki. Cenię dzieła, które właśnie przełamują tabu. Są śmiałe nie w sensie prowokacji dla samej prowokacji, ale w takim sensie, że wydobywają określone tematy na światło dzienne. Dzięki temu odbiorca może poszerzyć punkt widzenia i pogłębić wrażliwość, zdobyć nowe wrażenia i wzruszenia. Sama chciałam tworzyć w tym duchu. Bardzo podziwiam twórczość i charyzmę Tadeusza Kantora, malarza i reżysera. W swoich pismach wspomina, że to, co najszybsze w człowieku, ma w sobie najwyższą wartość. Jednak dla zewnętrznego świata często to jest śmieszne, małe, biedne. Kantor uważa, że kiedy sztuka tę



specyficzną biedę upublicznia, bieda rośnie i rządzi. Według niego na tym polega rola sztuki. Zgadzam się z nim, a ten postulat staram się realizować na gruncie prozy. Czyli przeświecać i opisywać rzeczy najintymniejsze, często najtrudniejsze, rzecz jasna po przeprowadzeniu odpowiedniego researchu.

Sama cierpiałam na zaburzenia odżywiania, jednak *KochAna...* nie jest moim pamiętnikiem. Własne przeżycia stały się wyłącznie rodzajem inspiracji. Okazało się, że duża część czytelniczek bardzo mocno utożsamia się z Alicją, główną bohaterką *Kochanej*.. Ona zwierzała się z tego, do czego one się nie przyznawały, czasami nawet przed sobą. Nie spodziewałam się poczucia wspólnoty, które nastąpiło, ponieważ pisząc, miałam Alicję za outsiderkę. Reakcja czytelniczek na mój debiut również spowodowała, że w następnych książkach nie zamierzałam spuszczać z tonu.



PŻ: Na swoim blogu piszesz: „Na pierwszym planie stawiam odwagę, emocje i zmysły. Odzwierciedlam ich jasne i ciemne strony w plastycznych opisach”. Opisy w twoich książkach są wręcz teatralne, tworzysz sceny, z całą ich scenografią, a nie tylko sytuacje. Czy pomaga ci w tym twoje wykształcenie? Jesteś historyczką sztuki, szukasz w niej inspiracji do swoich książek?

MM: Oczywiście. Poza teatrem inspiruję się malarstwem, grafiką, rysunkiem, fotografią, performansem. Dzięki studiom z historii sztuki analizuję obrazy, czasami

całą twórczość danego artysty. To przekłada się na moje książki, pełne obrazów właśnie, tyle że malowanych słowem.

Kiedy piszę, dzieła, które już znam, przychodzą do mnie same, jako pomysły czy skojarzenia. Umieszczam je bezpośrednio w tekście bądź czerpię z nich elementy, przetwarzam je na własne potrzeby. Do każdej powieści zbieram m.in. materiał wizualny, podporządkowany rozdziałom czy poszczególnym scenom. Są to zarówno dzieła znane z historii sztuki, jak i ze sztuki współczesnej czy popkultury. Poza tym różni twórcy, różnych dziedzin, kreujący wyjątkowe światy, przekraczający granice, ośmielali mnie i mobilizowali do pracy nad własnym rozpoznawalnym stylem.

PŻ: „Moja orientacja nie była łaską – w połączeniu z taką osobowością, temperamentem i pomysłami stanowiła ładunek wybuchowy”. To cytat z głównej bohaterki – Magdy – o której losach opowiada twoja trylogia. Stworzyłaś kobietę, która wchodzi w skrajne relacje – wiąże się z młodymi dziewczynami, lolitami, by za chwilę uciec w zupełnie odmienną stronę – do mężczyzn brutalni. Dlaczego?



MM: *Moc granatu*, z której pochodzi ten cytat, miała być moją odpowiedzią na motyw lolity w kulturze. W stosunku do wcześniejszych *Odcieni czerwieni* pogłębiłam ten wątek. Pragnęłam ukazać wieloznaczność lolity (inaczej nimfetki). Moje powieściowe nimfetki nie dają się ustawić pod cudze pragnienia. W pewnym momencie ich słodycz przeradza się w gorycz, nawet w truciznę.

Następuje także przetasowanie ról i Magda staje się rodzajem lolitki, „zawodowo”. Najpierw jako hostessa w supermarkecie, później w relacji ze sponsorem. Musi zawsze być urocza i usługująca albo taką uda-

wać. Bohaterka gra lólitkę z premedytacją i z przerysowaniem, pod cudze wyobrażenia i potrzeby. Blisko jej wtedy do... mięsa. Jako hostessa rozdaje czekoladki w pobliżu stoiska z mięsem, a w łóžku czuje się jak rodzaj mięsa, które jej sponsor „obrabia i obraca”, jak sama opowiada. Wreszcie odkrywa, że nimfettką była właściwie od dzieciństwa. Czyli odkąd przymusowo miała nią być dla własnego ojca i dla jego kolegów, na ich pijackich imprezach. To się na niej odbiło. Przyznaje, że sama istniała we wszystkich lólitkach, które uwielbiała. Po tym odkryciu lólicy czar pryska. Dodam, że lólicie partnerki mojej bohaterki ukończyły 16 lat.

A skąd brutale? Osoba poraniona przez różne przeżycia, tak jak Magda, a także poraniona przez samą siebie, często ma skłonność do pakowania się w toksyczne związki. Krzywda rodzi krzywdę. Stąd Magda przyciąga brutalni jak lampa čmy. Kiedy zauroczenie przeradza się w cierpienie, bohaterka jeszcze łudzi się, że brutal się zmieni. A jej poświęcenie zostanie wynagrodzone. Pragnę przestrzec przed podobną naiwnością, która w efekcie rodzi ogromny ból. Kultura, w tym literatura obyczajowa, erotyczna, niestety uparcie opowiada bajeczki o cudownej przemianie brutalni. To mnie nie wzrusza, a budzi mój sprzeciw. Dlatego że później część kobiet uważa, że taka powtarzana bajeczka spełni się w ich życiu. Kobieta nie odchodzi od przemocowca, bo przecież „on się zmieni”.

Według mnie nie istnieje aż tak wielki kontrast między lólitką a brutalni. W moich książkach lólitki okazują się nie raz i nie dwa brutalne, pod względem psychologicznym. Chciałam więc obalić i romantyczny mit nimfettki, i romantyczny mit brutalni.



PŻ: 8 maja, miała premierę ostatnia część trylogii *Kolekcjonerka*. Zmieniło się wydawnictwo, zmieniła się szata graficzna. Po *Odcieniach czerwieni* i *Mocy granatu* myślę, że wszyscy spodziewali się kolejnych kolorów w tytule. Razem z całą resztą zmieniły się relacje Magdy, szczególnie jej związki. Czy to znaczy, że twoja bohaterka zrozumiała samą siebie i swoje potrzeby? I jak ma się do niej samej tytuł – *Kolekcjonerka*?

MM: Magda na swój sposób dojrzewa, ponieważ porzuca i lólitki, i brutalni. Po pierwsze, dokładnie wie, jacy są i co się z nimi wiąże. Chce unikać toksycznych zwią-

ków jak ognia, rozpoznając swoją skłonność do nich. Po drugie, potrzebuje nowości. Wszak jest kolekcjonerką, zbierającą coraz to nowe obrazy (w sensie chłonięcia różnego rodzaju widoków), znajomości i doświadczenia. Tytuł ujmuje sedno postaci, jej duszę. Jednocześnie w najnowszej książce Magda coraz bardziej odsuwa się od autodestrukcji. Odnajduje bezpieczne pole do aktorskiego popisu i do gromadzenia wrażeń, pozując do nietypowych fotografii. Wiele doznań nieodmiennie daje jej sztuka. Bohaterka staje się gotowa również w swoim życiu na coś nowego, lepszego, co nie będzie jej niszczyć. Z tym ją zostawiam.

Pragnę podkreślić, że wszystkie książki o Magdzie można czytać w dowolnej kolejności, ponieważ w taki sposób je konstruowałam.

Patrycyjo, dziękuję ci za interesujące pytania, które pozwoliły uchylić rąbka warsztatowej tajemnicy.

PŻ: Marto, dziękuję ci za każdą poświęconą chwilę oraz za kolaże, które są twoim dziełem!

RECENZJE I OMÓWIENIA



Mój eden Chwalim

Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica. Cierpkie grona*, Książnica, wyd. Publicat, Poznań – Wrocław 2017, 496 s.

Aż trudno uwierzyć, że jest to powieściowy debiut Zofii Mąkosi, emerytowanej nauczycielki historii i wiedzy o społeczeństwie (wcześniej publikowała opowiadania). Ale jakże wybitny to debiut – za tę książkę autorka została w 2017 roku wyróżniona Lubuskim Wawrzynem Literackim. Warsztat historyka (autorka wymienia w posłowniu wykorzystane przez nią źródła oraz przekazy ustne) okazał się mocnym filarem *Cierpkich gron*.

Akcja tego pierwszego tomu trylogii *Wendyjska winnica* rozgrywa się krótko przed drugą wojną światową oraz podczas niej wśród mieszkańców wsi Chwalim w gminie Kargowa. Powieść jest pięknym i pełnym emocji hołdem autorki dla jej „małej ojczyzny”, w której spędziła trzynaście ważnych w życiu młodościowych lat. „Chwalim to był mój eden”, wspomina w wywiadzie Zofia Mąkosa¹. Jednak w czasie, gdy toczy się akcja jej powieści, rajskiej atmosfery z pewnością tam nie było. Rozgrywało się tam wiele dramatów, nie tylko uczuciowych, intymnych, gdy w grę wchodziły porywy serca. Przede wszystkim również takich, gdzie do życia bezlitośnie i brutalnie wkracza historia, pozbawiając ludzi materialne-

go dobytku, marzeń, przyszłości i człowieczeństwa.

Chwalim nie jest tylko jedną z wielu wiosek w obecnym powiecie zielonogórskim. A to za sprawą mieszkańców, którymi byli Wendowie – ciekawie sportretowani w powieści. Uchodzili za Słowian pochodzących od Serbów Łużyckich, jednak ich pochodzenie do dzisiaj nie jest do końca ustalone. Posługiwali się dialektem – pięknie rozbrzmiewa on na kartach *Cierpkich gron*. Wyznaniowo, jako luteranom, bliżej było im do Niemców, ale z kolei wywodzący się ze słowiańszczyzny język sprawiał, że łatwiej było nawiązać kontakt z Polakami. Dlatego też z miejscową ludnością nie integrowali się, żyjąc w swoistej enklawie. Chwalim stanowił więc pogranicze o wielu wymiarach: geograficznym (w latach międzywojennych przechodziła niedaleko granica niemiecko-polska), narodowościowym (symbolem tego w powieści jest więź między Martą i Janką), językowym, kulturowym oraz wyznaniowym. Przywracanie, a nawet poszerzanie pamięci o tej zróżnicowanej przeszłości naszego regionu i spopularyzowanie jej w formie tak poczytnej powieści to bodaj największe dokonanie Zofii Mąkosi. Kształtuje to głęboki emocjonal-

¹ Wywiad Artura Łukasiewicza z Zofią Mąkosą, „Wysokie Obcasy” 9 marca 2019, dostęp: <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,53662,24514750,zofia-makosa-pisarka-z-pogranicza.html> [odczyt: 20 sierpnia 2019].

ny stosunek obecnych mieszkańców naszego regionu do miejsca swojego zamieszkania, wzmacniając ich więzi z małą ojczyzną. To bezcenna dla wszystkich „lekcja lokalności”, dająca ludziom wywodzącym się z tego obszaru cenną świadomość zakorzenienia i łączności z przeszłością, pozwalająca im ją także zaakceptować. Ze względu na skomplikowane „wichry historii” po drugiej wojnie światowej, o których nie zawsze można było lub nie chiano mówić, to poczucie tożsamości nie zawsze było tak silne, jak w przypadku mieszkańców innych regionów Polski.

Cierpkie grona nie jest jednak w żadnym stopniu hermetyczną książką wyłącznie dla czytelników zainteresowanych historią naszego regionu. To także dobrze napisana i skonstruowana powieść, po którą można sięgnąć w poszukiwaniu dobrej literatury historyczno-obyczajowej (i nie zawieść się). Kryje się tu wiele tematów i wątków, niejedna trafna obserwacja ludzkiej natury czy życiowa mądrość. Autorka nawiązuje tu do nurtu tzw. małego realizmu, stawiającego na opis codziennych realiów życia ludzi, przeciętnych zjawisk, postaci i sytuacji. Przeciętna (lecz tylko z pozoru) jest główna bohaterka Marta wywodząca się z wendyjskiej rodziny, obdarzona zdrowym rozsądkiem i oddana systematycznej pracy w swoim gospodarstwie i winnicy, pracy świetnie i barwnie na kartach książki opisaney. Przyroda w *Cierpkich gronach* jest zresztą piękna, żywa i rzeczywiście rajska. Życie i prace w gospodarstwie upływają zgodnie z rytmem pór roku.

Lecz Zofia Mąkosza znacznie poza mały realizm wykracza. Nie mogłoby być inaczej. Piszcie przecież o czasach i tych wydarzeniach w historii, przed którymi nikt bez wyjątku nie mógł uciec w prywatność, wyłączyć się, wyemigrować wewnętrznie, ogłosić: bieżąca polityka mnie nie interesuje. Zwraca uwagę to, jak przedstawiona jest zbiorowość Chwalimia, jak wysoka jest tam społeczna kontrola, nie tylko ta dotycząca zachowań oraz obyczajów, ale też narzucająca do wykonania obowiązki (na chwałę Rzeszy) i formująca myślenie. Presja panowała w miejscu zamieszkania i w pracy. Mąż Marty, Walter, to niemiecki urzędnik, „trybik w maszynie” napędzającej hitlerowski faszizm, który łamał ludziom moralne kręgosłupy, odczułowieczał i rozdawał świadomość. Przy-

kład Waltera pokazuje, że jest to także system bezlitośnie wykorzystujący słabość człowieka przeciwko niemu samemu.

Na silną kobietę wychowywana jest za to przez faszystowski system Matylda, córka Marty i Waltera. Znajdziemy w powieści dokładny (i przy tym przerażający) obraz wpływania na młode umysły, kształtowania ich światopoglądu w duchu faszyzmu. Szkoła, indoktrynujące zajęcia pozaszkolne, wpływ rówieśników i zaangażowanych dorosłych – wszystko staje się okrutnym narzędziem w walce o rząd dusz. Czy już zapomnieliśmy, dokąd to prowadzi? Wystarczy przyjrzeć się postaci Karla oraz koleżanki Marty – Bettiny – i „karierze”, jaką zrobiła. Później możemy już tylko snuć bezsilne refleksje o „baldności zła”, wyrządzanego rękami naszych sąsiadów, członków rodzin, znajomych...

Za ponowne przypomnienie i zdemaskowanie tego podstępного i, niestety, uniwersalnego mechanizmu, należą się autorce wyrazy uznania. Tym bardziej, że nabiera on w naszych czasach szczególnego wydźwięku. Ważny jest w powieści także wątek Ewy, zamieszkałej w Berlinie szwagierki Waltera. Ewa jest Żydówką, a jej dzieci – w myśl uchwalonych ustaw norymberskich – „mieszkańcami pierwszego stopnia”. Dramat jej i jej dwóch synów pokazany został z panoramicznym rozmachem. Widać tu kobietę zaszczuwaną stopniowo, pozbawianą pracy, mieszkania, kontaktu z dziećmi, możliwości poruszania się środkami komunikacji. Takie są skutki wykluczania Innego ze społeczności, w której żyjemy. Na początku tego procesu, gdy chodzi jeszcze „tylko” o etap przemocy symbolicznej, odczułowieczania i propagandy, nie zawsze widać jego nieuchronne tragiczne zakończenie.

Cierpkie grona, pierwszy tom cyklu *Wendyjska winnica* Zofii Mąkosy, wpisując się w kanon naszej literatury regionalnej, skłania do przemyśleń o historii, tożsamości, a nawet kształtowaniu przyszłości naszej „małej ojczyzny” w duchu dialogu i otwartości, bez przemilczania spraw trudnych. Powieść ta jednocześnie mocno poza ten kanon wykracza ze względu na szereg obecnych w niej wątków i tematów uniwersalnych. Odwołują się one do tego, co – jak pisał Joseph Conrad – „przemawia do na-

szej zdolności doświadczania zachwyty i podziwu, do wyczucia tajemnicy otaczającej życie, do nasze- go poczucia litości, piękna i bólu, do utajonej łącz- ności z całym światem – i do subtelnego, ale niezwy- cieżonego przeświadczenia o solidarności, które ze- spala w jedno samotność nieprzeliczonych serc ludz-

kich, do wspólnoty w marzeniach, radościach, tro- skach, dążeniach, złudzeniach, nadziei, lęku, któ- ry wiąże człowieka z człowiekiem, która łączy całą ludzkość – umarłych z żywymi, a żywych z jeszcze nie narodzonymi”².

Joanna Kapica-Curzytek

Pocztówka z oddziału onkologii psychicznej

Robert Rudiak, *Gehenna*, Sowell, Rzeszów 2017, s. 178.

Dawno nie miałam w ręku zbioru wierszy tak do szpi- ku kości mi bliskich. Tak wielostronnych. I wolnych od poetyckiej rekwizytorni – a zarazem pod wieloma względami podobnych surrealizmowi. Aż mnie korci porównać *Gehennę* Roberta Rudiaka do Lalki Hansa Bellmera – instalacji, jaką patrzący może sobie do- wolnie składać, z brzucha, twarzy, nóżek w białych skarpetkach, pończochach i podkolanówkach, z ob- fitych piersi i pośladków, i uprawiać taką grę szkla- nych paciorków, mieszać sekwencje, nazywać mózg Gębą albo Pupą, i przemierzać ciemności serca jak kanał niekończącej się Waginy. Z przyjemnością lub konsternacją. Rzecz w tym, że w każdym elemen- cie-paciorku (Lalki bądź przywołanej postaci, nawet ewangelicznej) układu do składania, jaki tworzy ten tomik, niczym w lustrze, wraz z autorem też będzie- my odbijać się, odzwierciedlać.

Nawet wizualnie poszczególne wiersze-paciorki ułożone są w schodki, jedno w górę, a inne doni- kąd. Rudiak przemierza je w skupieniu, aby znienac- ka przeskoczyć na jakąś oddzielną platformę. Uwal- nia wszystkie czasy kulturowej świadomości i wraz z nimi uwalnia mity, jakimi polska psychika musi się opasywać i dusić. Autorowi przyszło żyć w okresie twarzenia płytek należących do *sacrum*. Wpierw miękkie, uwodzicielsko elastyczne, przezroczyste, mogące zdobić myśli i postępy, stanowiące kontra- punkt dla intelektualnej pustki PRL-owskiego apa-

ratczyka, mętniały i, jak mówię, twarzenia w ja- kieś gliniane tabliczki, które byle ruch nieostrożny, a pękają, kruszą się i kaleczą. Jeśli psychika ludzka ma w sobie coś z Lalki Bellmera, to zaczyna być po- krwawiona, natomiast gładziutka jej skóra pełna za- dziorów i drapiąca.

Bo zestawienie wizyjności Lalki Bellmera z kory- tarzem na onkologii, pełnym starych ludzi, wystra- szonych i zrezygnowanych, z autoportretami Juda- sza, Kajfasza, Niewiernego Tomasza Apostoła, z „ko- cham cię” z ust jasnej jak stępy sowieckiej prostytutki, ze świętym obrazkiem u matki, zbliżeniami z zako- chaną małolatką, jest genialne. Jest Bellmerowskie. Tu wyjaśnię swoje przejęcie: w jakimś sensie przy- czyniłam się do wydobycia Hansa Bellmera z nico- ści, przywrócenia go naszej wyobraźni. Dodawa- łam mianowicie ducha tłumaczowi *Małej anatomii obrazu*, Janowi Kłoczowskiemu, jeszcze w Amery- ce. W fazie jego dezorientacji. I później w Katowi- cach, w fazie, kiedy ważyło się to, czy miasto ma- cierzyste Bellmera, oczywiście Niemca, oczywiście okrzykniętego (nawet na Zachodzie) pornosurre- alistą (nawet po prostu – pornografem), zintegro- je się z tym swoim synem marnotrawnym a jednym z najciekawszych artystów XX wieku. To dotyczyło trudnych złogów kultury – poczynając od „polsko- ści Śląska” w propagandowej tubie, a kończąc na wieloznacznym w Katowicach pogłosie wyrazu *un-*

² Cyt. za: R. Kapusiński, *Ten Inny*, Kraków 2007, s. 76.

derground. Termin pobrzmiewał kontrkulturą, buntem, naruszaniem szacownych tradycji zdegenerowaną sztuką Entartete Kunst, ale i odgłosami górniczego kilofa pod ziemią. Czasami nagłym tąpnięciem, przy jakim kołyszą się wieżowce, a w przedwojennych domach białe obrusy na stole czernieją od strzepniętej z sufitu sadzy. Rzecz da się ująć niedużym wierszem Rudiaka *Nekropolia*: dom artysty, dokąd zagląda wiele kobiet i do rana pali się światło, i skąd wychodzi się nocą do sklepu, „pisze, pije i gada z duchami”, gdzie: „życie przemienia się w gehennę, mieszkanie w trumnę/ a szary blok w sarkofag albo właściwie w mauzoleum”.

Robert Rudiak spina zatem w jakąś chimeryczną, acz logiczną całość te wszystkie wątki. Mit Solidarności z Kajfaszem. Strach starego syna (ten przymiotnik oddaje sedno) na myśl, że stara matka odchodzi, pogłos wstrząsającego *Hallelujah* Leonarda Cohena, inne melodie piosenek-przebojów, Mozarta perlistą *Eine kleine Nachtmusik* i malującą ją Dorotheę Tanning, Lalkę i pół morskie, pół księżycowe krajobrazy z tańcem amorficznych postaci Yvesa Tanguy, marynarza ze statków handlowych, który ujrzawszy wystawę Giorgio de Chirico, chwycił za pędzel, by zachwycić Maxa Ernsta. Dla Rudiaka muzyka wydaje się być membraną egzystencji. Poeta sam wyzwala rytmy, napięcia – jego strofika i rozkład akcentów pojęciowych, puent emocjonalnych, w połączeniu z przywołaniami muzyki tła, mogącej zabrzmieć czytelnikowi w uchu, dała w *Gehennie* znakomity efekt. I może właśnie od tej strony – podejrzewam – zaczyna być fascynujące jego zlanie cyganerii surrealistów lat przed- i powojennych z kosmosem ukrytym niejako za obrazami, z tytu płócien, czyli nędzy, czyli zlanej z mądrością głupoty u ludzi rozpaczliwie odważnych w swojej wewnętrznej wojnie. Wojnie z biernymi rodzicami, sąsiadami, wychowawcami, sklepikarzami czasu, kiedy totalitaryzm wydawał się jeszcze niewinny, ba – zbawienny moralnie. Pokolenie Bachelarda, Benjamina, Foucaulta, Bellmera i jego przyjaciela do końca, do samobójstwa w 1970, Maxa Ernsta, męża Dorothei Tanning, a znajomego Henryka Wańka, którego Bellmer wyścisnął jako katowiczana na całe lata przed swoim katowicko-polskim przebudzeniem, to artystom stro-

niący od szaleństwa w jego rozumieniu przez romantyków. Rudiak jest ich bliską duszą: chce widzieć do bólu, słyszeć do bólu. Ma poczucie, że to wszystko zostało mu zagłuszone chichotem historii, płynącym z polskich ambon, tej kliwej a bezgranicznej trybuny, skąd dla tłumnego audytorium wyjście na wolność jest jedno, przez drzwi, a potem korytarze szpitalne jedne, drugie, aż do tego na samym końcu, tego z siedzącymi w kolejce wczesnym rankiem, aby oddać krew do analizy przed rentgenem, czy nie ma przerzutów i czy nie oznacza to pakowania się już do hospicjum.

Rudiak o muzyczności mógłby powiedzieć, że towarzyszy poezji od początku nie dlatego, że ją śpiewano – ale dlatego, że pewne idee, pewne konkluzje i nazwania po imieniu rezonują falami, jakie, owszem, bada akustyka. Te idee uruchamiają pokrewne fale w obrazach. Obrazy były pierwotnie abstrakcyjne; były ideogramami. Stwierdziwszy, że nic tak po prawdzie nie rozumiemy ze świata, a przynajmniej my, ludzie Zachodu, tym bardziej w Polsce jako kraju zachodnim, intuicyjnie powracamy do falistej dekoracji bumerangu, do jajownicy z wazy, sprowadzamy swoją rozpaczliwą maź pojęciową do form najprostszych. Bellmer też „rozkawałkował” kobiety. Jak szaman ciało adepta w rytuale przejścia. Sama w sobie *Gehenna* jest też rozkawałkowaniem ciała psychiki. Wyodrębniają się zatem kobiety, jakieś ożywione ni stąd, ni zowąd epizody, zdania, ułamki pieszczot. O ileż mniej wyraźne od całości pobranych z werbalnego ciała katechezy katolickiej. Postacie-klucze. Z wyblęśnięciem Kajfasza impulsywnie notuje Rudiak skojarzenie z mądrym cynizmem Kościoła, o setki lat świetlnych odległym już od chęci zbiorowego męczeństwa. Dorzucę jedno: Kajfasz był zięciem Annasza gotowego na taki akt zbiorowego samobójstwa w imię wiary. Kiedy Piłat tuż po swoim przybyciu nakazał instalowanie w Jerozolimie orłów, swoich wojskowych emblematów, Annasz powiódł wielotysięczny tłum protestujących pod jego siedzibę w Cezarei. Było o włos od zmasakrowania tego tłumu, stojącego tak pod gołym niebem, w czas zbiorów, przez kilka tygodni. Piłat się zreflektował, rozluźnił szantaż. Kazał zdjąć obrażające judaizm wizerunki, ale wymusił zmianę arcyka-

płana. Annasza zięć, znacznie młodszy, błyskotliwy, pasjonował się muzyką nowoczesną tamtych dni. Sam komponował, dobierał utalentowanych wykonawców. Był mocno zhellenizowany, wolno rzecz. Nie ufał fanatykom. Żydowski historycy starożytnego Izraela (wtedy Judei) raczej nie wątpią, aby ta nieufność podszyta była tylko strachem. Fanatycy, z punktu widzenia filozofii Zenona, Heraklita, Demokryta i Arystotelesa, są po prostu ludźmi zagubionymi, niezdolnymi do samopoznania, do rozeznania własnych rzeczywistych motywacji, z zewnątrz tak częstokroć przejmujących. Zaznaczę: wizjoner wierzy sobie, który wypełnia kryterium „poznaj samego siebie”, gotowy umrzeć, jest przeciwieństwem fanatyka, a jedynie uważa śmierć za naturalny proces w łańcuchu zdarzeń zoe, życia w ogóle. Jest swością wedyjską. Fanatyk ma wiedzę z drugiej ręki, dziś powiemy: katechetyczną, nabytą zresztą od nauczycieli też bez osobistego doświadczenia *sacrum*. Mówią oni o świętości tak jak Casanova o miłości. Kiedy Rudiak odkrywa w sobie zadawniony, głuchy strach przed miłością, odkrywa to, czemu fanatyk podlega, chociaż nie rozumie, mianowicie – ten rodzaj pychy, jaki nas powstrzymuje przed... poddaniem się rozkawałkowaniu także w religijności. Bo pogardzamy rolą ofiary, miłosnej, politycznej, ekonomicznej. Wizjoner tymczasem w nic nie wierzy, on wie.

Podobnie wyblask Judasza. Możliwe, że wiersz Rudiaka kształtowało tło lustracji *à la polonaise*. W jakiej na pohańbionych przez SB patrzyło się podobnie jak na upadłe kobiety, z fascynacją, a bez współczucia, z politowaniem, a bez szacunku, nie dostrzegając w nich ofiar systemu i konkretnej czyjejś podłości – lub małostkowości. I pozostawiając poza odpowiedzialnością uwodzicieli i gwałcicieli. I zresztą, używając co atrakcyjniejsze dziwki ducha do nowych zadań politycznych. Te zakresy treściowe Rudiaka są dojrzałe, męskie, rozumne.

Nie każdy wiersz *Gehenny* jest jednakowego lotu – gdyby przykładać miarę arcydzieł. To może przypadek Szymborskiej: każdy utwór zamieniać w perełkę bez jednego zbędnego słowa. Tak, aby zdołał udźwignąć – a potem strącić całą swoją literackość, papierowość, i aby wybrzmiał samoistnie. W *Gehennie* są wiersze na trudniejszych falach psychicznych, na jaśniej sformułowanych dylematach oparte, dopowiadają się kontekstem. Ekranami, wypełnionymi doświadczeniem czytelnika. W rezultacie nie są dla dzieci. Mówią dopiero jak lalki Bellmera: jako całość. Przenikaniem się. Wyzwalaniem jedne w drugich coraz to nowych metasensów.

Urszula Małgorzata Benka

Summa – haiku

Jacek Łukasiewicz, *Wiązania*, wydawnictwo j., Wrocław 2018, 96 s.

Jacek Łukasiewicz to żywa legenda literacka Wrocławia. To ciągle ktoś twórczy i zarazem obdarzony znamieniem autorytetu. Jest przede wszystkim poetą (według mnie), którego dorobek to około 10 zbiorów wierszy, ale jest w równym stopniu, jeśli nawet nie większym, krytykiem literackim, historykiem literatury, autorem książek o Mickiewiczu, Herbercie i kilku innych tytułów o współczesnej literaturze polskiej. Jest profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Wiele by można było o jego dokonaniach napisać.

Jako poeta jest rozpoznawalny ze względu na wypracowaną dykcję liryczną i przywiązanie do zmysłowego obrazowania i towarzyszącej temu autorskiej refleksji. We wszystkich zbiorach te cechy są obecne. Kontynuowane. Także w ostatnim obszernym zbiorze *Wiązania* (2018), wydanym przez wydawnictwo j. I chcę od razu zauważyć, że jego poetyka różni się od tych, które spotykamy w poprzednich tomikach, bowiem na ten 96-stronicowy zbiór składa się kilkaset trzywersowych utworów, będących

w głównym zamyśle twórczym odniesieniem do żywotnego w ostatnim czasie haiku. Tyle tylko, że Łukasiewicz nie naśladuje ściśle klasycznego modelu (co wielu robi), lecz transponuje go na własny użytek.

Może ta książka jest swoistym pamiętnikiem lirycznym. I w ten sposób pisze oryginalnie, niezwykle oszczędnie, wręcz esencjonalnie o wielu, bardzo wielu sprawach – przedstawia obserwacje przyrodnicze (bardzo ich dużo, bo tak ma być w haiku, np. „Cmy aksamitne/ Róg księżycy nad lasem”), nawiązuje do biografii („Lecąca chmura/ Ponad moją podróżą/ Niezmierzony sen”, „Tropy roztopy/ Odeszli rozeszli się/ Moi koledzy”), do wydarzeń („Baraka po barce/ Napływają uchodźcy/ Z wybrzeży Syrii”), snuje refleksje eschatologiczne, moralne (najczęściej nie wprost). I zawsze odczuwalny jest prywatny ton tego głosu, barwny, bardzo przejmujący. Jak wtedy, kiedy celem nie jest nic innego poza wypowiedzeniem siebie, swojego doznania, myśli nagłej, wrażenia nagłego („Nocne haiku/ Rosną w nagłym przypiywie”). I tak jak w haiku są dramatyzujące przeciwstawienia obrazowe. Iskrenia znaczeń. Rzeczywistość, którą poeta przedstawia, to swoiste wrzuty lub zrzućty poetyckich treści, dyktowane wewnętrznym przymusem. Bywają więc bardzo różne. Tak jak rozliczna i nieprzenikniona jest, i wielowarstwowa, zawsze niejednorodna, skomplikowana także w podmiotowej jaźni, konstrukcja samotworzącego się świata, trwania, istnienia, istnie kosmiczna natura trwania. W tym kierunku Jacek Łukasiewicz ustawił wszystkie swoje literackie dążenia. Wyobrażam sobie nawet, że nie towarzyszy pisaniu większa potem obróbka warsztatowa. Bo nie musi. Ta forma, w książce zaprezentowana, jest odpowiedzią na uzyskaną autorską i życiową dojrzałość. Olśnienie bądź olśniewający obraz nie może być zmieniany ani z nadto przekształcany, gdyż wtedy może utracić swoją cechującą go pierwotność. To cecha, o którą każdemu poecie przecież bardzo chodzi.

Ten zbiór potwierdza, że mamy do czynienia z poetą poszukującym, który nie zasklepia się w swoim świecie. Wszystkie te teksty czym są, jeśli nie nieustannymi otwarciami. Wrażliwością. Zaczynaniem od nowa. Zarazem wirtuozerią. Mistrz *Sięga po inny* ciągle instrument. Tylko po to, by dotrzeć do praw-

dy o życiu, może nawet do jego summy. Czymże jest wizja świata, wyłaniająca się ze wszystkich rozlicznych *więzań*, jeśli nie wręcz kosmicznym (może boskim) chaosem, zjawiskiem, uwyrażnianym w postaci pojedynczych widzeń, stwierdzeń, zanotowań, kadrów, zawsze będących fragmentem, wycinkiem, migawką, refleksem: „Płoną pnie sosen/ W zachodzie słońca”, „Turkocze wózek/ Rozpryskuje się błoto”. Niedającymi się do końca zrationalizować istnieniami (jest ich wiele). W tle albo tuż obok, równolegle, pozostaje to, co nieznane, mocą intuicji autorskiej połączone, korespondujące, zawsze „Oświełtne po wierzchu”, jak każdy biologiczny i inny organizm, także ten podmiotowy. Bywa w tych haiku oczywiście przedstawiony ludzki los (często w tym zbiorze tak jest), jego bieg, swoistość, ale tylko w obrębie tego wszystkiego, co realnie go wyraża: „Umarła cicho/ A dużo ciszej żyła”. Wglądu w tajemnicę istnienia zaś już nie jest dane mieć nawet pocie. To są już inne sfery, można rzec, zapisane w „Furkocie jego chorągwi/ w górnej krainie”, „w szóstym wymiarze”. Czytam: „Chmury zwolnione/ A pod nimi postacie/ Uciekających”. Wiemy, widzimy, co się dzieje. Wie to poeta, sam często zaskoczony swoim odkryciem. Ale na pytanie dlaczego tak, a nie inaczej dzieje się, nie da już odpowiedzi. A ta odpowiedź oznaczałaby wtajemniczenie, czyli pojęcie ostatecznego sensu. Jednak ludzie, świat, słowa, także książki są „niejasne”. Doświadczyc więc pozostaje *Drzenie i trwogę*. Tak też mamy tu do czynienia z różnymi realnościami, w różnorako pisanych, nieprzystawalnych obrazach lub w pełnych, ułożonych logicznie i gramatycznie zdaniach: „Drży gałąź sosny/ Za moimi oknami/ Na drugim piętrze”. Ale w tę pozornie płaską warstwę, która bywa twarda jak *Twarde obłoki*, jednak wnika coś jeszcze, czyli tajemnica. I ona to ustala napięcie pomiędzy wypowiedzianym i niewypowiedzianym. Jest jeszcze inna cecha tych utworów, tych haiku, całej książki *Wiązania*, piękna, bardzo ludzka, a taka mianowicie, że cechuje ją jakieś immanentnie wpisane w słowa (tak to określe) dobrotliwe spojrzenie, czułość okazywana światu. Cienienie jego bogactwa i barwy. I ogromne wycucie taktu, więc i uroda świata ma tu zapisane swoje miejsce.

Czesław Sobkowiak

Biała tkliwość

Elżbieta Dybalska, *Białe, Organon, Zielona Góra 2019, 84 s.*

Elżbieta Dybalska wydała trzeci zbiorek wierszy, tym razem pt. *Białe*. I gdy przeczytamy zawarte w nim wiersze, to przekonamy się, że chodzi nie tylko o to, iż jest to ulubiony kolor autorki (choć kto wie), ale przydane mu zostały jakieś treści o bardziej ogólnym znaczeniu. Szkoda, że nie za daleko określonym. W każdym razie białe ma sugerować delikatność widzenia itp. I w jakiś sposób wyrażać kobiecość podmiotu. Białe jest uniwersalne, może wszędzie zostać uobecnione. Książkę wydało wydawnictwo Organon. I trzeba przyznać, że starannie.

Opisując wcześniejszy zbiorek *Bruzdy* (2014), zauważyłem, że cechuje E. Dybalską wrażliwość na sprawy ważne, na wartości, poświęcenie, wytrwałość, prawdę, wszelkie kategorie odpowiedzialności za los drugiego człowieka. W zbiorze najnowszym te imponderabilia zostały wyraźnie uciśnione, a uwaga liryczna przeniosła się w poetyckie podejście do świata i spraw osobistych, w których duże znaczenie ma sfera kobiecych odczuć, uczuciowość, miłość, doznania zmysłowe. Pisze poetka: „tworzę poetycką przestrzeń”. W tej przestrzeni delikatność, kruchość, subtelność odczuwania ma duże znaczenie. Te klimaty często się pojawiają i oscylują wokół cielesności i bycia z kimś bliskim, co nie zawsze jest sielskie, a często raczej bolesne. Jednak łóżko (metafora to czegoś osobistego): „łóżko wstaje ze mną”. Podmiot chce być subtelny, wiele zauważa. Ceni piękno, np. „na filizance złota róża/ rozkwita miłośnię”, co po-

niekąd kompensuje pragnienia. Pisanie wierszy, estetyczne zauroczenia też mogą mieć takie znaczenie. Wrażliwość oznacza tu dostrzeganie niuansów, rzeczy nikłych, ledwo zauważalnych: „na ziarenku piasku/ słowo”, „opuszek słowa/ muska smutek i radość”. W takim podejściu przypisuje Dybalska temu, co małe, drobne nawet, nadzwyczajną sprawczość, bo ona „kruszy betonowe/ serca”. Imponująca to wiara, aby dawała się potwierdzać. Podmiot tak nacechowane relacje chce utrzymać, ceni je, mimo że świat na nich zbudowany jest bardzo kruchy i niepewny. Toteż silniejsze doznania i emocje zmieniają się w gry wyobraźniowe, w których udział biorą różne detale – np. nóż, kamień. Mają one coś akcentować. I mają też pobudzać do imaginacji (*Pomiędzy*), których główną treścią są „powitania i pożegnania/ ślady miłości”, a „łzy są pojemne i bezszelestne”. Tu dostrzegamy zarazem cierpienie, poczucie nietrwałości: „gruda ziemi po nas”, „muzyka rozstania”. Rozstania z kimś bliskim. Wszystko to trudne, bolesne, wpędzające w samotność. I po ludzku mogące skłaniać do współczucia. Współczucia choćby z powodu dotkliwej „garsteczki wspomnień/ drobiny dobra”. Jeśli gdzieś podmiot ze swoimi doświadczeniami naprawdę znajduje jakiś azyl i ujęcie, to w przywoływanym w całym zbiorze motywie bieli, który ucisza niepokoje. Na końcu zbioru pisze poetka: „co ważne było/ jest/ będzie”. Tego przekonania warto się trzymać.

Czesław Sobkowiak

Kolekcjonerka Marty Motyl – literatura sensualna

Marta Motyl, *Kolekcjonerka, Lira Wydawnictwo, Warszawa 2019, 242 s.*

„Czułam się tak, jakbyśmy obie nawzajem modelowały nasze ciała, tworzyły je od nowa. A nasze ruchy wciąż powiełało lustro. Jedne za drugim”³.

Kolekcjonerka Marty Motyl jest niewątpliwie pewną innowacją. Rynek wydawniczy literatury popularnej zasypuje nas ogromną ilością pozycji, które

³ *Kolekcjonerka* Marta Motyl, strona ?

mają szokować otwartością, z jaką traktują sferę seksualną, która odarta z przyzwoitości staje się wręcz wulgarną. Natomiast Marta Motyl jako historyczka sztuki tworzy w swojej powieści obrazy sensualne, łączy literaturę z innymi dziedzinami, takimi jak kolaż, architektura wnętrz, taniec i muzyka.

Bohaterka książki, Magda, nazywa siebie gejszą. Podsyca i realizuje pragnienia, pracuje jako modelka. Zostaje płatną kochanką starszej od siebie Mecenaski. Jednak pod płaszczykiem pewnej siebie osoby możemy odnaleźć zagubioną dziewczynę, która z powodu braku akceptacji własnego ciała popada w zachowania autoagresywne. Autorka doskonale pokazuje, jak duży wpływ na teraźniejszość bohaterki mają wydarzenia z przeszłości, a także niedopowiedzeniami i niejednoznacznymi motywami buduje emocjonalne napięcie, które niejednokrotnie ma swoją kulminację w najmniej oczekiwanym momencie.

Oprócz głównej bohaterki, autorka wprowadza, wspomnianą wcześniej, postać Mecenaski, w pierwszym odczuciu kobietę o silnym charakterze, która ma jasno skryształizowane priorytety. Jednak jak wszystko w twórczości Marty Motyl, tak i w tym przypadku nic nie jest oczywiste. Pod pozorami opanowania kryje się kobieta skrzywdzona.

Dwie kobiety, które pozornie wydają się silnymi charakterami, ukrywają swoje mroczne tajemnice.

Choć wydawałoby się, że w obydwu przypadkach radzą sobie z emocjami poprzez doświadczenia seksualne, każda realizuje je w innym zakresie (poprzez relację pani – uległa) oraz z innym skutkiem.

Ewa Gaj napisała o *Kolekcjonerce*: „Nie widzę słów, wyrażań czy zdań, tylko przedstawienia”. Marta Motyl ma niesamowitą umiejętność obrazowania. Szczegółowe opisy pozwalają na dokładne wyimaginowanie każdej sceny. Nie ma tu miejsca na improwizację, każda osoba, każdy przedmiot jest we właściwym dla siebie miejscu, a nam pozostaje tylko odtworzyć zamysł autorki we własnej wyobraźni. Niewątpliwie atutem tej powieści jest również bezkompromisowy, awangardowy styl autorki, która z dbałością o każdy szczegół przeprowadza czytelnika przez fabułę.

Na okładce pojawia się pytanie: „Wyrafinowanie czy wyuzdanie?”. Moim zdaniem autorka w wysmakowany sposób mówi o tematyce, która po pierwsze nie jest łatwa (seksualność sama w sobie czy biseksualizm głównej bohaterki), a po drugie jest tematem niejako zakazanym, społecznie nieakceptowanym. Uważam jednak, że w bardzo ciekawy sposób pozwala spojrzeć na bohaterki, utożsamić się z nimi i zrozumieć ich motywacje oraz sposób działania.

Patrycja Żejmo

Chwytająca chwile

Małgorzata Chomont, *Chwile*, [do uzupełnienia]

Ta książka to kolejny hymn radości i podziwu dla otaczającego nas świata. Niby nic nowego. Dzisiejsza poezja stara się być surowa i oryginalna, ale nie potrafi wyrwać się na stałe z matecznika, jakim jest opisywanie i odkrywanie piękna natury. Piękna rzecz małych i wielkich, dostojnych i skromnych, barwnych i wygaszonych. Są tu słowa. Są obrazy. A ja słyszę jeszcze głos. To głos z sennego zamyślenia, które pojawia się zwykle nad ranem. Słów nie słyszę, ale intonacja wystarcza, żebym odczytał dobrze mi zna-

ne *carpe diem*. Horacy nie był prekursorem ani odkrywcą takiego właśnie postrzegania świata, ale na pewno pierwszym, który wyraził to na tyle głośno, że powtarzamy za nim: *chwytaj dzień*. Chwytaj chwile, te ulotne i enigmatyczne dmuchawce, warte zapisania i ocalenia. Chwytamy. Każdy czyni to na swój sposób. Twórca o wrażliwości i talencie Małgorzaty Chomont zamyka najpiękniejsze chwile w kapsule czasu z pełną świadomością tego, że powinno się je przechować dla innych, dla potomnych, dla sie-

bie samego. Taka świadomość to skrzydła, które pozwalają wznieść się wysoko. I daleko, „gdzie spokój z radością po polach tańczy”. Nasza poetka mierzy napotykaną po drodze góry spojrzeniem obiektywu i kartki papieru (cały czas wierzę w to, że ta kartka to jeszcze nie rekwizyt przeszłości). „Pożyczę od gór ich pewność... i zapomnę oddać...” Bo góry tak często stają na drodze ludzi głodnych świata i spragnionych jego smaku. Gdy zapytałem kiedyś pewnego wędrowca z plecakiem wyższym od niego samego, po co tak ciągle biega w te góry, odpowiedział z tajemniczym uśmiechem: żeby sprawdzić. Ale co? Ten uśmiech czekał na moje zapytanie. Sprawdzić, czy jeszcze żyję, padła odpowiedź. Może w tym właśnie kryje się tajemnica ludu spod enigmatycznego znaku *carpe diem*.

Małgorzata Chomont przemierza świat z aparatem fotograficznym. „Potykając się o wczoraj...jechałam dalej... do jutra...” Czytając jej przemyślenia, wpatrując się w towarzyszące im obrazy, domyślały się, czym dla kobiety wrażliwej jest świadomość ulotności chwil. Pragnieniem zatrzymania czasu. Schwytania jego sypkiej materii w wyciągnięte dłonie.

A wiersze? Czym są wiersze? Tymi właśnie dłońmi dotykającymi przemijania („najpiękniejsze chwile zamknę w skorupce orzecha, będą bezpieczne”). A te obrazy? Odbiciem w szybie wysrebrzonej deszczem („cienie biegają pomiędzy drzewami”). A radość życia? Krzykiem, szeptem, radosnym zakręceniem („mam filiżankę z porcelanowym uchem... ja patrzę, ona nasłuchuje”). Chwytająca chwile. Poetka sama tak siebie postrzega i nazywa. Pisząc te słowa, uśmiecham się, bo mój debiutancki tomik nosił jednak tytuł *Chwile*. Znaczy to, że mamy pokrewne dusze, a przecież nie jesteśmy w tym chwytaniu osamotnieni. Są nas miliony. Czy Małgorzata Chomont urodziła się z taką wrażliwością, czy też od-

kryła ją w sobie dopiero po pewnym czasie? Niezależnie od tego, co sama mówi, jestem przekonany, że to pierwsze jest bliższe prawdy. A mówi (co zapisałem): „...w najzwyczajniejszy dzień, którego imienia nie pamiętam, otworzyłam oczy... i stało się... jakby po zbyt długo trwającym śnie, ujrzałam świat niewyobrażalnie piękny”. Jestem przekonany, że u osoby z genetycznie zaszczepioną radością życia odkrycie takiego właśnie postrzegania świata było tylko kwestią czasu. W tych wierszach zapisała całą siebie. A nawet jeśli nie całą, to i tak wypełniła sobą każdy wers. Wydaje się oczywistym, że gdy budzi się taka świadomość, budzą się też marzenia. „Na palcach stanąć... dotknąć chmur”. Z marzeniami łatwo jest się mierzyć, przelewając je na papier. Poezja otwiera drzwi do ogrodu dobra i zła. Rzeczywistość takie wrota zamyka. Uświadamia nam, że przebudzenie niejedno ma imię. Przypomina zarazem o przemianach, jakie następują w skali globalnej, o sygnałach, że przyroda buntuje się przeciwko ludzkiemu lekceważeniu podstawowych praw natury. To smutna refleksja, ale sama się nasuwa przy słownych i fotograficznych zapisach tego, co chcielibyśmy ocalić, a wobec licznych zagrożeń czujemy się dziś tak bezradni. Słowo i obraz to kwintesencja prezentowanego tu zapisu autorstwa Małgorzaty Chomont. Kobiety o niezwyklej osobowości, wrodzonej radości życia i różnorodnym talencie. A przede wszystkim o pozytywnej wrażliwości, którą poprzez swoją twórczość chciałaby zaszczepić innym.

Również tobie. Jeśli sięgasz po ten tomik, znaczy to, że twoja wrażliwość jest podobna, tak samo ukierunkowana. Odnajdziesz tu siebie samego, tak jak ja odnalazłem. Bo mnie też zapisała. A to wystarczy, żebym w przyszłości powracał do tych wierszy i towarzyszących im obrazów.

Tadeusz „Coobus” Knyziak

K

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adam Wojciech Bagiński, *W przestrzeni*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”; Oficyna Wydawnicza UZ, Zielona Góra 2018

Rafał Brasse, *Dar serca*, Drukarnia Wydawnictwo Druk-Ar, Głogów – Sieniawa Żarska 2018

Małgorzata Chomont, *Dopóki ptaki śpiewają*, Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2019

Elżbieta Dybalska, *Białe*, Organon, Zielona Góra 2019

Jerzy Gąsior, *Lista do praprawnuka*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wielkopolski 2018

Jerzy Hajduga, *Jeszcze*, Tercja, Poznań 2018

Jerzy Hajduga, *Zatrzymać z czasu chwile*, MK, Kraków – Drezdenko 2018

Teresa Jużko, *Najpiękniejsze miejsce*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2018

Władysław Kłepka, *Poruszona cisza*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2018

Krzysztof Koziół, *Nie pozwól mi umrzeć*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2018

Krzysztof Koziół, *Wzgórze Piastów*, Wydawnictwo Akurat, Warszawa 2018

Paweł Łęczuk, Krzysztof Mich, *44 odbicia Warszawy*, Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2018

Marian Łysakowski, *Podróże i przygody pilota wycieczek w XX i XXI wieku*, MAXIM, Zielona Góra 2018

Wanda Milewska, *Artysta znaczy wiele*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wielkopolski 2018

Dana Newelska, *Talon na drugie życie*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2018

Robert Rudiak, *Baśnie, legendy i podania Ziemi lubuskiej. Szkic monograficzny*, Związek Literatów Polskich Oddział Zielona Góra, Polskie Towarzystwo Historyczne w Zielonej Górze, Zielona Góra 2018

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, *Klucze*, ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2018

Kazimierz Wysocki, *Tęcza*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2018

AUTORZY NUMERU

Krzysztof Bąkowski

Członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze. Laureat konkursów poetyckich (m.in. I miejsce w Turnieju Jednego Wiersza na Noworocznej Biesiadzie Literackiej 2019 w WiMBP im. Cypriana Norwida).

Urszula Benka

Urodziła się w 1953 r. we Wrocławiu. Pisarka, poetka, recenzentka, redaktorka, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Stypendystka rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Debiutowała wierszami w czasopiśmie „Sigma”, następnie wiersze, opowiadania, recenzje i artykuły drukowała m.in. na łamach „Literatury”, „Nowego Wyrazu”, „Odry”, „Konfrontacji” i „Kontaktów”. Laureatka wielu konkursów i turniejów poetyckich. Współpracowała z polskimi czasopismami emigracyjnymi, (np. „Zeszyty Literackie”). Będąc w USA, podjęła współpracę z nowojorskim „Kurierem” i „Nowym Dziennikiem”. Została członkiem amerykańskiego PEN Clubu. W 1979 wstąpiła do ZLP. W 1991-1992 publikowała w „Akcencie” cykl felietonów pt. *Listy z Nowego Jorku*. W 1991 powróciła do Polski, zamieszkała początkowo w Katowicach, gdzie m.in. w 1992-1994 uczestniczyła w działaniach artystycznych autorskiego teatru męża, Andrzeja Urbanowicza, Oneiron 2. W 1991 została członkiem SPP. Od 1994 r. mieszka we Wrocławiu. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

Ryszard Jan Białogrecki

Urodzony 19 grudnia 1948 r. w Zielonej Górze. Syn kresowian, ukochał Lwów. Pasjonuje się poezją i muzyką. Wydał drukiem zbiór pt. *Winobraniowa Zielona Góra*.

Agata Buchalik-Drzyzga (1940–2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Anna Celmer

Urodziła się w 1988 r. Bibliotekarka w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Animatorka kultury. W mediatece Góra Mediów prowadzi Dyskusyjny Klub Książki dla dzieci. Autorka fotografii w projekcie „Biblioteka to też człowiek” i „Nieportrety”.

Guy Commerman (1938–2019)

Współzałożyciel kwartalnika literackiego „Gierik & NVT”, autor kilkunastu zbiorów poezji, z których najnowszy to *Getuigenis van zinnen* (2015). Publikował wiersze, opowiadania, eseje w pismach literackich. Był zarazem artystą malarzem (miał na swoim koncie około 100 wystaw). Laureat wyróżnień, m.in. Jeune Peinture Belge i Europaprijs miasta Oostende.

Maciej Dobrowolski

Z zawodu redaktor, dziennikarz i copywriter, a w czasie wolnym działacz społeczny zajmujący się organizacją imprez kulturalnych. Sekretarz konkursu literackiego „Fantazje Zielonogórskie” od pierwszej edycji. Wieloletni członek i obecnie wiceprezes Zielonogórskiego Klubu Fantastyki Ad Astra. Pożeracz książek, miłośnik gier i fan współczesnej popkultury. Jak sam o sobie twierdzi, w młodości zakochał się w fantastyce i okazało się, że jest to miłość nieuleczalna.

Jakub Domoradzki

Poeta, prozaik. Z wykształcenia filozof (UJ). Debiutował w II Antologii Stajni Literackiej SPP w Warszawie *Co jest pisane* (2016), a samodzielnie w tomiku *Wiersze, których nie lubi mój tata* (Mamiko, 2016) nominowanego do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz w kategorii najlepszy tomik roku. Ponadto autor *Nie przysypuj gruszkami popiołu* (Liberum Verbum, 2017) oraz *Poety poślubnego* (Liberum Verbum, 2018). Współpracował z Pierwszym Programem Polskiego Radia (Redakcja Publicystyki i Redakcja Wiedzy i Edukacji), publikował także w „Gazecie Bieszczadzkiej”, Kwartalniku Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych „PUL” (poezja) oraz „Śądeczaninie” (artykuły historyczne). Obecnie mieszka w Warszawie.

Natalia Dudziak

Urodziła się w 1995 r. w Sulechowie. Studentka trzeciego roku filologii angielskiej w Zielonej Górze. Zafascynowana poezją konfesyjną.

Elżbieta Dybalska

Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Władysław Edelman

Urodził się w Łowej, od kilkadziesiąt lat mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O złotą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German). Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego.

Richard Foqué

Urodził się w 1943 r., profesor emerytowany, architekt, inżynier i poeta. Píše w języku niderlandzkim i angielskim. Debiutował w 1967 r. zbiorem wierszy *Alleen kringen* w „De bladen van de poëzie”. Od tego czasu opublikował 7 tomików poezji. W 2011 ukazało się 7 wierszy z 7 *akwatintami* (autorstwa artysty Andre Goezu), w dwujęzycznej bibliofilskiej serii niderlandzko-angielskiej, a także *The Oregon Songs* w „The International Arts Magazine The Green Door”, Vol. 6. Najnowsze wydane zbiory poezji to *De Grote Roka-de* (2012, Wydawnictwo P. Leuven) i *Hier staan we* (2015, Wydawnictwo P. Leuven). Publikuje w pismach literackich („Heibel”, „Yang”, „Grafiek + Gedichten”, „Revolver”, „Dighter”, „Balustrada”, „Gierik & Nieuw

Vlaams Tijdschrift”) i w antologiach poezji. Jest kuratorem przy Dichter bij Beeld (muzeum rzeźby w Middelheim/Antwerpia), gdzie organizowane są stałe „wędrowki poetyckie”; współtwórcą Międzynarodowego Festiwalu Poezji Dichters in het Elzenveld (1993-2005). Zasiada w redakcji „Gierik & NVT”. Członek zarządu w Stowarzyszeniu Pisarzy Flamandzkich, członek Fellow of the World Literary Academy i International Academy of Poets.

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka, pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka książek dla dzieci, wyróżnionych w konkursach literackich oraz książek z zakresu animacji kulturalnej. Za twórczość dla dzieci otrzymała w 2015 r. Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrymów. Jej wiersze dla dorosłych oraz felietony ukazały się w polskich i brytyjskich czasopismach kulturalnych. (m.in. „Opcje”, „Kresy”, „Fraza”, „Akant”, „Relacje-Interpretacje” i londyńskich „Arts Professional” i „The Wolf”) oraz w polskich i brytyjskich tomikach pokonkursowych. Mieszka w Zielonej Górze, należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Jako anglistka koordynuje pracę Biblioteki Obcojęzycznej w WiMBP im. Cypriana Norwida.

Waldemar Gruszczyński

Dziennikarz, publicysta, animator. Wieloletni prezes Zielonogórskiego Klubu Fantastyki Ad Astra, organizator licznych wydarzeń kulturalnych. Na Uniwersytecie Zielonogórskim przybliżył studentom polską prozę fantastyczną i tajniki popkultury. Zawodowo od lat w branży reklamowej.

Rene Hooyberghs

Poeta, dziennikarz. Autor trzech tomików poetyckich. Jest członkiem redakcji kwartalnika literackiego „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”. Mieszka i pracuje w Antwerpii.

Krystyna Jarocka

Prozautorka, autorka zbiorów opowiadań.

Halina Jerulank

Rusycystka, wieloletnia nauczycielka. Od paru lat zajmuje się pisaniem wierszy, rysowaniem. Publikuje w „Gazecie Lubuskiej”. Wydała tomik poetycki pt. *Przed Tobą* (2018) i *Dotykam Cię tylko myślami* (2019).

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Obecnie stała recenzentka (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce, muzyka klasyczna oraz próby naukowego ujęcia globalnych problemów współczesnego świata. Od kilku lat uczy się śpiewu.

Tadeusz Knyziak (Coobus)

Urodził się w 1948 r. w Warszawie. Autor trzech tomików poetyckich, współautor ponad 30 almanachów, antologii i wydań pokonkursowych. Publikuje pod pseudonimem artystycznym Coobus. Laureat wielu prestiżowych nagród literackich. Należy do Stowarzyszenia Autorów Polskich, Grupy Literacko-Muzycznej Terra Poetica oraz Klubu Poszukiwaczy Słowa w Piasecznie pod Warszawą.

Maria Kocot

Urodziła się w 1980 r. w Bytomiu. Doktor nauk ekonomicznych, wykładowczyni kilku śląskich uczelni. Pisarka i poetka. Laureatka XXXIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J.I. Krászewskiego (I miejsce), V Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Pod Poetyckim Zawołaniem Rocha Sęczawy” (I miejsce), V Ogólnopolskiego Konkursu „Racibórz prozą zaczarowany” (wyróżnienie).

Piotr Kominek

Urodził się w 1985 r. w Starachowicach. Ukończył prawo na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz studia doktoranckie na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach w Instytucie Historii. Swoje wiersze zamieszcza w czasopiśmie literackim „Radostowa”. Wydał trzy tomiki wierszy (*Itaka, O naszym szczęściu, Poemat o deszczowej nocy*).

Elżbieta Kościucha-Wieczorek

Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Autorka tomiku poetyckiego *Stale na coś czekamy* (2018).

Alina Kruk

Poetka, szefowa grupy OKSYMORON w UTW w Zielonej Górze.

Mirosław Kuleba

Urodził się w 1958 r. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, ampelograf. Absolwent Politechniki Zielonogórskiej, inżynier budownictwa lądowego. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996). Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Anna Polus

Zastępca dyrektora WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, starszy kustosz, członek rady wydawniczej, trener prowadzący szkolenia dla bibliotekarzy, koordynator inicjatyw w zakresie wspierania i promocji książki, czytelnictwa wśród mieszkańców Zielonej Góry, zwłaszcza przedsięwzięć dla dzieci i młodzieży. Moderatorka spotkań w ramach Czwartków Lubuskich. Od lat związana z kulturą Zielonej Góry i województwa lubuskiego. Animator kultury, członek Stowarzyszenia Kozzi Film Festiwal w Zielonej Górze, członek i przewodnicząca Rady Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze z/s w Ochli, wykładowca na studiach podyplomowych z zakresu bibliotekoznawstwa i informacji naukowej.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 r. Absolwent WSP w Zielonej Górze, poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes honorowy Oddziału Zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie.

Anna Kwapisiewicz-Sevens

Urodziła się w 1957 r. w Zwoleniu k. Czarnolasu. Jest muzykiem, poetką. Studiowała w Polsce i w Belgii. W latach 1980-1994 waltornistka, a później perkusistka w Filharmonii im. T. Bairda w Zielonej Górze. Obecnie docent Fakultetu Akademickiego w Królewskiej Szkole Baletowej w Antwerpii. Jako poetka zadebiutowała w „Nadodrze” (1982). Publikowała m.in. w „Pro Libris”, na antenie Radio Zachód, a także w prasie ogólnopolskiej („Tygodnik Kulturalny”, „Życie Literackie”), w almanachach utworów pokonkursowych w kraju i za

granicą. Jej poezja, tłumaczona na język niderlandzki, ukazała się w kwartalniku literackim „Gierik & NVT” (Antwerpia, 2013). Zdobywczyni nagród i wyróżnień w ogólnopolskich konkursach literackich, m.in.: Jana Śpiewaka (1991), im. ks. Jerzego Popiełuszki „Nie odkładaj panie słuchawki” (1992), VI Polonijnego Konkursu poetyckiego „Najdroższe gniazdo rodzinne” (2000). W roku 1989 otrzymała Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono”. Należała do Klubu Młodych Pisarzy w Zielonej Górze oraz w Krakowie (Klub „Pod Jaszczurami”). Autorka tomików poetyckich *Con tristezzo* (LTK, 1985), *Z księgi dla niepiśmiennych* (Bibliofilska Seria Muzeum Ziemi Lubuskiej, 1991), *Dylatacja* (emisja wierszy w Radiowej Księżce Poetyckiej w Radiu Zachód). W przygotowaniu zbiorów poezji w wersji niderlandzko-polskiej *Słyszeć obrazy – muzyka zimą*. Tłumaczka poezji flamandzkiej na język polski, niezmordowana rzeczniczka współpracy polsko-belgijskiej.

Władysław Łazuka

Urodził się w 1946 r. Poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także występuje na antenie PR i TVP. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Els Moors

Urodziła się w Poperinge w 1976 r. Flamandzka poetka i nowelistka. Debiutowała tomem wierszy *Er hangt een hoge lucht boven ons* (Nieuw Amsterdam, 2006), nominowana do nagrody literackiej C. Buddingh’-prijs, ukoronowana za najlepszy debiut prestiżową nagrodą Herman de Coninckprijs. W 2008 debiutowała prozą z *Het verlangen naar een eiland*, w 2010 ukazał się jej zbiór opowiadań *Vliegtijd* (Wydawnictwo Nieuw Amsterdam). Za tom wierszy *Liederen van een kapseizend paard* (Wydawnictwo „het balanser” 2013), zdobyła J.C. Bloem price, a także Prijs Letterkunde, prowincji West Vlaanderen. Zbiór ten został wydany również w języku francuskim (Edition Tétrás Lyre). W 2015 ukazał się w Brueterich Press, przetłumaczony na język niemiecki *Lieder vom pferd uber Bord*. Els Moors jest docentem Creative Writing w Brukseli i Arnhem ArtEZ, a także redaktorem literackiego pisma „nY”. Od 2016 bierze udział jako jedna z niderlandzkojęzycznych poetek w ambitnym projekcie poetyckim, Europese poezieproject „Versopolis”. Od 2018 do 2020 pełni szaczną funkcję Dichter des Vaderlands (Narodowy Poeta Belgii).

Igor Myszkiewicz

Urodził się w 1974 r.; ilustrator książek i gier fabularnych, autor komiksów, m.in. krzepiącej internetowej serii „Kryzys Wieku” – wesołej i pogodnej, jak i reszta jego twórczości. Pomysłodawca i ilustrator antologii opowiadań fantastycznych „Fantazje Zielonogórskie”. Od ponad dwóch dekad w szeregach Zielonogórskiego Klubu Fantastyki Ad Astra, nieco krócej w Stowarzyszeniu Forum Art. Na co dzień – kustosz i plastyk w zielonogórskim Muzeum Ziemi Lubuskiej; autor (a czasem współautor) publikacji o lubuskim śródowisku kulturalnym i dziejach Zielonej Góry.

Grzegorz Pełczyński

Ukończył etnologię i teologię (UAM). Zainteresowania naukowe: kwestie etniczne, antropologia filmu jako dyscyplina naukowa, religioznawstwo, literatura piękna jako źródło etnograficzne. Prowadził badania w Polsce, na Ukrainie, w Armenii, Rosji, Kazachstanie i Austrii. W latach 1987-2013 pracownik Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM. Od 2013 profesor w Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Szczecińskiego, od 2016 w Uniwersytecie Wrocławskim. Redaktor naczelny czasopisma internetowego „Our Europe. Ethnography – Ethnology – Anthropology of Culture”. Wydał m.in.: *Najmniejsza mniejszość. Rzecz o Karaimach polskich* (1995), *Ormianie polscy w wieku XX. Problem odrębności etnicznej* (1997), *Dziesiąta muza w stroju ludowy. Wizerunki kultury chłopskiej w kinie PRL* (2002), *Karaimi polscy* (2004), *Restauracja Kresowa* (2011), *Ewangelikalizm w Rosji (XIX-XX wiek)* (2012, wyd. 2. 2013) *Mniejsze mniej-*

szości i inne szkice (2017), redagował lub współredagował: *Antropologia wobec fotografii i filmu* (2004), *Obrazy kultur* (2006), *Polacy wobec wielości kultur* (2011), *Kościół Ewangelicko-Methodystyczny na Mazurach (1945-2015)* (2016), *Polscy odkrywcy, badacze i eksploratorzy Syberii oraz Azji Środkowej* (2018). Autor książek dla dzieci: *Opowieści dla Kubusia, opowieści dla Jakuba* (2012), *Ulubiona bajka* (2014) i to-mów opowiadań *Cukierki i fajerwerki* (2015), *Lekcja historii* (2018).

Marcin Radwański

Urodził się w 1978 r. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor książki z wierszami pt. *Czekając na...* (2015), zbioru opowiadań pt. *Skok w przepaść* (2015), *Miłość* (2019) oraz powieści kryminalnych: *Nieprzypadkowa ofiara* (2015), *Nie odrzucaj mnie* (2016), *Danie główne* (2017), a także powieści obyczajowej *Natalia Carpetieri* (2018). Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za rok 2013. Współpracuje z kwartalnikiem literacko-kulturalnym „Pro Libris” i czasopismem „Moja przestrzeń kultury”. W 2017 r. otrzymał Lubuski Laur Literacki na gali Wawrzynów Literackich w kategorii sensacja, za książkę *Danie główne*. Wiceprezes Zarządu zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Bibliotekarz w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida. Mieszka w Zielonej Górze.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 r. w Zielonej Górze. Poetka, członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r. Jej wiersze były prezentowane w Radiowej Książce Poetyckiej (Radio Zachód) i w antologiach (Pióro na niebie, Dotyk nadziei), w prasie literackiej. Poezja B. Różewicz została przetłumaczona na język niemiecki i ukraiński.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Justyna Stachura

Urodziła się w 1987 r. w Lubinie na Dolnym Śląsku, obecnie mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Mgr informacji naukowej i bibliotekoznawstwa oraz edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Poetka, bibliotekarz w WiMBP. Organizator warsztatów i konkursów dla dzieci i młodzieży. Autorka tomiku poezji *Opleciona Czarami*.

Iwona Stankiewicz

Studentka kierunku Literatura popularna i kreacja światów gier Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Carl De Strycker

Dyrektor Poëziecentrum i redaktor naczelnym „Poëziekrant”, największego czasopisma literackiego we Flandrii i w Holandii. Obronił pracę doktorską na temat wpływu Paula Celana na poezję niderlandzką: *Celan auseindandergeschrieben* (2012). Z Yra van Dijck i Maarten De Pourcq zredagował *Draden in het donker. Intertekstualiteit in theorie en praktijk* (2013). Z Koen Rymenants dokonał *Willem Elsschot. Dichter* (2017), z Jeroen Dera redagował *Bundels van het nieuwe millenium* (2018) i z Yves T' Sjoen był redaktorem książek *Nolens Handboek* (2018) i *'Diep en binnensmonds'. Over Hercules, Richelieu i Nostradamus Paul Snoek* (2019).

Cezariusz Szpryngiel

Student kierunku Literatura popularna i kreacja światów gier Uniwersytetu Zielonogórskiego

Michaël Vandebril

Urodził się w 1972. Debiutował w wydawnictwie De Bezige Bij tomem wierszy *Het vertrek van Maeterlinck*, którego druk był kilkakrotnie wznawiany na rynku wydawniczym. Za swój debiut otrzymał nagrodę Herman de Coninck Debuutprijs i nominację do C. Buddingh'-prijs. W 2014 pisał wiersze dla wysoko renomowanej gazety „De Morgen”. W 2016 pojawił się drugi tom wierszy *New Romantics* (Wydawnictwo Polis). Jego poezja ukazała się w ośmiu językach. Vandebril jest z wykształcenia prawnikiem i od 2003 r. pełni funkcję koordynatora Antwerpen Boekenstad, a także koordynatora artystycznego Antwerp UNESCO World Book Capital (2004). Współtwórca nowej organizacji literackiej VONK & Zonen. Przez kilka lat zasiadał w składzie redakcji pisma literackiego „Deus ex Machina”.

Barbara Wilczyńska-Michałowska

Artysta fotografik, członkini Fotoklubu RP i Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego. Jej prace były prezentowane na kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce, Belgii i Wielkiej Brytanii, a także publikowane w wielu magazynach fotograficznych. Poza fotografowaniem zajmuje się organizacją wystaw w Polsce i w Belgii.

Józef Zdunek

Urodził się w 1937 r. w Orpiszewie (pow. krotoszyński). Absolwent Wydziału Humanistycznego WSP w Gdańsku (pedagogika, 1968), dr nauk humanistycznych (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu). Nauczyciel, bibliofil, regionalista, kolekcjoner ekslibrisów. Autor trzech książek popularnonaukowych: *PTTK na Ziemi Krotoszyńskiej 1951-2001*, *Rzeźbiarze Ziemi Krotoszyńskiej* (razem z Czesławem Wosiem), *Orpiszew 1279-2005. Monografia wsi*. Od 2005 r. jest redaktorem i współautorem rocznika „Krotoszyn i okolice”. Jest poetą. W 2014 zadebiutował tomem *Pożegnania nieustanne*. W 2016 ukazał się kolejny tomik (*Światło i cień*), rok później tomik *Wątpienia*, a w 2018 *Labirynt*. Jest laureatem nagród poetyckich. Wiersze publikuje w „Przydrożnych Pomnikach Przeszłości”, „Protokole Kulturalnym”, „Gazecie Kulturalnej”, „Nieznany Świecie”, „Angorze”, „Dwukropku”. Jest członkiem Klubu Literackiego „Dąbrówka” w Poznaniu. Mieszka w Krotoszynie.

Krzysztof Ziemiński

Nauczyciel, pedagog, obecnie na emeryturze. Poeta, laureat konkursów literackich (m.in. zwycięzca XII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Bolesława Leśmiana w Zamościu, maj 2019).

Patrycja Żejmo

Studentka pierwszego roku filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Recenzentka głównie literatury popularnej. Interesuje się sposobem przedstawiania postaci kobiety przez współczesnych pisarzy polskich.

PROZA POETÓW

9. FESTIWAL LITERACKI

IM. ANNY TOKARSKIEJ

WOJCIECH TOCHMAN 22 PAŹDZIERNIKA 2019, GODZ. 18.00	ELŻBIETA WANCLAW-CHLOPIK 28 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00 MEDIATEKA GÓRA MEDIÓW
JACEK HUGO-BADER 12 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00	WOJCIECH MANN 28 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00
MAREK KRAJEWSKI 14 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00	WIECZÓR ANNY TOKARSKIEJ 1 GRUDNIA 2019, GODZ. 17.00
MARCIN WRONSKI 19 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00	BENEFIS ALFREDA SIATECKIEGO 5 GRUDNIA 2019, GODZ. 18.00
BELGUSCY POETYCIE WIECZÓR FLAMANDZKI RICHARD FOUQUÉ ELS MOORS MICHAËL VANDEBRIL 20 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00	MAŁGORZATA REJMER 12 GRUDNIA 2019, GODZ. 18.00

WYDAWNICTWO ANAGRAM
MAGDALENA KOPERSKA
MAŁGORZATA CHOMONT
21 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

**SALA IM. JANUSZA KONIUSZA
AL. WOJSKA POLSKIEGO 9**

WSTĘP WOLNY!

12.11-12.12.2019, ZIELONA GÓRA

www.biblioteka.zgora.pl fb.com/biblioteka.norwida fb.com/proza.poetow

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjna Klubowa Książki

Spotkanie autorskie
z WOJCIECHEM TOCHMANEM

Prowadzenie: Marek Starybrat
Reportażysta, wykładowca w Instytucie Reportażu UW oraz w Polskiej Szkole Reportażu, założyciel Fundacji TAKA i Klubu Książki Wzrosnąć Światła

22 października 2019, godz. 18.00
sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9
WSTĘP WOLNY!

www.biblioteka.zgora.pl fb.com/biblioteka.norwida fb.com/proza.poetow

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjna Klubowa Książki

Spotkanie autorskie
z JACKIEM HUGO-BADEREM
dziennikarz, reporter

Prowadzenie
dr Janusz Łasowski

12 listopada 2019, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9

www.biblioteka.zgora.pl fb.com/biblioteka.norwida fb.com/proza.poetow

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku

Spotkanie autorskie
z MARKIEM KRAJEWSKIM

Prowadzenie
dr Wolfgang Brylla

14 listopada 2019, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9

www.biblioteka.zgora.pl fb.com/biblioteka.norwida fb.com/proza.poetow

PROZA POEZJÓW

9. FESTIWAL LITERACKI

IM. ANNY TOKARSKIEJ

WOJCIECH TOCHMAN
22 PAŹDZIERNIKA 2019, GODZ. 18.00

JACEK HUGO-BADER
12 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

MAREK KRAJEWSKI
14 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

MARCIN WRÓŃSKI
19 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

BELGUSCY POEZJÓW/WIECZÓR FLAMANDZKI
RICHARD FOQUÉ
ELS MOORS
MICHAËL VANDEBRIL
20 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

WYDAWNICTWO ANAGRAM
MAGDALENA KOPERSKA
MAŁGORZATA CHOMONT
21 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

ELŻBIETA WANCLAW-CHŁOPIK
26 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00
MEDIATEKA GÓRA MEDIÓW

WOJCIECH MANN
28 LISTOPADA 2019, GODZ. 18.00

WIECZÓR ANNY TOKARSKIEJ
1 GRUDNIA 2019, GODZ. 17.00

BENEFIS ALFREDA SIATEKIEGO
5 GRUDNIA 2019, GODZ. 18.00

MAŁGORZATA REJMER
12 GRUDNIA 2019, GODZ. 18.00

SALA IM. JANUSZA KONIUSZA
AL. WOJSKA POLSKIEGO 9

WSTĘP WOLNY!

12.11-12.12. 2019, ZIELONA GÓRA

www.biblioteka.igora.pl fb.com/biblioteka.nowidla fb.com/proza.poezjow

Organizatorzy: Biblioteka im. Anny Tokarskiej, Biblioteka im. Cyprjana Nowidła, Biblioteka im. Janusza Koniusza, Biblioteka im. Małgorzaty Chomont, Biblioteka im. Wojciecha Mann, Biblioteka im. Elżbiety Wanclaw-Chłopik, Biblioteka im. Marcina Wróńskiego, Biblioteka im. Jaceka Hugo-Badera, Biblioteka im. Wojciecha Tochmana, Biblioteka im. Michaëla Vandebril, Biblioteka im. Richarda Foqué, Biblioteka im. ELS MOORS, Biblioteka im. MAREK KRAJEWSKI, Biblioteka im. MAGDALENA KOPERSKA, Biblioteka im. MAŁGORZATA CHOMONT, Biblioteka im. WYDAWNICTWO ANAGRAM.

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Nowidła w Zielonej Górze
Dyskusyjna Klubowa Książki

Spotkanie autorskie
z WOJCIECHEM TOCHMANEM

Przewodzenie: Marek Starybrat
Reportażysta, wykładowca w Instytucie Reportażu UW oraz w Polskiej Szkole Reportażu, założyciel Fundacji TAKA i Klubu Książki Wzrostu Świata

22 października 2019, godz. 18.00
sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9
WSTĘP WOLNY!

www.biblioteka.igora.pl fb.com/biblioteka.nowidla fb.com/proza.poezjow

Organizatorzy: Biblioteka im. Anny Tokarskiej, Biblioteka im. Cyprjana Nowidła, Biblioteka im. Janusza Koniusza, Biblioteka im. Małgorzaty Chomont, Biblioteka im. Wojciecha Mann, Biblioteka im. Elżbiety Wanclaw-Chłopik, Biblioteka im. Marcina Wróńskiego, Biblioteka im. Jaceka Hugo-Badera, Biblioteka im. Wojciecha Tochmana, Biblioteka im. Michaëla Vandebril, Biblioteka im. Richarda Foqué, Biblioteka im. ELS MOORS, Biblioteka im. MAREK KRAJEWSKI, Biblioteka im. MAGDALENA KOPERSKA, Biblioteka im. MAŁGORZATA CHOMONT, Biblioteka im. WYDAWNICTWO ANAGRAM.

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Nowidła w Zielonej Górze
Dyskusyjna Klubowa Książki

Spotkanie autorskie
z JACKIEM HUGO-BADEREM
dziennikarz, reporter

Przewodzenie
dr Janusz Łastowiecki

12 listopada 2019, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9

www.biblioteka.igora.pl fb.com/biblioteka.nowidla fb.com/proza.poezjow

Organizatorzy: Biblioteka im. Anny Tokarskiej, Biblioteka im. Cyprjana Nowidła, Biblioteka im. Janusza Koniusza, Biblioteka im. Małgorzaty Chomont, Biblioteka im. Wojciecha Mann, Biblioteka im. Elżbiety Wanclaw-Chłopik, Biblioteka im. Marcina Wróńskiego, Biblioteka im. Jaceka Hugo-Badera, Biblioteka im. Wojciecha Tochmana, Biblioteka im. Michaëla Vandebril, Biblioteka im. Richarda Foqué, Biblioteka im. ELS MOORS, Biblioteka im. MAREK KRAJEWSKI, Biblioteka im. MAGDALENA KOPERSKA, Biblioteka im. MAŁGORZATA CHOMONT, Biblioteka im. WYDAWNICTWO ANAGRAM.

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Nowidła w Zielonej Górze
Dyskusyjna Klubowa Książki

Spotkanie autorskie
z MARKIEM KRAJEWSKIM

Przewodzenie
dr Wolfgang Brylla

14 listopada 2019, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9

www.biblioteka.igora.pl fb.com/biblioteka.nowidla fb.com/proza.poezjow

Organizatorzy: Biblioteka im. Anny Tokarskiej, Biblioteka im. Cyprjana Nowidła, Biblioteka im. Janusza Koniusza, Biblioteka im. Małgorzaty Chomont, Biblioteka im. Wojciecha Mann, Biblioteka im. Elżbiety Wanclaw-Chłopik, Biblioteka im. Marcina Wróńskiego, Biblioteka im. Jaceka Hugo-Badera, Biblioteka im. Wojciecha Tochmana, Biblioteka im. Michaëla Vandebril, Biblioteka im. Richarda Foqué, Biblioteka im. ELS MOORS, Biblioteka im. MAREK KRAJEWSKI, Biblioteka im. MAGDALENA KOPERSKA, Biblioteka im. MAŁGORZATA CHOMONT, Biblioteka im. WYDAWNICTWO ANAGRAM.

9. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki

Spotkanie autorskie
z MARCINEM WROŃSKIM

autor popularnego cyklu kryminałów retro
o komisarzu Maciejewskim
Prowadzenie
Agnieszka Sobiak



19 listopada 2019, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza WIMBP, al. Wojska Polskiego 9

Organizacja:                 





Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995 0 3

9 771642 599108

L PRO
LIBRIS